



SIECI

**SCHETYNA
KONTRA
BUDKA
WOJNA DOMOWA
W PLATFORMIE**

**ANTIFA
BOJÓWKI, KTÓRE NISZCZĄ
AMERYKĘ**

**PROF. ŻURAWSKI VEL GRAJEWSKI:
O MIŁKOŚCI KAPITULANCKIEGO
„REWIZJONIZMU” HISTORYCZNEGO**

**PROF. KRASNODĘBSKI:
JAK ZBUDOWAĆ KONFEDERACJĘ
NARODÓW EUROPY**

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 24 (393) 2020
8-14 czerwca 2020

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

SIECI



TYLKO U NAS

KANDYDAT EKSTREMISTA

**HEJTERSKI, CENZORSKI, OBŁUDNY.
RAFAŁ TRZASKOWSKI TO POLITYK
SKRAJNIE RADYKALNY.
CO JESZCZE CHCE PRZED NAMI UKRYĆ?**





**Dziękujemy,
że jesteście z nami!**

Redakcja **SIECI**



Zamów e-prenumeratę **SIECI**

**NAWET
50% TANIEJ!**

WEJDŹ NA: www.SiecPrzyjaciol.pl

eprasa.pl 6cb3686208

Porozmawiajmy o polskim handlu

Wiceminister aktywów państwowych Artur Soboń zgłosił pomysł budowy państwowej sieci sklepów. „Bylibyśmy obecni od pola do stołu. Sieć sklepów kontrolowana przez państwo byłaby na pewno uzupełnieniem tego, nad czym pracujemy, czyli obecności państwa na kilku rynkach w ramach przetwórstwa produktów rolno-spożywczych” – argumentował. Dodał, że nie ma mowy o budowie takiej sieci od podstaw, to musiałoby być związane z kupnem czegoś, co już działa. Okazja z pewnością by się trafiła, bo o wyjściu z Polski myśli kilku ważnych graczy.

Niestety szybko zdarzyło się to, co było do przewidzenia: pojawiły się drwiny, szyderstwa, sprowadzanie całej sprawy do „prowadzonych przez państwo warzywniaków” i w efekcie minister szybko się ze swojej propozycji wycofał. Jak zwykle w takich sytuacjach ucieszyli się zwolennicy Polski biernej, Polski bez wyobraźni, Polski grzecznie akceptującej koloni-

zację w wydaniu obcego kapitału. W sumie mamy rezultat mało optymistyczny: kolejna dobra idea zostaje uśmiercona. Być może dlatego, że czas tuż przed wyborami prezydenckimi nie sprzyja promowaniu tak daleko idących pomysłów.

Trzeba jednak zapytać: właściwie dlaczego tego nie zrobić? Dlaczego nie podjąć gry o suwerenność również w sferze handlu? Skoro stacje Orlenu mogą prezentować najwyższy na rynku poziom (pod względem czystości i oferty dwa poziomy ponad konkurencją) – a przecież to już właściwie spore sklepy – to znaczy, że firma państwowa może rzecz logistycznie ogarnąć. Jasne, lepiej, żeby istniały silne prywatne polskie sieci handlowe, ale nie istnieją i nie zanoszą się, by bez poważnej pomocy powstały. W takiej sytuacji trzeba myśleć śmiało. To zresztą szersza konstatacja: w naszej części Europy, jeśli chcemy coś znaczyć, musimy szukać rozwiązań niebanalnych. I musimy również pogodzić się z myślą, że bez silnej roli państwa w gospodarce zostaniemy po prostu wykupieni przez globalne centra finansowe. Zjedzą nas.

W tle mamy informacje podane przez największą w Polsce sieć handlową, czyli Biedronkę: 55,6 mld zł zysku, wzrost przychodów o prawie 9 proc. Na dywidendę pójdzie 2,19 mld, co znaczy, że te środki wypłyną z Polski (taki transfer środków w przypadku banków został przez rząd PiS znacznie ograniczony). Do tego krajobrazu trzeba dodać tysiące polskich małych sklepów (pewnie są to szacunki zbyt skromne), które zniknęły bądź znikną na skutek konkurencji z tym molochem.

Biedronka – sieć posiadająca w naszym kraju ponad 3 tys. sklepów – idzie jak burza. Ale najciekawsze jest to, że działa niemalże tak, jakby tu w istocie nie było państwa polskiego. Bo czy widzimy poważne zaangażowanie w sponsoring, np. sportowy? W jakąś inną, ważną społecznie aktywność? Pewnie jest, ale w mojej ocenie jednak śladowe, mające stanowić rodzaj alibi. Porównajcie to z zaangażowaniem wspomnianego Orlenu, na którym wiszą całe dziedziny naszego życia społecznego, kulturalnego, sportowego. Porównajcie choćby proporcjonalnie.

Nie chodzi o jakieś gwałtowne ruchy ani nagle zakazy. Ale rozmawiać o sprawie trzeba. Jak dużą część rynku może posiadać jeden gracz? Czy naprawdę nie da się nic zrobić, żeby zyski z handlu w większym stopniu napędzały polski kapitalizm, budowały polską klasę średnią albo chociaż polskie instytucje? Czy tak wielka firma może w tak małym stopniu realizować obowiązki wobec wspólnoty, z której żyje? Czy naprawdę oddamy cały handel w Polsce jednej firmie, do tego niekrajowej? Nic nie zrobimy? Już zapomnieliśmy, jaką rolę w życiu gospodarczym każdej wspólnoty odgrywa handel?

Potrzebujemy debaty o polskim handlu. Spokojnej, rzeczowej, ale uczciwej.

Jacek Karnowski





32

Polityka na mierzei
Edyta Hołdyńska



52

Kosmiczny wyścig
Konrad Kołodziejski



65

**Fabrykę Snów
wyśnili w Polsce**
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 WEJŚCIE CUDAKA**
Krzysztof Feusette
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 ZIEMIA, OJCZYŻNA LUDZI**
Jan Pietrzak
- 13 POLSKA NA MAPIE ZIMNEJ WOJNY**
Bronisław Wildstein
- 14 ZDJĘCIA Z PODRÓŻY
JANA OŁDAKOWSKIEGO**
Michał Korsun
- 15 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 NIEZASTĄPIONY LAS**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

- 20 EKSTREMISTA**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

- 25 Z PROF. ZDZISŁAWEM
KRASNODEBSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowski
- 30 BUDKĄ W SCHETYŃĘ,
SCHETYŃĄ W BUDKĘ**
Stanisław Janecki
- 32 POLITYKA NA MIERZEI**
Edyta Hołdyńska
- 36 ROSJA-POLSKA: TRZY WIADOMOŚCI**
Romuald Szeremietiew
- 38 POLSKA WYGRYWA NA LOTTO**
Piotr Filipczyk
- 40 Z DR AGNIESZKĄ DUDZIŃSKĄ**
rozmawia Aleksandra Jakubowska

OPINIE

- 44 BIĆ SIĘ CZY NIE BIĆ?
OCZYWIŚCIE – BIĆ**
Przemysław Żurawski vel Grajewski
- 48 O BUNCIE SZALEŃCÓW I JEGO
POLSKIEJ ODSŁONIE**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 50 KATALOG OCZYWIŚCISTOŚCI**
Ks. Ireneusz Skubiś

ŚWIAT

- 52 KOSMICZNY WYŚCIG**
Konrad Kołodziejski
- 55 OBYWATELSKIE PRZEBUDZENIE**
Marek Budzisz
- 58 ZNISZCZYĆ AMERYKĘ**
Aleksandra Rybińska
- 60 ZIMNA WOJNA
AMEERYKAŃSKO-CHIŃSKA**
Jan Rokita
- 62 ZAGADKA PAPIEŻA EMERYTA**
Grzegorz Górny

SIECI KULTURY

- 65 FABRYKĘ SNÓW WYŚNILI W POLSCE**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 69 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 70 PLANETA ROBOTÓW?**
Klara Pawlicka
- 72 CZYTANIE JAKO SPORT
EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

KUCHNIA

- 74 MOJE SMAKI: DIDUCH
I CZERWIŃ BŁAWATKA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 75 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 76 MĘCZENNICZY KULTOWEJ
LISTY PRZEBÓJÓW I GURU
PRZEWODNIEJ ROLI PIOSENKI**
Hanna Karp
- 78 ZWYKŁE NASZE MYŚLI**
Alina Czerniakowska
- 79 W CIENIU PANDEMII**
Lech Makowiecki
- 80 ZATRZYMAJMY TĘ KONWENCJĘ**
Jan Pospieszalski
- 81 NIEPRZYJEMNE WERSZE**
Leszek Długosz
- 82 NA BALKONIE W SŁOŃCU**
Andrzej Zybortowicz

CPK: impuls dla gospodarki i inwestycja w Polskę

Pandemia koronawirusa doprowadziła do kryzysu na całym świecie. W takiej sytuacji nie należy jednak rezygnować z dużych inwestycji infrastrukturalnych. Przeciwnie: projekty takie jak Centralny Port Komunikacyjny mogą być sposobem na wyjście z gospodarczych tarapatów, a w dłuższej perspektywie na wzmocnienie kraju

Nowoczesne lotnisko przesiadkowe, 1,8 tys. km nowych linii kolejowych i ponad 400 km dróg szybkiego ruchu – to wszystko składa się na projekt CPK, będący największą inwestycją infrastrukturalną w Polsce od lat. Porównywany przez prezydenta Andrzeja Dudę do budowy Gdyni, jest CPK szansą na cywilizacyjny skok dla Polski.

W czasie pandemii firmy tracą zysk, bankrutują i zwalniją. W tej sytuacji pracę mogą zapewnić wielkie państwowe inwestycje. Co ważne, rządy wielu krajów traktują inwestycje jako lekarstwo na kryzys spowodowany pandemią. USA zapowiedziały projekty infrastrukturalne za 2 bln dol., a Chiny za ponad dwa razy więcej. Również Komisja Europejska stawia na inwestycje, zakładając powołanie funduszu w wysokości 750 mld euro – Polska może więc liczyć na znaczącą pomoc finansową z tego funduszu na swoje inwestycje.

– Szacujemy, że realizacja CPK stworzy łącznie 150 tys. miejsc pracy. Ale CPK to też centra logistyczne, huby transportowe i szansa na budowę w Polsce wielkiego biznesu – mówi Andrzej Duda podczas konferencji prezentującej nowe plany CPK. Rzeczywiście, rządowa koncepcja zakłada, że dzięki CPK powstanie ok. 40 tys. miejsc pracy związanych bezpośrednio z funkcjonowaniem węzła przesiadkowego, a kolejnych 110 tys. w ramach sektorów powiązanych z portem, np. w branży logistycznej, turystycznej, hotelowej, handlu i usługach.

Ten mechanizm działa w różnych miejscach świata. Podczas budowy nowego terminalu na lotnisku Changi w Singapurze w szczytowym momencie zatrudnionych będzie ok. 20 tys. osób. Budowa nowego portu lotniczego w Stambule była źródłem 35 tys. miejsc pracy, z kolei wraz z uruchomieniem lotniska Barajas w Madrycie przybyło aż 300 tys. miejsc pracy.

Plan inwestycyjny CPK obejmuje lata 2020–2034, czyli dwie perspektywy unijne. Tak długoterminowy program zapewnia przewidywalność biznesu, a także gwarancję kontraktów i finansowania, jak również pozwoli im inwestować



Fot. Foster+Partners

w innowacje, które obniżą koszty i czas realizacji inwestycji. Pamiętajmy, że działania infrastrukturalne są częścią strategii rozwoju państwa, a co za tym idzie – są najbezpieczniejsze, jeśli chodzi o długofalowe lokowanie kapitału. To bardzo ważne, szczególnie teraz, kiedy trwamy w okresie niepewności. Jak zaznaczył prezydent, takie inwestycje mogą być magnesem przyciągającym kapitał i okazją budowy w naszym kraju wielkiego biznesu.

W okresie spowolnienia z takich inwestycji jak CPK absolutnie nie należy rezygnować – budowa portu wpisuje się w politykę odpowiedzialnego rozwoju. Inwestycje publiczne w nowe lotnisko, sieć kolejową czy drogową będą bardzo potrzebne. Ograniczenia w związku z pandemią mają bowiem charakter tymczasowy, a pamiętać należy, że rozwój transportu sprzyja przepływowi nie tylko towarów i osób, lecz także kapitału – zarówno finansowego, jak i intelektualnego.

CPK jest wielką i wieloetapową inwestycją, której wpływ na gospodarkę dotkniętą kryzysem można porównać do inicjatywy New Deal, zainicjowanej po wielkim kryzysie z lat 20. ubiegłego stulecia. Wtedy USA dzięki wielkim publicznym inwestycjom przygotowały się do skoku, który po okresie spowolnienia doprowadził ten kraj do szybkiego rozwoju. ▀

Sygnalista nadaje

🔊 Kazik Staszewski wciąż komentuje sprawę swojej piosenki pt. „Mój ból jest lepszy niż twój”: „Widziałem w telewizji komentarz Maćka Małeńczuka, który mówił, że nigdy nie kryłem swoich sympatii dla PiS-u i dlatego to ich tak boli, bo od swojego dostali. Odpowiadam: ani nie jestem ich, ani nie ich. A wam wszystkim trudno to przelknąć, bo tak się ku...a naprężaliście, tak jechaliście po PiS-ie i nic. Tymczasem wystarczyła jedna, dobrze skonstruowana piosenka, żeby poczuł”. Znow ta polska „tradycja” stania z boku nawet w czasie najbardziej istotnych bojów. Z II RP to się ona nie wywodzi.

🔊 Na kogo zgłasza artysta: „Uważam, że odpowiednim kandydatem na prezydenta byłby Radek Sikorski. Był już ministrem spraw zagranicznych, mówi po angielsku lepiej niż niejeden Anglik, skończył Oxford, walczył przeciw Sowietom w Afganistanie, a poza tym, co jest niezwykle istotne, jest wżeniony w jedną z najbardziej wpływowych rodzin w Stanach Zjednoczonych. Otakich rzeczach w tym naszym zaścianku w ogóle nie pamiętamy”. I czar prysł. Na długo. Na zawsze. Bo to dowód, że artysta niczego nie rozumie ani niczego nie widzi.

🔊 Śpiewa – konkretnie rapuje – również syn Jarosława Gowina, Ziemowit. Oto fragment: „Pogrywa sobie z nami Kaczyńskiego banda/ Stroszą pióra, udając piękne pawie/ A w Polsce od dawna mamy bezprawie/ Opozycja słaba, wszyscy o tym wiemy/ Nie oznacza to wcale, że się ugniemy/ Połączmy się tedy, zbudujmy wielką

siłę/ Postawmy pisowcom polityczną mogiłę/ Polityczną mogiłę!”. PiS sprawa nie zaszkodzi, ale Porozumieniu na pewno nie pomoże.

🔊 I jeszcze jeden fragment: „Rządzi nami Zjednoczona Prawica/ Mnie już od tego strzela kurw...ca/ Jak tak dalej pójdzie/ Totalna kaplica/ Wypier...lę stąd szybciej niż Kubica/ Szybciej niż Kubica/ Nie możesz nawet na kawie wychillować/ Bo zaraz będą psy cię pałować”. To ciekawe słowa, bo przecież nikt nikogo w Polsce nie pałuje. Uspokajamy: można chillować.

🔊 Twórczość syna skomentował Jarosław Gowin: „Syn jest zdolnym filozofem i bardziej jako ojciec jestem dumny z jego esejów filozoficznych niż z osiągnięć wokalnych, ale jest wolnym dorosłym człowiekiem. Ma prawo do swoich poglądów. Trudno, żebym nie słuchał. Nigdy nie byłem fanem rapu. Od wczoraj tym bardziej. Proszę pozwolić, że moją szczegółową recenzję tego utworu pozostawię do rozmowy z synem”. Elegancko powiedziane.

🔊 Z kolei Ryszard Terlecki zapytany o sprawę odpowiedział z uśmiechem: „To jakiś świr”. Na uwagę, że wypowiada się o synu wicepremiera Jarosława Gowina, stwierdził: „Tak? A to nie wiedziałem”. Ale chyba jednak wiedział.

🔊 Jarosław Gowin wrócił też do sprawy majowych wyborów. Kto jest winien temu, że nie odbyły się w przewidzianym prawem terminie? „Nikt nie jest winien temu, że wybory

🔊 Robin Aitken, dziennikarz, który przez wiele lat pracował w BBC, ocenił swoją byłą firmę. „Bezstronność BBC jest oszustwem. Od dłuższego czasu wiedzą o tym wszyscy. Stronniczość stacji jest ewidentna. W ciągu ostatnich 50 lat BBC wspierała agresywne lewicujące organizacje i w ten sposób przyczyniła się do naszego moralnego upadku” – mówi Aitken. I dodaje: „Większość redaktorów jest zorientowana lewicowo i dobrze wykształcona politycznie. A kiedy posiadasz tak silne poglądy polityczne, trudno o bezstronność”. To prawda. My w Polsce BBC nie mamy, ale za to mamy TVP i TVN. To w sumie znacznie zdrowsze.

10 czy 23 maja się nie odbyły. O tym rozstrzygnęła pandemia. Ja nie powiedziałbym, że opozycja jest winna temu. [...] nie jesteśmy brakowi wyborów winni [również] my, politycy obozu Zjednoczonej Prawicy". To będzie ładnie brzmiało, ale po zwycięstwie Andrzeja Dudy. Teraz brzmią one nieco cynicznie.

Rafał Trzaskowski pojechał do Poznania, gdzie przekonywał, że w Polsce szaleje drożyzna i dlatego trzeba jeść więcej owoców i warzyw. Chwilę później ruszył na bazar i na straganie pana Mirka, handlarza dziczyzną z Lubuskiego. Kupił całkiem sporo: polędwica z jelenia wędzona na zimno, klasyczna kielbasa z jelenia (pieczona), tatar z jelenia we flaku, żebro z dzika z miodem, żurek myśliwski, palcówka z jelenia. Kilkaset złotych jak nic. Nic dziwnego, że opozycja ciągle mówi o drożyznie, dziczyzna nigdy nie była przecież tania.

„Dlaczego pan wraz z żoną wycofał dzieci z przygotowań do Pierwszej Komunii Świętej?” – zapytał Rafała Trzaskowskiego dziennikarz TVP Info w czasie spotkania wyborczego w Nowym Tomyślu. „Moja córka była u Pierwszej Komunii Świętej, ale syn rzeczywiście nie był, to prawda” – odpowiedział kandydat. „Jaki był powód tej decyzji?” – dopytywał dziennikarz. „Proszę zapytać mojej żony, panie redaktorze” – skwitował Trzaskowski, po czym dodał: „Proszę, żebyśmy traktowali się bardzo poważnie. Darzę Kościół katolicki i tradycję wielkim szacunkiem. I prosiłbym o to, by nie sugerować czegokolwiek innego”. Tak szanuje, że aż tępi.

Szymon Hołownia spotkał się z dziećmi i zadeklarował: „Jak zostanę prezydentem, to zaproszę was do pałacu, byśmy się spotkali i byście szczerze mi powiedzieli, czego potrzebujecie, co was boli i jak chcielibyście, by Polska wyglądała. Nie macie 18 lat, ale chcę was słuchać, chcę słuchać waszego głosu i chcę was pytać o radę i zdanie”. To bez sensu, przecież jeśli wygra Hołownia, to dziecko będzie prezydentem.

Posłanka KO Barbara Nowacka ogłosiła nową teorię spiskową: „Podejrzewamy, że będą próbowali wyłączyć jakieś jedno, drugie miasto, więcej przebadają, czy cały Śląsk, czy poszczególne części Śląska, tylko po to, żeby w drugiej turze mieć lepszy wynik. Oni się potwornie boją. Ogarnął ich strach, że Trzaskowski wygra te wybory”. Niestety, nie doprecyzowała, jak ten ciekawy pomysł miałby wyglądać kon-

kretnie, w szczegółach. W sumie byłoby to spełnienie żądań opozycji, która od tygodni krzyczy: więcej testów!

Prezydent oraz premier odwiedzili miejsce, gdzie powstaje przekop Mierzei Wiślanej i trochę pospacerowali, pozując do zdjęć. Rzecznik PO Jan Grabiec skomentował to tak: „Niech spacerują. Na spacerunku nie będą mieli tyle miejsca”. Nasza opozycja to nie są demokraci, to w istocie żądni zemsty za porażkę zamordysty. A najlepszą karą będą baaaardzo długie rządy Zjednoczonej Prawicy.

Donald Tusk zamieścił zdjęcie ze spotkania z szefem chadeckiej organizacji studenckiej Carlem Angrisano. Rzeczą przesłabą bez jakiegokolwiek echa, gdyby nie wygląd byłego premiera: nieogolony, nieuczesany, nieostrzyżony, zmęczony, smutny. Człowiek, który za każdym razem poucza polską prawicę, że trzeba się cieszyć życiem i stawiać na optymizm, wygląda, jakby wszystko przegrał, i to nie tylko w polityce. Może jednak nasze, tradycyjne polskie recepty na życie są lepsze?

Leszek Balcerowicz broni prywatyzacji. „Dla pisowców najgorszą zbrodnią jest prywatyzacja państwowej firmy. Tę wrogość uzasadniają swoją narodowo-socjalistyczną doktryną: państwowe jest dobre, bo jest narodowe. Ale chodzi im głównie o to, że każda prywatyzacja zmniejsza pulę posad, które im się przecież należą”. Teza żalosna, ale nie reagujemy zbyt nerwowo, bo przecież trudno o większego przegranego niż Balcerowicz. Nawet dzieci „Wyborczej” z niego kpią i uważają – tak jak PiS – za szkodnika.

Wojciech Mann o nowym pokoleniu dziennikarzy i muzyków: „Nikt na niższym stopniu bez konsultacji z wyższym nic sam nie powie. Oni wszyscy są jak roboty, powtarzają tylko to, co przyszło z góry, a własne myślenie zostawiają nie wiem właściwie gdzie. W sejfie?”. Po tylu latach wychowania do indywidualizmu – również przez radiową Trójkę – taki gromadny konformizm? Co poszło nie tak?

I jeszcze jeden cytat z Manna: „Aż się boję to powiedzieć, ale w radiu na Myśliwieckiej [czyli w radiowej Trójce] zawsze były czyste toalety. W Telewizji na Woronicza było dużo gorzej”. Tak, to rzeczywiście ważny wskaźnik. Teraz np. najczystsze są na stacjach państwowego koncernu Orlen, zarządzanego przez ludzi wskazanych przez pisowski rząd.



Dobra, kochani, a teraz szczerze, jak Donald Tusk w książce z pomyłkami datami. Witam wszystkich na czacie „Co mi jeszcze oddacie?” i widzę, że mamy już pierwszego gościa. Pani Klaudia z Miasteczka Wilanów pisze: „Kocham pana”. Super. Pamiętam, że kiedy pierwszy raz czytałem wyniki wyborów w Miasteczku Wilanów, pomyślałem, że tak powinna wyglądać cała Polska. Młodzi, wykształceni przez Sadurskiego, Markowskiego i Krzemińskiego, z wielkich miast i ośrodków, czytający wolną prasę Tomka Lisa, oglądający wolne media Romka Giertycha, myślący jednocześnie w kilku językach i w żadnym po polsku. Krótko mówiąc: Europa.

Powiem wam, co mnie w Polsce najbardziej wkurza. Moje imię. Niby międzynarodowe, a nikt na świecie nie potrafi przeczytać. Dlatego, kiedy myślę po francusku, to myślę „Rafael”, bo we francuskim nie ma „l”. No, chyba że w „li”, czyli „tak”, jednak jest, ale niepisane. Nazwisko też mnie drażni. Jak jeszcze byłem z Krakowa, próbowałem zmienić na „Czaskoski”. Mówię Donaldowi: „Weź, to spróbuj powiedzieć po angielsku”, a on tylko „Hałduju Duda? Hałdujuju?”. Widać, że telefon mu pordzewiał, to już nie jest ten człowiek, który po Peru w czapce biegał. Niestety, skończył się u nas czas polityki miłości za pieniądze. Jeszcze trochę i Małgosia całkiem by nas pod progiem zakopała. Taką miała kampanię – podprogową, he, he.

Bo dzisiaj trzeba być bardziej miękkim. Czemu PSL jeszcze żyje? Bo jest elastyczne! Przecież Władysław chciał niedawno koła lesbijek wiejskich otwierać, a teraz o swoim przywiązaniu do roli opowiada! Może mu o rolę lidera chodziło? Jeśli tak, to będzie musiał się odwiązać, bo już nawet dzieci po wioskach wierszyk recytują: „Płaczę pani Tygryś na gniazdku na parkurze/ bo pan Tygrys po dziesiątym miał być w drugiej turze! Tak się cieszył chłopak/ na wysokości szczydła, a tu czerwiec przyszedł/ i chłop zleciał z pudła...”. Do widzenia, Władku, do jutra.

Kolejne pytanie na naszym czacie, i znowu Klaudia, tym razem z Miasteczka Wilanów: „Jak pan to robi, że pan jest taki cudowny?”. Nie przesadzajmy, jestem zwyczajnym człowiekiem. Np. kiedy myślę po polsku o Centralnym Porcie Komunikacyjnym, to wisi mi to. Ja stamtąd latać na pewno nie będę, bo jak już wylecę, przepraszam, wyfrunę z tego gniazda słowiańskiej ciemnoty, to na pewno nie wrócę. Z kolei gdy myślę o CPK po niemiecku, to od razu mam w głowie, że najn, auswärts kontrolę, hende hoch, prawie jak w ten spot wybortschy presentiren dla mnie przez ten Stsche... Schebrowsky? Natomiast o przekopie Mierzei Wiślanej dumam wyłącznie po francusku: da, da, nu pagadi, pacziem wam, Paliaczki, pławat pa Zalawie Wisłjanym? A nie, pardon, to akurat rosyjski. To ja po rosyjsku też potrafię myśleć? Ale jaja... No, właśnie, żona mnie błaga,

Wejście cudaka



KRZYSZTOF FEUSETTE

koledzy, nawet koleżanki: nie popisuj się. Typowo polskie myślenie. Zazdrość, zawiść, frustracja, kompleksy, ciemnogród, zaścianek, peryferia. Rozumiem, że się błaga o więcej skromności kogoś, kto nie jest skromny, ale mnie?

Tym chętniej odpowiem na ostatnie pytanie. Być cudownym jest łatwo, gdy jest się cudotwórcą. Przykład pierwszy z brzegu, akurat z brzegu Wisły. Spłynęły ścieki niekontrolowane zrzutem do rzeki? Spłynęły. I co? I nic. Mogła sobie „Wyborcza” cytować Głównego Inspektora Ochrony Środowiska, że „ostrzegamy wszystkich użytkowników wody w Wiśle, kąpiących się, wędkarzy, odpoczywających nad wodą, rolników pobierających ją do pojenia zwierząt, czy do nawadniania upraw – o zagrożeniu zanieczyszczeniem wody!”. A ja co zrobiłem? Znalazłem, jakimś cudem właśnie, hydrologa Magnuszewskiego z Uniwersytetu Warszawskiego, który stwierdził, że „rzeka, po przejściu odcinka do Kazunia osiąga taki sam stan czystości, jak powyżej Warszawy” i że „te ścieki mają szansę się rozcieńczyć”. Jakaś złośliwa dziennikarka zapytała wtedy, „czy w związku z tym można

powiedzieć mieszkańcom Kazunia, że mogą wodą z rzeki poić zwierzęta i nawadniać pola?”, to jej hydrolog wyjaśnił, że najpierw „trzeba by spojrzeć na dokładne wyniki analiz chemicznych”, a „on w tej chwili nie ma do nich dostępu”. Prawda, że cud jak drut? Nie ma dostępu, a wie!

Kolejne przykłady cudów wyczynianych przez moją skromną osobę podrzucam gratis, wolne media będą wiedziały, co z nimi zrobić. Nie ma w Warszawie kasy na pomoc dla niepełnosprawnych, ale jest kasa na szkolenia lewicowych bojówek z walk ulicznych. Brakuje urzędników odpowiadających za rozpatrywanie wniosków o finansowanie z tarczy, ale nie brakuje kasy na finansowanie działalności konfidentki SB. Nie ma funduszy na darmowe parkowanie w czasie koronawirusa, żeby ludzie nie musieli cisnąć się w metrze, ale są fundusze na badania, co lesbijka ma w słoiku. Nie ma pieniędzy na umorzenie czynszów przedsiębiorcom, ale są pieniądze na plażę na Białolece, zlikwidowaną po trzech tygodniach, a nawet na paletowisko z donicami za milion złotych pod ratuszem. Rząd odbiera władzę samorządom, ale jednocześnie za dużo zrzuca im na barki. Martwię się o los przedsiębiorców, ale Warszawa wypłaca im rządowe pieniądze najwolniej. Chcę walczyć z hejtem, a zatrudniam w ratuszu autora najbardziej hejterskiej strony w internecie, lejącej wymioty – i znowu cud – wyłącznie na moich krytyków! Byłem przeciw 500+, a teraz jestem za. A potem znowu będę przeciw... No, sami powiedzcie, czy to nie cudowne – godzić w jednym człowieku, jednej twarzy i jednych ustach dwie absolutnie przeciwstawne postawy w każdej kwestii? Czy nie potrzeba dziś Polsce takiego właśnie cudu, jak ja?

**DOSTĘPNY
W APTEKACH**

**TRISEPT
MAX**
PŁYN

Skład czynny: Etanol - 730 g/kg, Propan-2-ol - 10 g/kg.
Przeznaczony do higienicznej i chirurgicznej dezynfekcji skóry, powierzchni i narzędzi medycznych, bakteriobójczy i grzybobójczy.

**TRISEPT
MAX**

Bezpieczeństwo każdego dnia

TRISEPT MAX – skuteczny środek
do codziennej dezynfekcji rąk

Działa **wirusobójczo, bakteriobójczo
i grzybobójczo**

**Produktów biobójczych należy używać z zachowaniem środków ostrożności.
Przed każdym użyciem należy przeczytać etykiety informacje dotyczące produktu.**

Trisept MAX Płyn. Produkt służący do higienicznej i chirurgicznej dezynfekcji rąk o działaniu wirusobójczym, bakteriobójczym, grzybobójczym. Produkt do powszechnego stosowania oraz do zastosowania w obszarze medycznym. Skład: Etanol 73%, Propan-2-ol, 10%, gliceryna 10%, woda oczyszczona. Producent: Tarchomińskie Zakłady Farmaceutyczne „Polfa” S.A. 03-176 Warszawa, ul. A. Fleminga 2; Wysoce łatwopalna ciecz i pary. Działa drażniąco na oczy. Może wywoływać uczucie senności lub zawroty głowy. Pozwolenie nr 0001/TP/20

TRI/501/07/05/2020



 **Ukraina**

Inaczej wobec NATO



Fot. Vitaly Holovyn/Shutterstock.com

W ubiegłym tygodniu do Berlina przyjechała delegacja z Ukrainy. W jej skład wchodził szef administracji prezydenta Zełenskiego i architekt polityki zagranicznej Ukrainy Andriej Yermak, jego zastępca Ihor Żowkwa, wicepremier odpowiadający za Donbas Aleksiej Reznikow, szef ukraińskiego MSZ Dmytro Kuleba oraz minister obrony Andriej Taran. W Kijowie podkreślają, że jest to pierwsza oficjalna wizyta zagranicznej delegacji w Berlinie po zniesieniu kwarantanny, co ma podkreślać rangę spotkania. Jednak jest ona również ważna z innego powodu. Otóż – jak napisał w ukraińskich mediach Dmytro Kuleba – Ukraina uzyskała wsparcie Niemiec w sprawie jej starań o przyjęcie do natowskiego programu Enhanced Opportunity Partnership.

Deklarację tę należy odczytywać jako istotną rewizję ukraińskiej polityki zmierzającej do uzyskania członkostwa w Sojuszu Atlantycznym. Nie rezygnując z tego celu, Kijów zamierza się teraz skoncentrować na dostosowaniu systemu prawnego, armii i kompleksu obronnego do standardów NATO. Umożliwi to realizację wspólnych przedsięwzięć z państwami NATO w basenie Morza Czarnego zmierzających do zmniejszenia zagrożenia ze strony Rosji. Rozpoczęciu kooperacji w sektorze obronnym ma służyć znajdujący się w drugim czytaniu w Radzie Najwyższej ambitny projekt reformy systemu zamówień publicznych w zakresie obronności i systemu państwowego nadzoru nad ukraińskimi firmami tego sektora. Ma on umożliwić oczyszczenie stajni Augiasza, jaką stał się system zamówień publicznych dla armii na Ukrainie. Dotychczas 90 proc. dostaw dla wojska kontraktowano na podstawie niejasnych kryteriów, a stopień korupcji był wręcz legendarny. Nowe zasady mają umożliwić przejrzystość i konkurencyjność, a także inwestycje państw NATO w ukraińskim sektorze obronnym oraz eksport jego wyrobów na rynki Sojuszu.

Zmiana strategii Kijowa w sprawie członkostwa w NATO wynika też z niemożności przewyciężenia oporu niektórych członków Sojuszu. Władze w Kijowie zapowiedziały ostatnio kompromis w kwestii szkół z innym niż ukraiński językiem wykładowym, co jest próbą zażegnania sporów z Węgrami dotychczas blokującymi zbliżenie między Ukrainą a NATO. Jednak ostatnio rząd Bułgarii wystąpił z pretensjami dotyczącymi polityki Kijowa wobec mniejszości bułgarskojęzycznej zamieszkującej okolice Odessy.

Jak się wydaje, władze w Kijowie postanowiły nie czekać na uzyskanie mapy drogowej dotyczącej wejścia kraju do NATO, co zapowiedziano jeszcze w 2008 r., lecz na razie zadowolili się statusem podobnym do tego, jaki w relacjach z Sojuszem mają Szwecja i Finlandia.

Marek Budzisz

 **Macedonia Północna**

Spór o bohatera

Kiedy w zeszłym miesiącu bułgarska minister spraw zagranicznych Ekaterina Zacharieva oświadczyła, że język macedoński jest tylko „dialektem języka bułgarskiego z elementami serbskiego”, nikogo na Bałkanach to specjalnie nie zdziwiło. Historyczne spory między Bułgarią a Macedonią Północną są tu dobrze znane. Sofia, mimo formalnie przyjaznych relacji ze Skopje i uznania państwa macedońskiego, nie zgadza się na uznanie narodowej i językowej odrębności Macedończyków. Większość bułgarskiej opinii publicznej patrzy na Macedończyków jak na naród, który jest faktycznie bułgarski, jednak okoliczności historyczne doprowadziły go do samodzielnej państwowości.

Brak uznania tożsamości macedońskiej przez Bułgarów ma swoje korzenie w historii. Np. zarówno Macedonia Północna, jak i Bułgaria uważają Goce Delczewa, przywódcę powstania w Macedonii przeciwko Imperium Osmańskiemu z końca XIX w., za swojego bohatera narodowego. Historycy bułgarscy twierdzą, że on i pozostali przywódcy powstania uważali się za Bułgarów i starali się o przyłączenie uwolnionej spod panowania osmańskiego Macedonii do państwa bułgarskiego.

Z powodu tego i podobnych sporów powołano w 2019 r. bułgarsko-macedońską komisję naukową, która miała zająć się problemami z przeszłości. Jednak w grudniu komisja pod naciskiem Macedonii przerwała prace, a powodem stał się właśnie Goce Delczew. Po rozmowach komisja miała kontynuować prace, jednak uniemożliwiła je epidemia koronawirusa i nie wiadomo, czy dojdzie do ich wznowienia.

W marcu Bruksela zdecydowała się rozpocząć negocjacje z Macedonią Północną w sprawie jej wejścia do Unii Europejskiej. Niedawno Unia opublikowała dokument na ten temat i stało się jasne, że Bułgaria postawiła Skopje kilka warunków. W jednym z nich zażądała, aby język macedoński nazywać „językiem urzędowym Macedonii Północnej”. Sofia domaga się również, aby Skopje nie używało więcej sformułowania „mniejszość macedońska” wobec Macedończyków zamieszkujących południową Bułgarię.

W Macedonii boją się, że po załatwieniu konfliktu z Grecją wokół nazwy państwa konflikt z Bułgarią stanie się nową przeszkodą uniemożliwiającą wejście do Unii. Państwo znowu stało wobec tego samego problemu, z którym zderzyło się w 1991 r., czyli w momencie odłączenia od Jugosławii. Problemem tym są sąsiedzi, którzy nie mają ochoty na prawdziwe, a nie tylko formalne uznanie niezawisłości i odrębności Macedonii.

Goran Andrianić



Fot. Indira Iwa/Shutterstock.com



Smierć George'a Floyd'a nie okaże się przełomem w USA. Choć zamieszki zbiegły się w czasie z kryzysem finansowym, to wygasną podobnie jak te w Los Angeles w 1992 r. Rozpoczęły się one po uniewinnieniu czterech policjantów od zarzutu brutalnego pobicia czarnoskórego Rodneya Kinga. Tak jak w przypadku Floyd'a, nagranie wideo obiegło media i wywołało gniew Afroamerykanów. Zamieszki w Los Angeles trwały sześć dni, a życie straciły 63 osoby. Rodney King stał się ikoną policyjnych prześladowań Afroamerykanów. Gdy znaleziono go martwego w basenie w 2012 r., we krwi miał m.in. kokainę i PCP.

Floyd również miał kryminalną przeszłość. W 2009 r. trafił na pięć lat do więzienia za napad. W jego kartotece znalazły się też kradzieże samochodów i posiadanie narkotyków. Duszony brutalnie przez policjanta z Minneapolis 46-letni Floyd zmarł na zawał serca. We krwi miał opioidowy fentanyl oraz ślady metamfetaminy.

Oczywiście nieciekawym życiorys Floyd'a nie tłumaczy w żaden sposób zachowania policji, jednak lepiej pokazuje kontekst sprawy. Słuszne są protesty przeciwko brutalności policji. Słuszne są apele amerykańskich biskupów, aby skończyć z tolerancją dla rasizmu. Ale jednocześnie nie można zapominać, że policja każdego dnia staje przed walką z ulicznymi gangami, których ideologię zawarto w utworze „Fuck The Police” grupy N.W.A., będącym w 1992 r. hymnem płonących dzielnic Los Angeles. Gangsta rap celebrytuje nienawiść do policji i zachęca do zemsty za każdy akt prawdziwego lub urojonego rasizmu policji. Warto zauważyć, że w USA powstał nie tylko antyrasistowski ruch BlackLivesMatter, ale również BlueLivesMatter, symbolizowany wywieszaną na domach amerykańską flagą z czarno-białymi pasami. To protest przeciwko przemocy wobec policjantów.

Trudno więc całkiem zlekceważyć ryzyko grożące policjantom w kraju, gdzie powszechny jest dostęp do broni, a strzelaniny gangów złożonych z Afroamerykanów i Latynosów są na porządku dziennym. Ponad 90 proc. z nich ginie zresztą z rąk przedstawicieli własnej mniejszości.

Na temat rasowych napięć w USA powstają co roku elaboraty naukowe, więc nie ma tutaj miejsca na wchodzenie w każdy aspekt tego problemu, sięgającego niewolnictwa, a potem rasowej segregacji. Jednak nie można zapominać, że brutalność policji wobec czarnoskórych nie zawsze wynika z usystematyzowanego rasizmu, ale po prostu z tego, że wśród Afroamerykanów przestępczość stanowi poważny problem.

Lukasz Adamski



Krezus znad Włtawy

Oczeskim miliarderze Danielu Křetínském zrobiło się w Polsce głośno, gdy w kwietniu 2018 r. kupił Radio Zet. W lutym 2019 r. sprzedał jednak rozgłośnie koncernowi Agora. Nie była to jego pierwsza inwestycja w naszym kraju. W 2010 r. kupił przeznaczoną do likwidacji kopalnię Silesia w Czechowicach-Dziedzicach, która pod jego zarządem zaczęła przynosić zyski. Nabył też większość udziałów w ośrodku narciarskim Czarna-Solisko w Szczyrku.

Czas pandemii Daniel Křetínský postanowił wykorzystać, by kupować akcje spółek, których wartość spadła z powodu kryzysu. Jego wzrok padł na znane firmy zachodnie. W krótkim czasie czeski krezus najpierw nabył 6 proc. udziałów w „dumie Albionu”, czyli brytyjskiej poczcie (British Royal Post Office) – liczącej ponad 500 lat instytucji – stając się trzecim największym akcjonariuszem tej spółki; następnie kupił udziały w założonej w 1858 r. amerykańskiej sieci centrów handlowych Macy's, posiadającej (na Manhattanie) największy dom towarowy na świecie; w końcu stał się właścicielem 6 proc. akcji innej firmy z USA – Foot Locker, która ma tysiące sklepów z butami na całym świecie. Wszystkie te inwestycje kosztowały go ponad 400 mln dol.

Modus operandi Křetíńskiego polega na kupowaniu po korzystnej cenie przedsiębiorstw znajdujących się w tarapatkach finansowych, wdrażaniu programu naprawczego i czynieniu z nich dochodowych firm. Nie ma przy tym większego znaczenia branża gospodarki, lecz kondycja spółki. Dlatego miliarder inwestuje w tak różne sfery jak bankowość, energetyka, budownictwo, turystyka czy media. To on w największym stopniu przyczynił się do wypchnięcia niemieckiego kapitału z czeskiego rynku prasowego, kupując tytuły należące do koncernu Axel Springer. On też kontroluje 40 proc. rynku węgla brunatnego w Niemczech.

Swoimi obecnymi posunięciami Křetínský pokazuje, że jest graczem globalnym. Na tle innych przedsiębiorców z Europy Środkowej, którzy na Zachodzie kupują głównie luksusowe wille, stanowi wyjątek.

Grzegorz Górny

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Ziemia, ojczyzna ludzi*

Falcon z Dragonem wylecieli wreszcie w kosmos. Posługiwanie się rosyjskimi sojuzami przez blisko dziesięć lat wyglądało trochę niezręcznie. Jakby amerykańska kosmonautyka przegrała wyścig, którym przed laty pasjonował się świat. Hasło „gwiezdnych wojen” pomogło prezydentowi Reaganowi przekonać Kreml, by za bardzo nie szarżował w swej ulubionej grze, zwanej „walką o pokój”. Dopóki o pokój się walczy bowiem, dopóty o pokój nie ma co marzyć.

Działo się to w latach, kiedy decydowały się losy Solidarności. Silna pozycja USA po latach zimnej wojny i żelaznej kurtyny mocno wsparła Ducha Świętego, który został wezwany przez św. Jana Pawła II, by odnowić oblicze tej ziemi. I to się stało. Ziemia nasza została wyrwana spod rosyjskiej okupacji. Obecne agresywne poczynania Rosji sprawiają, że chcemy widzieć Stany Zjednoczone silne, również dla dobra Polski.

Nie ma co się dziwić prezydentowi Trumpowi, że domaga się od Chin wyjaśnień, skąd pojawił się wirus, który zaatakował cały ludzki gatunek. W USA radykalnie podskoczyło bezrobocie. Bezrobotni wyszli na ulicę, walczą z policją. Są



Jan
Pietrzak

ofiary. Koszmar. Możliwe, że jakieś tajemne badania nad bronią biologiczną wymknęły się spod kontroli, lecz nieuniknione jest rozpatrzenie wersji trudniejszej do pomyślenia, że ktoś celowo dokonał potwornego ataku, by poprzestawiać wektory siły i strachu na globie, pozmieniać hierarchię mocarstw.

Za wypadek w ruchu drogowym, niezależnie, czy był umyślny, czy nie, kierowca ponosi konsekwencje. A za wypadek powodujący śmierć pół miliona ludzi nikt nie odpowiada? Pandemia zbierająca tragiczne żniwo ma nie być wyjaśniona? Czy to możliwe? Zmianami klimatycznymi zajmują się światowe media, ONZ, celebryci i komisarz Timmermans od zielonego ładu. A inwazją koronawirusów zajmują się lokalne władze, bezradne, nieprzygotowane na tę wojnę.

Swoją drogą, jeżeli niektóre agresywne mocarstwa mają potrzebę wyścigu zbrojeń, lepiej niech się ścigają w kosmosie niż na Ziemi. Kosmos wielki, a Ziemia mała. Ziemia – ojczyzna ludzi, wymaga od wszystkich lokatorów szacunku i troski. 

* Tytuł zapożyczony z pięknej piosenki Jonasza Kofty, śpiewanej przez Stana Borysa.

Będziemy świętować podwójnie

**Z Alicją Węgorzewską-Whiskerd, dyrektorką
Warszawskiej Opery Kameralnej, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna**

Trudno wyobrazić sobie czerwiec w Warszawie bez Festiwalu Mozartowskiego, szczególnie w roku jego 30-lecia?

Alicja Węgorzewska-Whiskerd: To całkiem nowa i niespodziewana sytuacja, zarówno dla twórców, jak i publiczności, ale i wyzwanie, bo jubileuszowy festiwal przeniesiony na kolejny sezon zbiegnie się z obchodami 60-lecia WOK. Będziemy więc świętować podwójnie, co napawa optymizmem.

A na co teraz mogą liczyć wielbiciele dzieł Mozarta?

Kultura przeniosła się do internetu i tam właśnie przez cały lipiec będzie trwał Festiwal Mozart Junior. Wpiszemy w to wydarzenie wizerunek małego Amadeusza – cudownego dziecka.

Macie też takie projekty jak „Opera z Fotela i „operaOK!”.

Oba są ogromnie popularne. Pierwszy prezentuje nasz dorobek artystyczny, drugi to fenomen w sieci nie tylko pod względem realizatorskim, lecz również precyzji wykonania, bo trzeba pamiętać, że nagrywamy w warunkach domowych. Równoległe z tymi projektami realizujemy cykl „Gdy opera drzwi otwiera” dla dzieci oraz „Operę Snack. Limited edition”.

Co planujecie na nowy sezon?

Przed nami premiery, które musieliśmy przełożyć z powodu pandemii, czyli „Castor et Pollux”, „Kwartet”, „Don Giovanni” oraz nowości: „Dziadek do orzechów”, dwie jednoaktówki Gaetano Donizettiego, powrót na afisz „Marii de Buenos Aires” i „Tango z Plácido Domingo Jr.”. Atrakcją będzie zapoczątkowany przez Leszka Możdżera cykl koncertów „Jazz z MACV” Masecki/Jagodźński/Herdzin. 



BRONISŁAW WILDSTEIN

Polska na mapie zimnej wojny

Niemiecki koncern Volkswagen poinformował, że zainwestuje 2,1 mld euro w produkcję samochodów elektrycznych w Chinach i kupi udziały w dwóch lokalnych firmach. Decyzja o tym gigantycznym przedsięwzięciu podjęta została w momencie, kiedy Stany Zjednoczone, wspierane przez sojuszników, nawołują do redukcji gospodarczego zaangażowania w Państwie Środka i coraz powszechniejsze jest przeświadczenie o zimnej wojnie, która na nowo ma podzielić glob. Tak jak w poprzedniej jej centrum na Zachodzie stanowią Stany Zjednoczone, ale tym razem ich głównym oponentem będą Chiny.

Spowodowany pandemią kryzys gospodarczy może osiągnąć skalę tego, który 90 lat temu zachwiał porządkiem świata. Skończyła się era bez trosk globalizacji opiewanej jako panaceum na wszelkie dolegliwości człowieka. Ujawniły się negatywne efekty tego procesu. Pierwszym, który bezpośrednio odsłoniła epidemia, jest uzależnienie gospodarek krajów zachodnich od Chin, które w rozmaitych gałęziach, np. w przemyśle farmaceutycznym, zmonopolizowały pierwsze ogniwa produkcji globalnej. Spowodowało to, że wyłączenie ich ze współpracy staje się – w każdym razie na czas jakiś – zasadniczym kłopotem. Dodatkowym czynnikiem, który zwiększa ryzyko takiego uzależnienia jest panujący ciągle w Chinach komunistyczny system. Istotnie zmienił się on od czasów Mao Zedonga, ale zachował swoją podstawową cechę, czyli podporządkowanie całości życia społecznego, w tym gospodarki, partii komunistycznej. Wprawdzie jej dostojnicy uznali, że lepiej indywidualnie się bogacić i centrum daje im takie możliwości oraz rozluźniło kontrolę nad ekonomią, nie znaczy to jednak, że w ogóle z niej zrezygnowało, zwłaszcza w sferze międzynarodowej. Kiedy pod adresem Chin pojawiła się krytyka, że ukrywanie przez nie epidemii doprowadziło do jej rozprzestrzenienia się na świecie, Pekin zagroził sankcjami ekonomicznymi wobec tych, którzy „naruszają jego dobre imię”.

Obecny kryzys w wymiarze globalnym najprawdopodobniej spowoduje zaostrzenie się konkurencji, która będzie miała również polityczny charakter. I w tym momencie następuje ofensywa inwestycyjna Volkswagena w Chinach. Trzeba być bardzo naiwnym, aby wierzyć, że koncern podejmuje ją bez uzgodnienia z władzami Niemiec, które wprawdzie nie kontrolują swoich potentatów ekonomicznych, ale współpracują z nimi oficjalnie i nieoficjalnie. Zjawisko to występuje w większości krajów zachodnich, ale w Niemczech jest istotnym elementem kultury politycznej.



Niemcy wyraźnie zaznaczają, że nie tylko nie będą brały udziału w zimnej wojnie przy boku USA, lecz że chętnie wejdą w opróżnione przez nie miejsce w ekonomicznej wymianie.

Już od lat 90. stopniowo Berlin coraz mocniej dystansował się od jednolitego układu zachodniego, w którym Waszyngton grał rolę kierowniczą. Szczególnie mocno akcentował to kanclerz Schröder – wspierany przez prezydenta Francji – w czasie wojny irackiej. W tym kontekście należy oceniać budowę Gazociągu Północnego, który nie ma ekonomicznego uzasadnienia. Niemcy odmawiają akceptacji bipolarnego układu na świecie i chcą być graczem na skalę światową. O ile jednak są jedną z największych potęg gospodarczych, to dystans między nimi a Ameryką czy nawet Chinami jest zbyt duży, aby mogły samodzielnie odgrywać taką rolę. Co innego, kiedy stoi za nimi UE.

To paradoks, że wspólna Europa, u której genezy leżała także neutralizacja Niemiec, stała się konstrukcją służącą realizacji ich interesów. W rozpoczynającej się erze nowej zimnej wojny Berlin usiłował będzie zachować dystans do obu stron, a nawet, pomimo że pozostanie w NATO, które ma coraz bardziej formalny charakter, usiłował będzie ściślej współpracować z Pekinem i Moskwą. Zdominowane przez lewicę, a więc nasączone antyamerykanizmem ośrodki zachodniej Europy chętnie zaakceptują ten kierunek.

Dla Polski i naszych najbliższych sąsiadów to fatalna ewolucja. Zerwanie ze Stanami to uzależnienie się od Rosji, przed którą zachodnia Europa nie będzie nawet usiłowała nas bronić. Nie jesteśmy jednak skazani na ten scenariusz. Możemy w UE próbować grać grę podobną do tej, którą Niemcy rozgrywają w układzie atlantyckim. Istotnym tego elementem jest inicjatywa Trójmorza. Wykorzystanie naszej szczególnej pozycji – przynależność do UE przy akcentowaniu realnego sojuszu z USA – daje nam dodatkowe atuty.

Podstawowym polskim problemem pozostaje szeroko rozumiana, zwasalizowana wobec Berlina opozycja wewnętrzna, która w walce o odzyskanie władzy nie liczy się zupełnie z interesem narodowym. Używa ona „europejskiej” retoryki, za którą ukrywają się imperialne ambicje Niemiec. To na walkę z nią muszą nastawić się obrońcy polskiej racji stanu. ▀



O nowej książce Autora piszemy na stronie 48

ZDJĘCIA Z PODRÓŻY Jana Ołdakowskiego PRZED KORONAWIRUSEM



Od kiedy w smartfonach instalowane są dobre aparaty fotograficzne, to niemal codziennie robię zdjęcia. Utrwalam też momenty szczególnie dla mnie istotne, powstaje wtedy naprawdę dużo fotografii, które obiecuję sobie posegregować i te gorsze skasować. Do takich ważnych okazji należą spotkania z Powstańcami podczas uroczystości obchodów rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego, przy okazji których zawsze staram się zrobić im kilka potretowych zdjęć. Powstańcy są pokoleniem ludzi wyjątkowych, którzy ciągle są zajęci, ciągle aktywni, ciągle z listą spraw do załatwienia. Ale ich twarze są zawsze rozjaśnione, z blaskiem w oku. Ważne są dla nich też spotkania z młodymi ludźmi, wolontariuszami, harcerzami, które są wzruszającymi chwilami swoistej sztafety pokoleń.



Hiszpania

W 1997 r. polecałem z żoną i dwójką przyjaciół do Andaluzji, wzięliśmy z sobą do samolotu rowery i przez trzy tygodnie zrobiliśmy 1,2 tys. km. Odwiedziliśmy najważniejsze miasta i zupełnie bezdroża. Jesienią zeszłego roku z rodziną pojechaliśmy trasą naszej ówczesnej wyprawy rowerowej. Niestety, jeździliśmy już samochodem, więc wyprawa sentymentalna nie miała tego dreszczyku emocji, który towarzyszył nocowaniu w nieznanym dzikich miejscach. Rodzinna wyprawa do Andaluzji to podróż do krainy, w której westerny z Clintem Eastwoodem kręcił Sergio Leone. Ale poza malowniczymi pustyniami olśniewają miasta, w których widać pozostałości kultury arabskiej, a ściany domów i pałaców pokrywają mozaiki i ornamenty Maurów sprzed wielu stuleci. Każdego, kto jest w Andaluzji, warto namówić na zwiedzenie pałacu Alhambra w Grenadzie, czyli warownego pałacu ze wspaniałymi ogrodami, fontannami i gipsowymi zdobieniami ścian sprzed sześciu stuleci.



Japonia

W listopadzie zeszłego roku na zaproszenie rządu Japonii mogłem spędzić tydzień w Kraju Kwitnącej Wiśni. Byłem przygotowany na to, że Japonia jest inna od Polski, ale wyobrażałem sobie, że znajdę jakieś podobieństwa wynikające z tego, że historycznie oba nasze kraje miały strukturę klasową i rządili nimi ludzie z szablami lub mieczami u pasa. Ale Japonia z bliska jest tak zupełnie inna od naszego kraju, że



Gęsta broda Jima Carreya

Historia z dawnych czasów: niemłody już krytyk literacki, zresztą znany z zupełnie innej aktywności, co tydzień przysyłał nam recenzję książki. Zazwyczaj wcale nie nowej. Zartowaliśmy, że starszy pan przechodził obok szafy z książkami i jedna mu spadła z półki – więc ją podniósł i opisał.

Może to kwestia wieku, ale mnie też różne rzeczy zaczynają spadać z półek. Parę dni temu to były „Prawdziwe zbrodnie” z 2016 r. Jak to możliwe, że przegapiłem amerykański film, którego akcja ma miejsce nad Wisłą, a gra w nim Jim Carrey oraz świetni polscy aktorzy: Robert Więckiewicz, Agata Kulesza i Zbigniew Zamachowski? Film, który na pewno był hitem, bo opowiada prawdziwą historię pisarza, który zabił człowieka, a potem opisał morderstwo w książce – a po jej wydaniu został schwytany i skazany.

Czułem się trochę jak Kubuś Puchatek. Im dłużej oglądałem, tym bardziej było nudno i przewidywalnie. Carrey zapuścił specjalnie na tę okazję gęstą brodę, więc to, z czego słynie – sugestywna mimika – było niewidoczne. Może zresztą to lepiej, bo po co komediowe sztuczki w psychologicznym kryminale. Tylko czemu w ogóle wynajmować gwiazdora, skoro z brodą nie jest do siebie podobny? Może po to, by na jego tle pokazali swój kunszt polscy aktorzy? Ale przecież oni dostali tylko epizody.

Zacisnąłem zęby i obejrzałem do końca. Potem pogooglowałem. Film pokazano w trzech czy czterech krajach, w każdym z nich po tygodniu zszedł z ekranu. W Polsce w ogóle nie zdecydowano się na dystrybucję kinową. Recenzje były bardzo złe. Choć najbardziej druzgocący jest odnośnik na stronie tego filmu w Wikipedii: „List of films considered the worst”.

Polska w „Prawdziwych zbrodniach” wypadła ponuro. Stale zachmurzone niebo, Kraków całkiem bez uroku, obrzydliwe mieszkania z brudnymi szybami, na ścianach drewniane krucyfiksy, na stołach kawa w szklankach w metalowych koszyczkach.

Opowiedziałem to koledze. Westchnął: „Całe szczęście, że to nie za nasze pieniądze”.

Otóż za nasze. Czterech znanych polskich reżyserów lekką rączką w imieniu PISF dorzuciło w 2015 r. parę milionów złotych na to arcydzieło początkującego greckiego twórcy. Ich nazwiska pomnę, i tak się pewnie wstydzą. Być może gdy usłyszeli o Jimie Carreyu dostali pomocności jasnej.

Całkiem na poważnie należałoby przemyśleć, czy nie wcielić tego PISF do Polskiej Fundacji Narodowej.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

trudno sobie wyobrazić. Za to jest ciekawa i skomplikowana. A największego wrażenia wcale nie zrobił na mnie memorial w Hiroszimie (jak sobie wyobrażałem) ani wyspa Miyajima, na której żyją jelenie uważające się za panów tej wyspy i przyszkukujące torby turystom w poszukiwaniu smakołyków. Najbardziej zachwyciło mnie małe muzeum w małym porcie Tsuruga. Tam można odnaleźć historię kilkuset polskich sierot, których rodziny zostały zesłane na Syberię i które po wybuchu rewolucji w Rosji uciekały przed bolszewikami na wschód i trafiły przez Harbin do Japonii. Tam w miasteczku Tsuruga zostały objęte opieką. Po skomplikowanych perypetiach trafiły do Polski. Jeden z tych uciekinierów został w 1944 r. dowódcą oddziału powstańczego „Jerzyki”.

Izrael

Do żadnego z miejsc za granicą nie tęsknię tak bardzo jak do Izraela, a szczególnie do Jerozolimy. W Izraelu zawsze czuję się jak w domu, nie tylko spotykając się z tymi, którzy kiedyś opuścili Polskę, lecz ciągle świetnie mówią po polsku. Odwiedzanie miejsc biblijnych jest zawsze wspaniałym przeżyciem. Bazylika Grobu Pańskiego dostarcza zawsze wzruszeń i religijnej atmosfery. Wracając z bazyliki, warto pójść drogą Via Dolorosa żeby znaleźć stację III i IV Drogi Krzyżowej, którą ufundowali polscy żołnierze generała Andersa. W Nazarecie przy wejściu do bazyliki Zwiastowania Pańskiego warto znaleźć tablicę upamiętniającą działalność polskiej szkoły, w której uczyli się po wojnie młodzi uczestnicy powstania warszawskiego. A jeśli ktoś wybierze się do Akki, to warto odwiedzić mieszczące się trochę „na środku niczego” Muzeum Bojowników Getta w kibucu Lochame ha-Geta’ot. Można tam zobaczyć duży kawałek wystawy poświęcony przedwojennej Warszawie.

Wysłuchał i spisał Michał Korsun

*Bohaterem tekstu jest dyrektor
Muzeum Powstania Warszawskiego*



OGNIEM NA WPROST

Biali na kolanach



Po ulicach amerykańskiego miasta lata Murzyn ze smartfonem i nagrywa. Zaczepia młodych białych ludzi, głównie dziewczyny. Nawet nie jest niegrzeczny. Przedstawia się jako działacz BLM (Black Lives Matter), organizacji wszczynającej czarną rebelię, i w kilku zdaniach stara się wpędzić rozmówców w poczucie winy. O dziwo ci ludzie słuchają go i o dziwo zaczynają wykonywać jego polecenia. A aktywista każe im klękać. Gdy już przed nim klękają, każe przeproszać za rzekome uprzywilejowanie związane z kolorem skóry. Filmiki robią furorę w internecie i każdy może je sobie obejrzeć. Jesteśmy tutaj niemym świadkiem tego, jak przez lata lewicowe pranie mózgów pozbawiło wielu nie tylko umiejętności widzenia świata takim, jaki on jest w rzeczywistości, ale także spowodowało utratę godności i szacunku dla samego siebie. Tych kilkudziesięciu polskich protestujących, którzy koczują pod amerykańską ambasadą w stolicy, czy w Poznaniu położyli się plackiem na betonie na znak solidarności z rabującymi masowo sklepy i palącymi samochody tzw. Afroamerykanami, jest na najlepszej drodze do osiągnięcia stanu opisanego powyżej. Jedyne, czego im można życzyć, to przede wszystkim zdrowia. Psychicznego.

Wzasadzie ostatnie wydarzenia w USA mają swoje małe plusy. Jednym z nich jest zamknięcie prawdopodobnie na zawsze dyskusji o dostępie do broni palnej. W białych dzielnicach Seattle widać, jak biali mieszkańcy z bronią krótką i długą blokują ulice dojazdowe do swoich posesji. Na innym filmiku widać zatłoczone ulice Coeur d'Alene w Idaho. Późny wieczór: na zewnątrz

chyba więcej uzbrojonych cywilów niż gwardzistów. Ogródki w kawiarniach pełne ludzi. Chodnikiem maszeruje grupka aktywistów BLM z transparentem, zachowują się spokojnie, bez cienia agresji. Niektórym z gości pijących kawę i mieszkańcom stojącym na rogach ulic zwisają z ramion na taśmach karabinki automatyczne M-16. Z kolei szeryf hrabstwa Polk (Floryda) w wystąpieniu przed kamerami namawia obywateli do uzbrajania się i stawiania wieczorem z karabinem w rękę na ulicach miasta. Otrzymał bowiem informację, że do miasta zbliżają się bandy kryminalistów zwanych protestującymi. Skończyły się głupawe teksty w stylu „Nikt nie potrzebuje magazynków na 30 naboń”. Teraz się mówi: „Po co ci ten śmieszny magazyn. Lepiej kup bęben na 100 pestek”. „Jeśli cenicie swoje życie – ostrzega szeryf hrabstwa Polk – to dla waszego dobra zostawcie nas w spokoju”. I zostawili.

Ana polskich profilach społecznościowych lewicowej partii. Razem pojawiły się komentarze broniące aktywistów – towarzyszy z amerykańskiej Antify, organizacji odpowiedzialnej za eskalację przemocy podczas ostatnich manifestacji w USA. Obok nich zamieszczono grafiki z polskimi bohaterami, wśród nich są Witold Pilecki, Irena Sendlerowa czy żołnierze Września '39. Zbitkę tę autorzy stron wyjaśniają w typowy dla lewicy pokretny sposób, usiłując zrobić wodę z mózgu młodzieży, która nie znając historii, ich popiera. „Antifa oznacza antyfaszizm. Nie mniej, nie więcej” – tłumaczą aktywiści Razem. „Szkalując antyfaszyzm, niektórzy sami wystawiają laurkę i stawiają się po stronie zbrodniczych, totalitarnych ideologii”. Miejmy nadzieję, że

już niedługo Donald Trump zrealizuje swoją zapowiedź wpisania Antify na listę organizacji terrorystycznych. Co jak co, ale to się im należy jak psu kość. A wtedy porozmawiają sobie o rotmistrzu Pileckim i Sendlerowej, ale na komisariacie policji państwowej.

Manifestacje i zbieranie podpisów to cecha nie tylko ugrupowań lewicowych, choć one przodują w zapale organizowania społeczeństwa. Takie działania chwali również z nieukrywana radością tuba rosyjskiej dezinformacji na Polskę, odprysk FSB i GRU razem wzięte – portal Sputnik. Akurat poinformował, że aktywiści z Obozu dla Mierzei Wiślanej (OdMW) zebrali już właśnie ponad 16 tys. podpisów pod petycją przeciw planowanemu przekopowi Mierzei Wiślanej. Widać „obronić” fauny i flory umiejętnie podpatrują przyrodę i ze swoich obserwacji wyciągają właściwe wnioski. W kwestii sposobu na życie biorą przykład z kleszczy, bo gdziekolwiek się pojawią, tam wyciągają swoje macki po granty. „Kleszczą” w UE, „kleszczą” na Kremlu. W ramach wdzięczności udzielają potem wywiadów, jak ten dla Sputnika. Mayra Wojciechowicz z OdMW stwierdza w nim, że „ta petycja jest dla premiera niewygodna. Pokazuje, jak duży jest społeczny sprzeciw przeciwko tej inwestycji. Premier i jego otoczenie mogli też obawiać się niewygodnych pytań z naszej strony”. Ponieważ kleszcz nie zastanawia się, kogo kąsa, podobnie jest w tym przypadku. Per saldo uderza to bardziej w kandydata Rafała Trzaskowskiego, któremu zawsze można teraz będzie zaśpiewać piosenkę modnego ostatnio Kazika „Panie Rafale, pan się nie boi / Władimir Władimirowicz za panem stoi”.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

Niezastąpiony las

Lasy – najbardziej różnorodny ekosystem lądowy, w którym w dynamicznej równowadze współżyją ze sobą rośliny i zwierzęta. Lasy, powszechnie nazywane „płucami Ziemi”, poza oczyszczaniem powietrza i dostarczaniem tlenu posiadają funkcję wodochronną, dzięki czemu odgrywają istotną rolę w obiegu wody. Wilgoć unosząca się w powietrzu za pośrednictwem liści, igliwia i gałęzi w skroplonej postaci spływa po korze do gleby leśnej. Ta ostatnia wraz z warstwą ściółki i humusu absorbuje wodę i magazynuje, spowalniając jej spływ powierzchniowy. W ten sposób powstają naturalne zbiorniki retencjonujące wodę. Las jest także niezastąpionym filtrem wody źródlanej – oczyszcza ją i ogranicza rozprzestrzenianie się substancji toksycznych. Tereny zadrzewione posiadają zdolność częściowego absorbowania substancji radioaktywnych. Drzewa hamują siłę wiatru i tworzą także w ten sposób lokalny mikroklimat.

Powierzchnia lasów w Polsce wynosi obecnie ponad 9,2 mln ha, co stanowi 29,6 proc. powierzchni kraju. Pod tym względem jesteśmy w europejskiej czołówce. Począwszy od 1945 r., lesistość naszego kraju została zwiększona z 21 do blisko 30 proc. pod koniec 2018 r. Zdaniem naukowców w rodzimych lasach występuje ok. 60–70 proc. wszystkich dotychczas poznanych i opisanych krajowych organizmów dziko żyjących. Najbardziej zalesionym województwem jest lubuskie, gdzie udział lasów wynosi blisko połowę jego powierzchni.

Ponad 10 proc. powierzchni kraju zajmują tereny nieprzydatne rolnikom, które mogłyby zostać zalesione, tworząc połączenia z istniejącymi kompleksami leśnymi i kontynuując ciągi migracyjne zwierząt oraz korytarze ekologiczne, a także sprzyjając podnoszeniu poziomu wód gruntowych.

Od 1 czerwca br. w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa można składać wnioski o przyznanie wsparcia na zalesianie w ramach Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014–2020. Nabór potrwa do 31 lipca br. Rolnicy uzyskają wsparcie finansowe na założenie nowego lasu na stanowiących ich własność (lub małżonka) gruntach, na których prowadzenie produkcji rolnej może być utrudnione lub nieopłacalne. Maksymalna powierzchnia, do której można otrzymać pomoc, wynosi 20 ha, a minimalna 0,1 ha. Za posadzenie lasu rolnik otrzymuje jednorazową zryczałtowaną płatność, która wynosi od 8307 zł/ha do 12 707 zł/ha w zależności od grupy gatunków drzew użytych do zalesienia (iglaste i liściaste), gruntu, nachylenia terenu, wyboru sposobu zabezpieczenia uprawy leśnej. Dodatkowe środki przekazywane są na ogrodzenie terenu albo zabezpieczenie drzewek palikami. Przez pięć lat od posadzenia drzew rolnicy mogą otrzymywać tzw. premię pielęgnacyjną,



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

*Powierzchnia lasów w Polsce
wynosi ponad 9,2 mln ha,
co stanowi 29,6 proc. powierzchni
kraj. Pod tym względem jesteśmy
w europejskiej czołówce*

rekompensującą koszty prac polegających na wykaszaniu chwastów, cięć pielęgnacyjnych i przeznaczania samosiewów. A przez 12 lat „premię zalesieniową”, która stanowi zryczałtowaną płatność z tytułu pokrycia kosztów utraconych dochodów z działalności rolniczej, którą można by prowadzić na tych gruntach.

Proces zalesiania odbywa się pod nadzorem nadleśniczego Państwowego Gospodarstwa Leśnego Lasy Państwowe, który opracowuje plan zalesienia wskazujący, które gatunki drzew na danym obszarze powinny zostać posadzone, kiedy należy to uczynić i jaką metodą, a także opisujący, jak chronić sadzonki przed zwierzyną.

Decydując się na założenie lasu, uzyskujemy udział w staraniach o czyste powietrze, równowagę hydrologiczną, zapewniamy więcej przestrzeni dla żyjących w Polsce roślin i zwierząt i możemy cieszyć się wyjątkowymi walorami krajobrazowymi.

REKLAMA



**DOBRE SŁOWO
NA FALI**



**SŁUCHAJ NAS
ONLINE**



www.radiowarszawa.com.pl

43/0520/F

RZECZY POSPOLITE

Dumna Ameryka?

Law and order” – rzucił hasło Donald Trump w reakcji na to, co dzieje się w USA. Rozwydrzone czarnoskóre grupy (w których owszem zdarzali się i biali, lecz kim była większość, każdy widział) wpadały do sklepów i rabowały na potęgę, co się da. Kilka filmików, które pojawiły się w mediach społecznościowych, zrobiło na mnie szczególne wrażenie. Mówiły wiele o tym, co się dzieje w Ameryce. Oto do sklepu znanej marki butów przez rozbite okno wystawy wpadali kolejni „oburzeni” za zabicie Floyda. Notabene, żeby było jasne – policjant, który go zamordował, powinien ponieść zasłużoną surową karę.

Ale „walczący z opresją białych” czarnoskórzy mścili się, rabując buty, dziesiątki, setki opakowań butów. Biegali jak opętani, radośnie, dziko, chciwie. Kręcił ich komórką jakiś czarnoskóry (słysząc po akcencie), który pytał: „Co robicie?” i błagał: „Przestańcie!”. Był zrozpaczony. Jakby wiedział, że te rabunki są zaprzeczeniem protestu przeciwko złu, bo są złem samym w sobie. Kwestia Floyda się nie liczy. Liczą się rozróbki i zdobycie za darmo towaru. Na innym filmie oburzeni spalili bezdomnemu materac, na którym ten



**Tomasz
Łysiak**

sypiał na ulicy. Najeszcze innym biała drobna kobieta stała przed swoim sklepem, usiłując obronić go swoją spokojną postawą. Nic to nie dało. Kilku czarnoskórych bandziorów zaczęło tłuc ją jakąś deską. Pobili ją, a potem rozbili wystawę i okradli sklep.

Na innym zaś filmie... Widziałem setki białych. Klęczących przed czarnoskórymi. I błagających o wybaczenie.

„Jaki tego sens?” – zacząłem pytać sam siebie w duchu. Dlaczego mają przepraszać za zabójstwo, za które powinien siedzieć i prosić o przebaczenie ten, który to uczynił, nieważne jakiego koloru skóry jest? Dlaczego czują się winni? Gdzie się podziały jakaś podstawowa godność, duma, zwykłe poczucie tego, że nie ponosimy winy za złe uczynki jakiegoś durnia?

„Prawo i porządek” – powiedział Trump, zgodnie ze wcześniejszymi zapowiedziami podczas prezydentury. Oby mu się to udało. Amerykanie, którzy polecili w kosmos z misją Space X, przywrócili temu narodowi poczucie dumy. Oby udało się to uczucie dumy utrzymać. Szczerze tego życzę. Make America proud again.

Trupy z niemieckiej szafy

5 czerwca minął, a z nim rocznica. Która i czego? „...dziesta” rocznica ciągnącej się niemal od chwili zjednoczenia Niemiec dyskusji polityków zza Odry o... upamiętnieniu ofiar napaści na Polskę w 1939 r. Mówiąc bez ogródek, o 6 mln trupów chodzi, że nie wspomnę o innych ofiarach i stratach, z których nasz kraj wylizuje się do dziś. Deklaracje są, a jakże, składane zazwyczaj okazjonalnie przez niemieckich notabli, w tym są mistrzami, tylko pomnika jak nie było, tak nie ma.

Dokładnie rok temu rząd federalny wydał oświadczenie, że – cytuję – „popiera inicjatywę obywatelską wzniesienia w centrum Berlina pomnika Polaków upamiętniającego polskie ofiary niemieckiej okupacji w latach 1939–1945”. Oświadczenie to było odpowiedzią na zapytanie posłów Lewicy, co z apelem grupy polityków, naukowców i działaczy społecznych do Bundestagu z... 2017 r. w tej sprawie. I jak zwykle w takich razach, padła obietnica, że najpóźniej 8 maja 2020 r. projekt budowy tego pomnika będzie poddany pod głosowanie parlamentu. I co? I nic. Głosowanie odłożono bezterminowo. Dlaczego? Dlatego że polityczna wierzuszka Niemiec, budujących jakże przyjazne i partnerskie relacje z naszym krajem, nazywane nad Szprewą „nowym rozdziałem w historii”, boi się... kompromitacji.



**Piotr
Cywiński**

Powodów jest kilka: po pierwsze, za upamiętnieniem wymordowanych Polaków opowiada się tylko 260 z 709 posłów Bundestagu, po drugie, rząd wielkiej koalicji chadeków i socjaldemokratów ledwo zipie i boi się, że upamiętniając polskie ofiary wojny, narazi się tzw. wypędzonym, po trzecie, pojawiła się nowa inicjatywa Alternatywy dla Niemiec, aby wzniesić w Berlinie pomnik... niemieckich ofiar wojny.

A tak w ogóle to dość tego „nacionalizowania upamiętniania” – szepce się po kątach. Postawi się pomnik Polakom, to odezwią się inni, że też by chcieli... Wystarczy, mają już żydowskie ofiary, mają Sinti i Romowie, mają homoseksualiści..., ba, i to ile, ostatni z pomników – „pamięci osób homoseksualnych prześladowanych przez nazizm” – odsłonięto w sercu Berlina, w parku Tiergarten w 2008 r., de facto drugi w stolicy, bo ta grupa została już upamiętniona na Nollendorfpplatz, a w sumie jedenasty, jako że takowe są już w Buchenwaldzie, w Dachau, we Frankfurcie nad Menem, w Hamburgu, Kolonii, Lubecie, Monachium, Norymberdze i w Oranienburgu, ale żeby pomordowanym Polakom? Gdyby tych polskich trupów w niemieckiej szafie było kilkanaście tysięcy, ale upamiętniać 6 mln...? Zaiste, to byłby dopiero wstyd i hańba, po niemiecku: es wäre wirklich eine Schande...

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

AUTORY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSSETTE, MARCIN FLJÓŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSZTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, Cezary KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR,
JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYDZIAŁ: ANNA ŁABECKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL,
BARTŁOŃ SYPERSKI, BARTŁOŃ.SYPERSKI@FRATRIA.PL
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIECŁIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE)
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMOWIANYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMIOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, JAN BIELECKI/EASTNEWS, MACIEJ STANISZAK/REPORTER,
SHUTTERSTOCK.COM



pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**



Badania realizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1058.

Zakres czasowy badania 29 maja–2 czerwca 2020 r.

Ekstremista

Fajny facet. Taki sympatyczny, uśmiechnięty. Nowoczesny, normalny. Racjonalny, rozważny, skromny. A może tak obedrzyć go z piarowskiego teflonu? Odłożyć na bok deklaracje, a spojrzeć na czyny? Kogo zobaczymy? Człowieka w wielu sferach fanatycznego, którego niektóre decyzje stanowią realne zagrożenie dla nas wszystkich



MAREK PYZA

Na czas kampanii prezydenckiej politycy zwykle łagodzą swoje oblicze. Wyglądają dotychczas prezentowane poglądy, by nikogo do siebie nie zrazić. Udają, że skrajne wypowiedzi z ich ust nigdy nie padały albo w najgorszym razie zostały źle zrozumiane. Czasem wolą zaryzykować i stać się nawet nudnawymi, niż powiedzieć jedno zdanie za dużo, by nie zostać uznanymi za radykałów. Kampania Rafała Trzaskowskiego będzie znakomitą studium, jak maksymalnie zmienić oblicze kandydata.

Czy to w ogóle możliwe? Czy da się wyreżyserować go tak, by był uznawany za miłego chłopaka, którego za zięcia chciałaby każda matka? Czy uda się przekonać Polaków, że to człowiek o umiarkowanych poglądach? W polityce wiele jest możliwe. Ale to nie znaczy, że mamy zapomnieć, jaki naprawdę jest kandydat, co przez lata mówił i robił.

TĘCZOWY

Gdy dziś jest pytany o kwestie LGBT, kluczy. Przy pytaniach o tzw. małżeństwa homoseksualne w najlepszym razie deklaruje się jako zwolennik „związków partnerskich”. A przecież przed dwoma laty w TVN24 zapytany, czy wyobraża sobie siebie, jak udziela ślubu parom tej samej płci, odpowiedział: „Bardzo bym chciał być pierwszym prezydentem Warszawy, który takiego ślubu mógłby udzielić. To są moje osobiste przekonania”.

To, co miał na sztyndardach, zaczął wprowadzać w życie, rządząc Warszawą. Zaczęło się w grudniu 2018 r. od kuriozalnego „tramwaju różnorodności”. W lutym 2019 r. podpisał deklarację na rzecz społeczności LGBT, w której

zobowiązał się m.in. do wprowadzania tzw. edukacji antydyskryminacyjnej i antyprzemocowej w szkołach czy wspierania działań na rzecz edukacji seksualnej zgodnej ze standardami WHO, o których najłagodniej można powiedzieć, że zmierzają do deprawacji dzieci (zakładają bowiem choćby, że już przed szóstym rokiem życia najmłodsi mają doświadczać „radości i przyjemności z masturbacji”). W stolicy ma też powstać hostel dla osób „nieheteronormatywnych”. W czerwcu ub.r. ulicami stolicy przeszła Parada Równości, nad którą prezydent objął patronat.

Panu prezydentowi nie przeszkadza, że jego zastępca Paweł Rabiej (powołany przez Trzaskowskiego) otwarcie opowiada się za doprowadzeniem

Gdy dziś jest pytany o kwestie LGBT, kluczy. Przy pytaniach o tzw. małżeństwa homoseksualne w najlepszym razie deklaruje się jako zwolennik „związków partnerskich”

w Polsce do adoptowania dzieci przez pary jedнопłciowe – w etapach „najpierw wprowadźmy związki partnerskie, potem równość małżeńską, a na koniec przyjdzie czas na adopcję dzieci”. Dla tego samego Rabieja aborcja nie jest zabijaniem dzieci, lecz „usuwanie niechcianej ciąży”. „To kwestia wordingu” – tłumaczył dziennikarzom.

Nic więc dziwnego, że kandydaturą Trzaskowskiego zmartwiona jest Lewica. Wydawało się, że komuś jak komu, ale Robertowi Biedroniowi nie da się zabrać palmy pierwszeństwa, jeśli chodzi o skrajnie lewicowe postulaty w sferze obyczajowej. Kandydat KO tego jednak dokonał i podbiera elektorat Lewicy.

Warto dodać, że przy tym wszystkim Trzaskowski opisuje siebie jako katolika i oburza się, gdy jest nazywany

antyklerykałem. Nie należy się z nikim ścierać na głębokość wiary, ale w sprawie ewentualnej głowy państwa zasadne jest pytanie: co to za katolik, który wyraża powyższe poglądy, a przy tym zabrania dziecku przystąpić do Pierwszej Komunii Świętej? Z jakiego powodu? Tłumaczyła to żona Trzaskowskiego: „Kościół nie zdał egzaminu, gdy PiS atakował sądy czy prawa kobiet”.

ZADYMIARSKI

Gdy przed tygodniem zapytano Rafała Trzaskowskiego o działalność w USA bojówkarskiej lewackiej organizacji Antifa, prezydent wypalił: „Ja się nie zajmuję Stanami Zjednoczonymi. Ja się zajmuję Polską, Warszawą i powiazaniami Warszawy z Nadarzynem”. Nie pomogło uzmysłowienie mu przez dziennikarza, że jako głowa państwa będzie musiał interesować się również tym, co dzieje się u naszego strategicznego sojusznika za oceanem. „Jeżeli pan redaktor zada mi poważne pytanie o to, co się dzieje w Unii Europejskiej, a w tej chwili przed rządem olbrzymie wyzwanie negocjacji unijnych pieniędzy, bo na razie jest tylko dobra propozycja na stole, jeżeli zapyta mnie pan o politykę bezpieczeństwa, to ja chętnie panu na takie pytanie odpowiem” – stwierdził kandydat.

Skąd bierze się jego niechęć do skomentowania bandyckich działań Antify, którą Donald Trump właśnie uznał za organizację terrorystyczną? Czy tylko stąd, że w 2010 r. wslawiła się prowokacjami i zadymami w czasie znienawidzonego przez PO Marszu Niepodległości? Czy może stąd, że warszawski ratusz finansuje szkolenie anarchistów?

Portal Życie Stolicy poinformował, że urząd miasta przeznaczył 3,6 mln zł na Biennale Warszawa. Jak się okazuje, w ramach „Społecznej Szkoły Antykapitalizmu” ta instytucja kultury zorganizowała m.in. zajęcia zatytułowane „Własność prywatna to kradzież. Własność wspólna to bogactwo” czy „Taktyki miejskie/uliczne gimnastyka, czyli techniki działania grupowego”. Te ostatnie były szkoleniem przygotowywanym

przez osoby z ruchów typu Syrena (anarchistyczny kolektyw i komuna mieszkaniowa) czy Studencki Komitet Antyfaszystowski, opisujące się jako „feministki, komuniści, antykapitaliści”. Biennale Warszawa tak przedstawiało ruch pod nazwą Kolektyw Szarańcza, którego członkowie mieli prowadzić szkolenia: „Grupa oddolna, której celem jest tworzenie przestrzeni do wymiany wiedzy na temat akcji bezpośrednich. (...) Zajmujemy się takimi zagadnieniami jak szybkie podejmowanie decyzji, bezpieczeństwo, techniki demonstrowania itp.”.

Zamknięta sesja praktyczna zajęć z tymi skrajnymi środowiskami odbyła się akurat tydzień przed Marszem Niepodległości.

HEJTERSKI

Gdy tylko marszałek Sejmu ogłosiła datę czerwcowych wyborów, Koalicja Obywatelska ruszyła (tym razem już legalnie) ze zbiórką podpisów poparcia dla kandydatury Trzaskowskiego. Natychmiast włączył się w to najbardziej hejterski zaulek polskiego internetu, czyli SokzBuraka.

Jeden z jego administratorów Martin Mycielski zbierał nawet podpisy w Brukseli ramię w ramię z Donaldem Tuskiem. Były premier pochwalił się później, że w ciągu godziny znaleźli 300 osób popierających start Trzaskowskiego.

Twórca i mózg SzB to zaufany człowiek Platformy, a zwłaszcza Trzaskowskiego. Mariusz Kozak-Zagózda, bo o niego chodzi, stał za kampanią samorządową późniejszego prezydenta (pracował dla KO również przy kilku innych elekcjach). Spisał się na tyle dobrze, że po wyborach został zatrudniony... w biurze marketingu stołecznego ratusza. Wcześniej, jeszcze w czasie prezydentury Hanny Gronkiewicz-Waltz, dostał lewy etat w miejskiej spółce TBS Warszawa Południe. To kolejne posady, jakie zapewniła mu PO (obok dobrze płatnej roboty w klubie parlamentarnym, w Komitecie Małgorzaty Kidawy-Błońskiej oraz regularnych umów-zleceń dla komitetów partii). W sumie partia wydała na niego ponad

400 tys. zł (w urzędzie Trzaskowskiego zarabia ponad 8 tys. zł miesięcznie).

Wszystkie te fakty ujawniliśmy w tygodniku „Sieci”. Prezydent Warszawy zamiast przeprosić i odciąć się od tego człowieka, oznajmił, że w zasadzie to jest dumny z zatrudnienia tak znakomitego fachowca od PR w internecie.

ROZRZUTNY

Kozaka-Zagózdę Trzaskowski utrzymuje z publicznych pieniędzy. Tych samych, o które tak się rzekomo martwi, czego owocem ma być projekt „ustawy skromnościowej”. Kandydat proponuje

Skłonność do zaciskania budżetowego pasa jakoś nie objawia się w urzędzie kierowanym przez Trzaskowskiego. Okazuje się, że dyrektorzy biur w warszawskim ratuszu zarabiają więcej od ministrów

zmianę przepisów dotyczących zarobków w spółkach skarbu państwa, które według niego są bezwstydnie „dojone”.

„Trwa kryzys. Liczba bezrobotnych w Polsce zbliża się do 1 mln. Tymczasem partyjni nominaci zarabiają krocie w spółkach, których głównym celem jest często przede wszystkim nabijanie ich kieszeni. Dlatego proponuję ustawę skromnościową. #MamyDość rozpasania władzy!” – pisał na Twitterze 2 czerwca.

Tej dbałości o publiczny grosz nie przejawiał w latach 2013–2015, gdy zasiadał w rządzie. Nie bolało go, że ekipa PO-PSL tak bardzo czerpała garściami złoto z państwowych przedsiębiorstw, iż jedną z pierwszych ustaw dotyczących administracji po zmianie władzy na jesieni 2015 r. była ta dotycząca zarobków w spółkach skarbu państwa. Wcześniej bowiem ustawa kominowała

była zupełną fikcją, a platformerscy spryciarze obchodzili ją, np. masowo podpisując kontrakty menedżerskie.

Skłonność do zaciskania budżetowego pasa jakoś nie objawia się też w urzędzie kierowanym przez Trzaskowskiego.

„Przeciętne wynagrodzenie 133 najbliższych współpracowników Rafała Trzaskowskiego wynosi 16,3 tys. zł. W oświadczeniach brak informacji, czy są to kwoty brutto czy netto, można się tylko domyslać, że brutto. Ale i tak te kwoty szokują. Nie ma drugiego urzędu w Polsce z tak wysokimi wynagrodzeniami!” – mówi „Super Expressowi”

były warszawski radny, a dziś poseł i wiceminister sprawiedliwości Sebastian Kaleta. Okazuje się, że dyrektorzy biur w warszawskim ratuszu zarabiają więcej od ministrów: szef Biura Cyfryzacji – 361 tys. zł (rocznie), szef Biura Księgowości – 314 tys. zł, wiceszef Biura Polityki Lokalowej – 309 tys. zł itd.

To tylko dopełnia obrazu miejskiego gospodarza, jaki zobaczyliśmy przy okazji ubiegłorocznej „strefy relaksu”, czyli paru palet na parking w centrum miasta (koszt – 1 mln zł), czy 100 tys. zł przekazanych Abdulowi, bigamiście z Dagestanu, któremu stołeczny ratusz zlecił opiekę nad kozami pasącymi się na wiślanej wysepce. Nikt tego

nie nadzorował, połowa stada padła.

A może Rafał Trzaskowski po prostu nie ma pojęcia o ekonomii i dystrybucji środków? Może nie nadaje się do zarządzania większymi pieniędzmi? Świadczyłby o tym jego tweet z listopada 2015 r. po exposé premier Beaty Szydło: „Obniżenie wieku emerytalnego, 500 zł na dziecko, kwota wolna, darmowe leki. Wszystko w 100 dni = katastrofa budżetowa”. Jak wiemy, nie tylko nie było żadnej katastrofy, lecz na koniec kadencji udało się nawet po raz pierwszy w historii III RP zbilansować budżet bez deficytu (zanim pojawił się koronawirus).

KOSMOPOLITYCZNY

W 2015 r., gdy Trzaskowski zasiadał jeszcze w rządzie (jako wiceszef MSZ), był jedną z twarzy projektu osiedlania

w Polsce nielegalnych imigrantów z krajów arabskich. To w wyniku jego osobistych negocjacji deklarowana wcześniej liczba 2 tys. migrantów miała się zwiększyć o kolejne 5 tys.

W kwietniu 2016 r. Parlament Europejski był we wstępnej fazie wojny z polskim konserwatywnym rządem (za sojusznika miał naszą opozycję). Przyjął wówczas pierwszą rezolucję, w której czytaliśmy banialuki o „zagrożeniu demokracji, praw człowieka i praworządności” w naszym kraju. Wtedy politycy PO jeszcze się nieco kryli z donosami do Brukseli. A, jak się okazało, było co kręć. Rafał Trzaskowski był bowiem jednym z autorów rezolucji, nanosił do niej poprawki, co ujawnił europoseł Tomasz Poręba.

W 2018 r. późniejszy dubler w wyborach prezydenckich powie: „Mamy gigantomanię PMM, który proponuje lotnisko w szczerym polu. W Berlinie udało się po latach, i będziemy mieli lotnisko, które... no trudno będzie z nim konkurować”.

Jeśli ktoś myślał, że ta odnosząca się do budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego wypowiedź z maja 2018 r. była jakimś lapsusem, albo choć wynikiem braku namysłu nad wypowiedzianymi słowami, to teraz może się przekonać, iż prezydent Warszawy mówił śmiertelnie poważnie. Gdy coraz mocniej rozpędzają się przygotowania do budowy CPK, który będzie największą polską inwestycją od dekad, szansą infrastrukturalną, jakiej nie odważył się podjąć żaden rząd po 1989 r., Trzaskowski postuluje przerwanie prac i przeznaczenie zaoszczędzonych środków na walkę ze skutkami epidemii.

Rafał Trzaskowski nie jest głupim facetem. Musi wiedzieć, że największe pieniądze na CPK wydamy dopiero wtedy, gdy pewnie wszyscy zapomnimy już o koronawirusie, że inwestycja pod Baranowem to co najmniej dziesiątki tysięcy miejsc pracy, że to skok w znaczeniu Polski na mapie Europy.

A zatem w jego postulacie musi być drugie dno. Jak nic przypomina

się zdanie o lotnisku w Berlinie. Czy chodzi o charakterystyczną dla PO uległość wobec Niemiec, postkolonialne kompleksy, które politycy tej formacji leczą od czasu do czasu na europejskich salonach? I jak rozumieć analogiczne zwalczanie przekopu Mierzei Wiślanej, którego zatrzymanie też się domaga – czy to po to, by nie drażnić drugiego silnego sąsiada? Co prawda jego partyjni koledzy – którzy wiedzą, że tej inwestycji nie da się zatrzymać, a sam Trzaskowski głosował za nią w Sejmie – już tłumaczą, że kandydat został źle zrozumiany (tak pudrują warminscy działacze PO), albo że „to była taka figura retoryczna” (poseł Robert Kropiwnicki), ale wrażenie przedkładania interesu obcych państw ponad polskie pozostaje.

Z „figurami retorycznymi” Trzaskowskiego PO może mieć w tej kampanii jeszcze niejedyn problem. Wystarczy, że coraz częściej będzie mówił, co naprawdę myśli, a sztabowcy nie nadążą z tłumaczeniami.

REKLAMA

POZNAJ HISTORIĘ WYWIADU WOP!

1945-1990

NOWA KSIĄŻKA LECHA KOWALSKIEGO

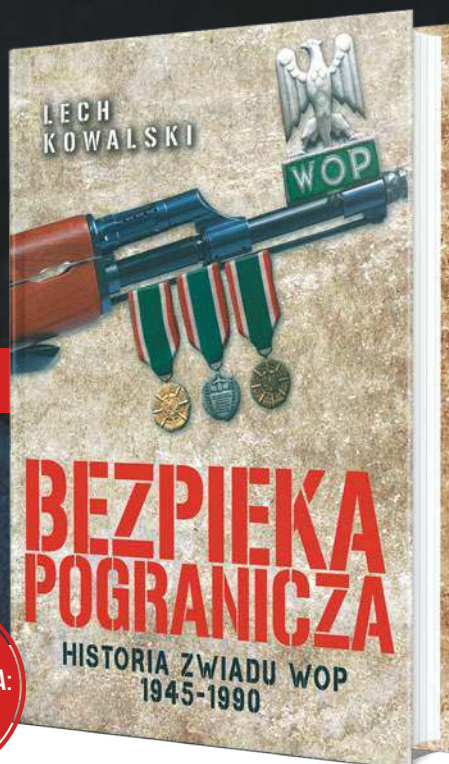
- * Pogranicze w ogniu
- * Formowanie WOP
- * Zwiad WOP - elita bezpieczniacka
- * Zasady funkcjonowania WOP

PATRONAT MEDIALNY:

 **HISTORIA**
.ORG.PL

 **HISTORYKON.PL**

KSIAŻKA
DO KUPIENIA NA:
WWW.XLM.PL



CENZORSKI

„W miejsce TVP powstanie nowa telewizja. Bez TVP Info, wiadomości, publicystyki politycznej. Bez tego, co zatruwa nasze życie publiczne” – rzucił na konferencji prasowej w połowie maja. Dotychczas nikt jeszcze tak otwarcie nie mówił o chęci zniszczenia publicznej telewizji. Nawet Donald Tusk, gdy namawiał Polaków do łamania prawa i nieplacenia „haraczu” (jak nazywał abonament radiowo-telewizyjny), był bardziej subtelny. Trzaskowski zaś buńczucznie grozi dziennikarzom Telewizji Polskiej, że to ostatnie tygodnie ich pracy.

Taki plan spowodował lawinę sprzeciwu innych kandydatów, również tych niespecjalnie sympatyzujących z TVP: „Leczenie nie oznacza jednak unicestwienia. W związku z tym nie uważam pomysłu Rafała Trzaskowskiego za dobre rozwiązanie” (Władysław Kosiniak-Kamysz). „Likwidowanie mediów to jakiś absurd” (Szymon Hołownia). „Niech ręka boska broni każdego, kto będzie chciał zlikwidować media publiczne” – nawet kandydat Lewicy stanął w obronie telewizji, a zapytany, czym różniłby się prezydent Biedroń od prezydenta Trzaskowskiego, wyliczał: „Prezydent Biedroń zadbałby o dobre państwo. PO prywatyzowała szpitale, zamykała połączenia autobusowe, kolejowe, chciałyby zamknąć nam telewizję publiczną. My jako Lewica i ja jako kandydat na prezydenta chciałbym być dobrym gospodarzem, który będzie dbał o dobry szpital, dobrą szkołę, dobry urząd”.

Trzaskowski jest orędownikiem wolności słowa, pod warunkiem że słowo to opiewa jego i jego partię matkę. Gdy w radiowej Trójce rozpętała się afera w związku z wątpliwościami dotyczącymi manipulacji przy liście przebojów, grzmiał o „cenzurze, jaką pamięta z komuny”. Gdy sam chce zamykać telewizję, która ośmiela się patrzeć mu na ręce – w jego mniemaniu walczy o wolne media.

DZIELNICOWY

Przed rokiem, gdy niektórzy bajali o Ruchu 4 Czerwca jako początku no-

wego bytu politycznego, na 30-lecie wyborów z 1989 r. uchwalono w Gdańsku „21 tez dla Polski”. Inicjatywa platformerskich prezydentów największych miast była zbiorem przedziwnych postulatów, których realizacja pod płaszczykiem decentralizacji zmierzałaby de facto do czegoś na kształt rozbitcia dzielnicowego Polski.

Reduty władzy PO, jakimi są duże ośrodki miejskie, chciały dla siebie jeszcze więcej na jeszcze dłużej (postulat zniesienia kadencyjności w samorządach, likwidacja urzędu wojewody). Według scenariusza „21 tez” takie ośrodki miałyby stuprocentową samodzielność prawną, organizacyjną i majątkową (ciężkawę, jak miałyby sobie radzić np. dziś, w czasie epidemii, zwłaszcza w kontek-

W 2015 r., gdy Trzaskowski zasiadał jeszcze w rządzie (jako wiceszef MSZ), był jedną z twarzy projektu osiedlania w Polsce nielegalnych imigrantów z krajów arabskich

ście żądania decentralizacji służby zdrowia czy władztwa samorządowców nad sanepidem...), a nawet własną policję. Domagano się konsultowania z lokalną władzą każdego (!) projektu ustawy, co oznaczałoby zdemolowanie konstytucyjnego ustroju RP i całkowity paraliż decyzyjny. Marzył im się też skok na kasę – tę państwową (przekazanie samorządom mienia publicznego, będącego w zarządzie centralnym) i tę mieszkańców (prawo do dowolnego podnoszenia lokalnych podatków).

Nic więc dziwnego, że w komentarzach do tej inicjatywy słychać było głosy o wypowiedzeniu posłuszeństwa państwu i drodze do rozbioru Polski. 4 czerwca 2019 r. w Filharmonii Bałtyckiej prezydent Warszawy podpisał się pod 21 tezami.

OBŁUDNY

Skoro powyższa lista jest tak imponująca, należy wysnuć jeszcze jeden wniosek. Rafał Trzaskowski jest również skrajnie dwulicowy. Jego deklaracje nijak się mają do działań. Deklaruje umiłowanie wolności słowa, a chce zamykać media. Pozuje na nowoczesnego patriotę, a przedkłada interes Brukseli czy Berlina nad interes Warszawy. Postuluje oszczędności w administracji, a sam rozdaje urzędnikom miliony. Chce walczyć z mową nienawiści, a zatrudnia w ratuszu króla hejtu. Pozuje na katolika, a wspiera ideologię walczącą z Kościołem.

Lista jego niekonsekwencji i totalności jest długa. Trudno ją wyczerpać. Nie sposób na koniec nie wspomnieć o elemencie może drobnym, ale jakże symbolicznym. Niedawno powtórzył, że śp. Lech Kaczyński powinien mieć w Warszawie swoją ulicę. Nie wystarczyło jednak Trzaskowskiemu półtora roku stołecznej prezydentury, by do tego doprowadzić. Ograniczył się do parokrotnych zapowiedzi. Z tym samym zastrzeżeniem: zrobimy to po wyborach. Zawsze po jakichś wyborach. By „nie wykorzystywać sprawy politycznie”.

A przecież tragicznie zmarły prezydent miał swoją ulicę – od 2017 r., gdy na podstawie ustawy dekomunizacyjnej stał się patronem dotychczasowej al. Armii Ludowej. Jednak nie doprowadzili do tego radni, lecz – wobec ich beczynności – wojewoda mazowiecki. Na taką decyzję poskarżyła się sądowi rada miasta. I wygrała. Można powiedzieć, że wygrała Platforma, która nie dopuściła, by znienawidzony przez nią Lech Kaczyński miał w Warszawie (której był prezydentem i honorowym obywatelem) reprezentacyjną ulicę. Kandydat KO na najwyższy urząd w państwie wydaje się tym rozstrzygnięciem ukontentowany.

Nie potępiamy poglądów Rafała Trzaskowskiego. Ma do nich prawo. Ale szlachetnie by było, gdyby ich po prostu nie ukrywał. Sam wzywa rywali do transparentności i uczciwości. Mógłby więc tego samego wymagać od siebie.



Fot. Andrzej Wiktor

Europejska konfederacja zamiast superpaństwa

My, konserwatyści, mamy przekonanie, że jesteśmy po prostu lepszymi, prawdziwymi Europejczykami. To my szanujemy i lubimy tradycję europejską. To strona konserwatywna uważa, że dziedzictwo europejskie jest wartościowe, to dziedzictwo grecko-rzymsko-chrześcijańskie

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z *prof. Zdzisławem Krasnodębskim*, posłem Prawa i Sprawiedliwości do Parlamentu Europejskiego

Stowarzyszenie Twórców dla Rzeczypospolitej, której pan profesor jest prezesem, przedstawiło dokument pt. „Preambuła do Konstytucji Konfederacji Narodów Europejskich”. Jego głównym autorem jest prof. David Engels, Belg od kilku lat mieszkający w Polsce. „Preambuła” jest właściwie alternatywną wizją współpracy narodów europejskich. Chodziło o pokazanie, że środowiska konserwatywne są w stanie wyjść poza negowanie działań federalistów europejskich, prących do bu-

dowy jakiegos superpaństwa, i mogą proponować własne rozwiązania?

Zdzisław Krasnodębski: Tak, to był główny motyw naszej akcji. „Preambuła” to dokument zawierający najważniejsze zasady ideowe. Oczywiście można pójść dalej, opracować formę instytucjonalną, zastanowić się nad polityczną stroną naszej propozycji, ale od czegoś trzeba zacząć. Zaczęliśmy więc od „Preambuły” i od zaproponowanej przeze mnie nazwy: Konfederacja Narodów Europejskich. Najważniejszy jest pozytywny charak-

ter tego projektu, bo przecież także w Polsce w kontekście Europy najczęściej mówimy, czego nie chcemy, co nam się nie podoba. W odpowiedzi słyszymy, że proponujemy w istocie powrót do egoizmów narodowych.

A więc do epoki rzezi i wojen, jak to przedstawia lewica.

Tak. Jest też zarzut, że nie interesuje nas nic poza losem naszych własnych państw. To oczywiście nieprawda. Ale jest coś jeszcze: jak zauważył prof. David Engels, od Polski wręcz

się oczekuje pozytywnych propozycji. Jego zdaniem negatywny obraz Polski, nad którym tak wiele środowisk ciężko pracuje, wynika także z tego, że tworzymy zbyt mało ogólnych, uniwersalnych idei. Na tym tle buduje się zarzut, że korzystamy, ale nie chcemy uczestniczyć. Pytanie o naszą wizję Europy jest więc bardzo aktualne. Czy uważamy, że alternatywą wobec aktualnie istniejącej Unii Europejskiej jest to, co było przed wojną, a więc forma mało stabilna, rozsadzona finalnie przez dwa totalitaryzmy? Na te pytania trzeba odpowiadać.

„Preamble” napisał jednak Belg mieszkający w Polsce, a nie Polak. To świadomy zamysł?

Chodziło nam o to, by to był tekst wypływający z Polski, ale interesujący dla wszystkich Europejczyków. I to chyba się udało, bo w prasie niemieckiej zauważono tę inicjatywę. Gazeta „Die Tagespost” zamieściła wywiad z prof. Engelsem, będą inne publikacje. Chcemy przede wszystkim pobudzić dyskusję.

„Preamble” jest rzeczywiście pięknym tekstem, przepojonym szacunkiem do przeszłości, umiłowaniem europejskiej różnorodności, podkreśleniem, że Europa nie jest jakimś nowym wynalazkiem. Czy to nie smutne, że trzeba o tym przypominać?

My mamy przekonanie, że jesteśmy po prostu lepszymi, prawdziwymi Europejczykami. To my szanujemy i lubimy tradycję europejską. To strona konserwatywna uważa, że dziedzictwo europejskie jest wartościowe, to dziedzictwo grecko-rzymsko-chrześcijańskie. Co więcej, uważamy, że bez chrześcijaństwa Europa nie może istnieć, tak mocno ono nas ukształtowało.

Lewica powie jednak, że owszem, docenia wpływ chrześcijaństwa na dzieje ludzkości, ale że teraz chce pójść dalej, bo to źródło się wyczerpało, wypaliło.

Tak, to jest ważna różnica. My uważamy, że chrześcijaństwo jest żywe

i niezbędne, oni – że cięcia w naszych dziejach dokonało już oświecenie, ale prawdziwa Europa narodziła się wraz z traktatem z Maastricht. Że Europa jest czymś, co należy wytworzyć. To ma być kontynent Europejczyków bez płci, żyjący w zupełnie inaczej rozumianej rodzinie, bez tożsamości narodowej. Uczucie narodowe ma się przekształcić w jakieś letnie regionalizmy. Ale różnic jest więcej i są one obecne także pomiędzy konserwatystami z różnych krajów, co wyszło zresztą także przy tworzeniu naszej „Preamble”.

W Unii dużo się mówi o różnorodności, ale de facto się jej nie ceni. Chce się wszystko wymieszać, połączyć, stworzyć coś nowego, ale jednolitego

W jakim sensie?

Dla prof. Engelsa dziedzictwo cesarstwa Karolingów, a później Świętego Cesarstwa Narodu Niemieckiego jest czymś bliskim, cennym. W Polsce patrzymy na to dziedzictwo nieco inaczej. My nie chcielibyśmy wykluczać Europy prawosławnej, choć zdajemy sobie sprawę z różnic między Europą łacińską a tą wywodzącą się z Bizancjum. Ta europejska różnorodność jest czymś niezwykłym, czymś, co powinniśmy cenić.

W „Preamble” pada sformułowanie o dziedzictwie „narodów romańskich, germańskich i słowiańskich”. Przypomina się słynna miniatura z Ewangeliarza Ottona III, na której – ponad tysiąc lat temu – Sclavinia, Germania, Galia i Roma składają hołd cesarzowi.

To też sprawa, o której chcielibyśmy dyskutować. Bo są przecież jeszcze państwa nadbałtyckie, jest Skandynawia, wreszcie, jest pytanie, kiedy ta nasza historia europejska się zaczyna.

W naszych dziejach jest też dużo napięć, nie wszystko pasuje do siebie, są też produktywna napięcia między różnymi wątkami, jak również między kulturami narodowymi. My chcemy to zachować. W Unii dużo się mówi o różnorodności, ale de facto się jej nie ceni. Chce się wszystko wymieszać, połączyć, stworzyć coś nowego, ale jednolitego.

Czy to nowy rodzaj glajchszaltowania? Wydaje się, że za wieloma procesami, o których mówimy, kryje się spora dawka przemocy.

Mamy do czynienia z nowym rodzajem imperializmu, który wyraża się brakiem poszanowania dla kultur politycznych i silnym przekonaniem, że ma prawo ingerowania, narzucania pewnych rozwiązań. Nie znaczy to, że odrzucamy wszystkie wartości bliskie siłom rządzącym dziś w Unii.

W „Preamble” akcentuje się także kwestię demokracji i wolności. Pada nawet określenie „wola ludu”. To odpowiedź na niedemokratyczne praktyki Unii Europejskiej?

Unii Europejskiej?

Narody silne poprzez instytucje unijne w istocie realizują swoją politykę. Plan ratowania europejskiej gospodarki najpierw ogłosili przywódcy Francji i Niemiec, a dopiero potem odezwała się przewodnicząca Komisji Europejskiej. Komisja staje się egzekutorem woli politycznej ukształtowanej przez dwa najsilniejsze państwa. Tak samo w sferze polityki wobec Ukrainy decyduje trójkąt normandzki, złożony z Berlina, Paryża i Moskwy. Blask Komisji Europejskiej jest blaskiem odbitym, tak jak blask księżyca. To wszystko sprawia, że ta skłonność do narzucania, ingerowania, widoczna jest zwłaszcza wobec krajów uznawanych za słabsze.

Za słabsze, ale chyba także nieprawomocne? Naszej części Europy Zachód bardzo często po prostu nie widzi.

Jedną z dyskusji chcemy zatytułować prowokacyjnie: „Czy Słowianie są Europejczykami?”. Chodzi o zmierzenie

się z politycznie niepoprawną, ale silną narracją, według której Europa to dziedzictwo germańsko-romańskie, powstałe na gruzach imperium Karola Wielkiego. Owszem, dziedzictwo które się rozszerzało na wschód, ale poprzez kolonizację, przyłączenie. A więc oni tworzyli kulturę, a my by-

liśmy jedynie biorcami, w istocie Europą drugiej kategorii. Europą, której stale stawia się pytanie, czy jest grzeczna. Jeśli państwa z Europy Środkowo-Wschodniej chcą być podmiotowe, chcą się zachowywać tak jak inni, to wówczas uruchamiane są te wszystkie złe stereotypy. To jest chwi-

lami nawet śmieszne. Pouczają nas politycy belgijscy, którzy miesiącami nie byli w stanie utworzyć rządu i którzy reprezentują państwo słabo istniejące. Francuzi atakują nas za chęć przeprowadzenia wyborów w maju, choć sami zorganizowali u siebie wybory komunalne. Tak się zawsze

Preambuła do Konstytucji Konfederacji Narodów Europejskich

My, Europejczycy, w pełni świadomi naszej historycznej odpowiedzialności, nadajemy sobie tę konstytucję, wierzącą proces jednoczenia naszego kontynentu. Konstytucja ta ma ustanowić konfederację europejskich państw narodowych, które respektując swoje prawa, zgadzają się dążyć do wspólnych celów z korzyścią dla wszystkich oraz zachowując i pielęgnując europejską cywilizację, przede wszystkim zaś do: skoordynowanej polityki zagranicznej, obrony europejskich granic zewnętrznych, walki z przestępstwami, rozbudowy europejskiej infrastruktury, uzgadniania norm i zasad, dostępu do naturalnych i strategicznych zasobów, współpracy w dziedzinie nauki i badań, jak również zapewnienia odpowiedniego finansowania tych celów.

Chociaż nasze zjednoczenie ma na celu zakończenie okresu czterystuletnich wewnątrz europejskich wojen, dokonuje się ono w świadomości głębokiej więzi między europejskimi narodami, które mimo sporów zawsze rozumiały się jako część jednej, wspólnej kultury. Kultura ta, będąc czymś więcej niż zwykłą sumą poszczególnych części, przyczyniła się do stworzenia swoistego i niepowtarzalnego obrazu człowieka i świata.

Czerpie ona z licznych źródeł, z których należy szczególnie wyróżnić starotestamentową tradycję, myśl grecką, rzymską sztukę rządzenia, chrześcijańskie objawienie i dziedzictwo narodów romańskich, germańskich i słowiańskich. Formę instytucjonalną przybrała w przywództwie duchowym Kościoła oraz w politycznym autorytecie cesarstwa odnowionego w roku 800. Następnie kultura europejska rozwinęła w okresie średniowiecza, renesansu, oświecenia i czasów współczesnych swoje szczególne cechy i równocześnie otworzyła się na świat, z którym dzisiaj przez uchwalenie tej konstytucji chce wejść w nowe, bliskie relacje.

Pełni dumy z wielkich osiągnięć przeszłości budujemy naszą konstytucję, stanowczo opowiadając się za przekazanymi nam wartościami i dostrzegając, że współczesny dobrobyt i postęp były możliwe tylko dzięki osiągnięciom naszych przodków. Dlatego chcemy budować przyszłość poprzez ścisły związek z przeszłością oraz przez zachowanie, pielęgnowanie i pomnażanie przekazanego nam materialnego i niematerialnego, kulturowego, społecznego i obyczajowego dziedzictwa.

Biorąc te względy pod uwagę, my, Europejczycy, zobowiązujemy się przed Bogiem i naszym sumieniem:

- działać na rzecz zachowania naszego duchowego i materialnego dziedzictwa oraz dalszego niezależnego rozwoju naszej kulturowej specyfiki, uznając dążenie do prawdy, wolności i właściwego sposobu życia za posłannictwo naszej wspólnoty;
- pielęgnować, wspierać i kontynuować tradycję żydowsko-chrześcijańską i jej związki z filozoficzną myślą racjonalną, bez których nasza europejska kultura jest nie do pomyślenia, tolerując przy tym wszystkie formy religijnych i filozoficznych przekonań, o ile nie są sprzeczne z naszym ukształtowanym przez wieki sposobem życia;
- chronić życie ludzkie we wszystkich jego fazach i niezależnie od wieku, traktować godność i niepowtarzalną indywidualność każdej jednostki jako najwyższe nam powierzone dobro;

- uznawać wyrażoną demokratycznie wolę narodów oraz interesy Europejczyków jako ostateczne źródło wszystkich politycznych decyzji oraz jako najważniejszy wyznacznik działania;
- doceniać wielość i różnorodność europejskich narodów i ludów jako bezcenny i niezastąpiony wyraz wielowarstwowości wspólnej kultury, uznając je za nosiciela europejskiej myśli i europejskich instytucji oraz respektować jako autonomiczne polityczne jednostki, które pragną regulować swoje spory jedynie na drodze pokojowego porozumienia;
- występować zawsze na rzecz zachowania i pomnażania dobrobytu, bezpieczeństwa, wolności, ładu, pokoju i zrozumienia między europejskimi narodami;
- budować naszą Unię narodów w taki sposób, aby wszystkie decyzje podejmowane były subsydiarnie, czyli na najniższym bezpośrednio dotkniętym poziomie kompetencji, pamiętając przy tym, że to narody są głównymi nośnikami demokratycznego prawa do samostanowienia oraz kulturowego życia Europy;
- zbudować nasze współzycie na zasadach państwa prawa i gwarantować nie tylko równe i adekwatne prawa dla każdego, lecz również podporządkowywać woli ludu kontrolę nad procesem tworzenia prawa i jego wykładni;
- traktować naturalną rodzinę tworzoną przez związek mężczyzny i kobiety oraz poczęte przez nich dzieci, jak również wynikające stąd prawa i zobowiązania, jako fundament europejskiego społeczeństwa, który powinien podlegać szczególnej ochronie, bez zabrania alternatywnych form współżycia między ludźmi opierających się na dobrowolności;
- gwarantować równość między mężczyzną a kobietą przed prawem, jak również wynikające ze specyfiki płci naturalne prawa i obowiązki;
- wychowywać przyszłe pokolenie w duchu powierzonej nam tradycji i jej bogactwie, jak również w duchu ciągłego, wewnętrznego i zewnętrznego, doskonalenia się;
- chronić prawa i obowiązki wynikające z prawa własności, jednocześnie wspierać równość szans, prawo do godnej pracy, pomoc dla potrzebujących i interesy wspólnoty;
- żyć w pokoju i poszanowaniu z naszymi sąsiadami i wszystkimi innymi narodami na ziemi, szczególnie z tymi, z którymi łączą nas pozytywne doświadczenia i wspólne historyczne dziedzictwo, śmiało jednak występując w obronie naszej niezależności, naszych interesów, bezpieczeństwa i trwania naszej kultury;
- podchodzić z rozwagą do naszej odpowiedzialności za przyrodę, i to nie tylko w sensie zachowania jej naturalnej równowagi i dbania o stan naturalnych zasobów w Europie i na całym świecie, lecz również w sensie moralnie odpowiedzialnego traktowania wszystkich żyjących istot.

*(Szkic preambuły – David Engels,
19 kwietnia 2020 r.)*

dzieje, gdy ktoś próbuje znieść nieformalny stosunek podległości, istniejący w relacjach między państwami z naszego regionu a Zachodem.

Mówiąc o dominacji Zachodu, ma pan na myśli oś Berlin-Paryż?

Nie powinniśmy przesadzać w opisach harmonii francusko-niemieckiej, tam się pojawiają dość silne napięcia. Mamy Niemcy, silnie obecne w naszej części Europy, na tej obecności opierające swoją pozycję kraju dominującego. Bez fabryk samochodowych na Słowacji czy też bez rumuńskich robotników sezonowych, to by się nie mogło udać. Zagadką dla mnie jest Francja, która też korzysta na tym gospodarczo. Teoretycznie powinniśmy być dla niej partnerem w zabiegach o europejską równowagę. A tymczasem słabnący, pesymistyczny co do przyszłości Paryż patrzy tylko na południe, zupełnie zapomina o naszej części kontynentu, z którą przecież tak wiele go łączyło przed wojną i wcześniej. Są Brytyjczycy, którzy jednak dopiero po brexicie zaczęli nas poważniej traktować, dość zresztą instrumentalnie, są także Włosi, potencjalny sojusznik, oraz Hiszpanie. To są te centra władzy europejskiej. Politologicznie patrząc, nikt jeszcze tej formy Europy nie opisał. Czy to rodzaj jakiegoś neośrednio-wiecznego imperium? Federacja? Bo przecież nie jest to państwo.

Czy nie jest tak, że Polska jest z jednej strony zbyt duża, by zgodzić się na rolę klienta, a z drugiej zbyt mała, by z tej pułapki uciec?

Na pewno jesteśmy rosnącą siłą, choćby ze względu na potencjał demograficzny. Wielu unijnych polityków nie zauważyło także, że już nie jesteśmy biedakami, tak jak 30 lat temu.

Zatrzymali się mentalnie w 1989 r.?

Tak. Najdalej we wczesnych latach 90., w okresie pauperyzacji po planie Balcerowicza i w czasie uprawianego przez nasze władze klientelizmu.

W „Preamble” mówią państwo o Konfederacji Narodów Europejskich. Co to pojęcie ma właściwie oznaczać?

Pojęcie „konfederacja” krąży, jest podejmowane przez ludzi, którzy nie chcą superpaństwa, ale chcą jakiejś formy współpracy politycznej. W pewnych dziedzinach może nawet głębszej niż obecnie, ale opartej na innych zasadach etycznych, innych wartościach. Konfederacja to byt, który zapewnia samodzielność polityczną swoim członkom. W tle jest oczywiście pytanie, które sam sobie często zadaję: czy tę Unię, która staje

W dyskusji o przyszłości UE trzeba brać udział, głos konserwatystów powinien być słyszalny. Zachęcam do tego także inne polskie środowiska i organizacje. Nie jesteśmy sami: w Europie Zachodniej są ludzie, którzy sprzeciwiają się superpaństwu

się coraz ściślej, da się w ogóle zreformować? Czy Komisja Europejska, z jej 35 tys. urzędników, może się zmienić? Albo czy może zmienić swój sposób działania Parlament Europejski, ciągle stawiający nowe budynki?

Gorbaczow pokazał światu, że nie wszystko da się zreformować.

Może więc trzeba zaprojektować wszystko od początku? Wymyślić coś nowego? Oczywiście już pojawiają się pytania, także ze strony moich kolegów w Parlamencie Europejskim: a jakie to w ogóle ma szanse powodzenia? Rzeczywiście może żadne. Ale to eksperyment, który warto podjąć. A może taka konfederacja mogłaby powstać na razie na części obszaru Unii, a później się rozszerzyć?

Skąd się bierze, mimo tych wszystkich kryzysów, tej wyczuwalnej przemocy, akceptacja dla stale postępującej integracji europejskiej? Bo owszem, Brytyjczycy wyszli, ale poza tym prawie wszędzie rządzą euroentuzjaści.

Im ściślej jest integracja, tym większe są koszty innej polityki, tym trudniej pewne więzi zerwać. Ciekawy jest przykład Włoch. Jest znaczna grupa ekonomistów, która uważa, że ten kraj nie wyjdzie z kryzysu, dopóki nie opuści strefy euro. A mimo to nawet Liga się z tego wycofała. To jest coraz bardziej oparte na lęku przed okresem destrukcji. Bo jak to będzie, jeśli znów wrócą granice? W czasie pandemii, owszem, wróciły, i okazało się, że można z tym żyć, ale także, że koszty są bardzo wysokie. Do tego dochodzi także lęk przed Wschodem, przed Rosją, w niektórych krajach naszego regionu. Z kolei pewne państwa są tak małe, że mają przekonanie, iż bez Unii w zasadzie nie mogłyby istnieć.

Kraje naszego regionu, w tym Polskę, bardzo często próbuje się także zawstydzać, stawiać do kąta, sugerować niedojrzałość.

Czy to jest świadome działanie?

Pewien sposób myślenia i działania, charakterystyczny dla Niemiec, został w ostatnich dekadach przeniesiony na poziom europejski. Chodzi o to, że Niemcy, które dokonały ekspansji przynajmniej kulturowej, bo na poziomie instytucjonalnym i personalnym było już inaczej, zrobiły z tego oręż moralny. Głoszą, że oni też zostali wyzwoleni przez aliantów w 1945 r. Dodają, że to wyzwolenie nigdy nie jest ostateczne, złe siły zawsze czyhają i dlatego oni, Niemcy, mają obowiązek pilnować, by nie zwyciężyły ponownie. To jest pewien rodzaj mesjanizmu.

Który przejęła cała Unia Europejska?

Na poziomie unijnym brzmi to tak: my, Europejczycy, przez to, że przezwyciężyliśmy zło tkwiące w naszej cywilizacji, mamy prawo

do szczególnej dumy, ale mamy też szczególne obowiązki i misję do wykonania. Misję sprawienia, by ci, którzy zostali z tyłu, jak Polacy czy Węgrzy, którzy wciąż żyją tradycją, dobili do szeregu. Jesteśmy postrzegani jako ktoś, komu trzeba pomóc, ktoś, kogo trzeba wyzwolić. Każdy atak na nasz rząd rozpoczyna się od deklaracji, że oni nas naprawdę bardzo mocno kochają i lubią. Unia w zasadzie uważa się za moralne imperium.

To także zmniejsza niemiecką winę. Skoro wszyscy Europejczycy byli winni i wszyscy muszą się oczyścić, to znaczy, że nikt nie jest winny.

Tak, można mówić o uniwersalizacji sprawstwa i jednoczesnej partykularyzacji ofiar. Właściwie mówi się już tylko o Holokauście, nie ma nie tylko Polaków, lecz nawet rosyjskich jeńców.

Na koniec wróćmy jeszcze do „Preambuli”. Jest ona odpowiedzią na wezwanie ze strony Ursuli von der Leyen do dyskusji o przyszłości Europy. Czy już wiadomo, jak ta dyskusja będzie wyglądała?

Tak, to jest jedna z jej obietnic. Według projektu Parlamentu Europejskiego miałyby to być agory obywatelskie, liczące do 300 osób, które zbierałyby się na dyskusje poświęcone jednemu tematowi. Uczestnicy zostaliby wybrani losowo przez niezależne organizacje społeczne. Później mieliby raportować Konferencji Plenarnej, już bardziej politycznej. Całość miałaby trwać dwa lata.

Niczym porządne przygotowania przed zjazdem.

Na koniec miałyby się z tego zrodzić zalecenia polityczne na temat tego,

jak zreformować Unię, łącznie ze zmianą traktatów.

Losowanie uczestników jest jednak ryzykowne. Może sprawić, że na agorze pojawią się także przeciwnicy obecnego kształtu Unii.

Dlatego już słychać głosy, np. ze strony Zielonych, że tam powinni brać udział jedynie dobrzy Europejczycy, a więc ci, którzy są za. Ale niezależnie od tego, jak bardzo nas to śmieszy, trzeba w tej dyskusji o przyszłości Unii brać udział, głos konserwatystów powinien być słyszalny. Zachęcam do tego także inne polskie środowiska i organizacje. Nie jesteśmy sami: w Europie Zachodniej są ludzie przywiązani do państw i kultur narodowych, którzy sprzeciwiają się superpaństwu. Ich powinniśmy wspierać, z nimi rozmawiać, z nimi budować Konfederację Narodów Europejskich.



Cyfrowe przyspieszenie w Aliorze

Cyfryzacja była w ostatnich latach słowem odmiennianym przez wszystkie przypadki – technologia miała swój wpływ na zmiany w każdej branży.

Wykorzystanie digitalizacji to koło zamachowe rozwoju także sektora bankowego. Stan pandemii i potrzeba zachowania dystansu społecznego przyspieszyły procesy, które już wcześniej były kluczowe dla biznesu. Ostatnie tygodnie pokazały, że Alior Bank ma wszelkie zasoby, które pozwalają nadawać tempo przemian

Alior Bank chce towarzyszyć swoim klientom na co dzień, nie tylko doradzając im w kwestiach związanych z bankowością, lecz także budować usługi i ofertę niezwiązane bezpośrednio ze światem finansów. To smartfon i komputer mają się stać narzędziami, które umożliwią realizację tego celu. Wraz z wybuchem epidemii zdalna obsługa klienta stała się nie tylko priorytetem biznesowym, lecz również koniecznością.

– Alior Bank od zawsze eksplorował innowacyjne rozwiązania i był pionierem w ich wprowadzaniu. W ostatnich tygodniach tempo przyspieszyło i teraz

nadajemy je właśnie my. Wykorzystanie technologii weszło na niespotykany dotąd poziom, wprowadziliśmy w Aliorze zarówno autorskie rozwiązania, jak i te oferowane przez partnerów startupowych i fintechowych – podkreśla Iwona Duda, p.o. prezes zarządu Alior Banku.

To właśnie czas pandemii pokazał potencjał i kompetencje zespołu Alior Banku w tworzeniu takich rozwiązań jak Foto ID, czyli autorskie rozwiązanie potwierdzające tożsamość klienta, czy usługi oparte na otwartej bankowości, takie jak uproszczony proces kredytowy.

Współpraca z partnerami technologicznymi pozwoliła także odpowiedzieć na nowe potrzeby klientów, a więc możliwość zdalnego zawierania umów oraz

unikanie skupisk ludzkich. Od kwietnia przedsiębiorcy mogą podpisywać zdalnie aneksy do umów dzięki technologii Autenti, aby odroczyć spłatę rat kredytów. Współpraca z aplikacją Booksy służącą do umawiania spotkań umożliwiła mikrofirmom i klientom indywidualnym rezerwowanie wizyty w oddziale bankowym.

– Mamy zasoby, które pozwalają nam szybko odpowiadać zarówno na potrzeby klientów, jak i biznesowe wyzwania. Dzięki zwinnej kulturze tworzenia innowacji możemy utrzymać dotychczasowe tempo wprowadzania nowych usług i produktów także w nadchodzących latach – podsumowuje Iwona Duda.



Budką w Schetynę, Schetyną w Budkę



Gdy 29 maja 2020 r. ekipa TVN24 wchodziła do gabinetu Borysa Budki, by przeprowadzić z nim wywiad, zaczęło się od tego, że „śmierdzi”. Formalnie śmierdziały cygara „poprzedniej ekipy”. Do tego stopnia, że „trzeba wymienić wykładziny, żeby się pozbyć tego zapachu”. Przewodniczący Platformy Obywatelskiej bardziej obrazowo i dosadnie nie mógł opisać swoich relacji z byłym szefem partii Grzegorzem Schetyną. Zapachu Schetyny trzeba się pozbyć razem z wykładzinami. Tak otwarcie i brutalnie nie mówił nawet odwieczny wróg Grzegorza Schetyny – Donald Tusk. A Budka mógł poprzestać na tym, że „lubi czerwone wino, a Grzegorz Schetyna lubi białe”. Nie poprzestał, gdyż ślady po Schetynie trzeba nie tylko zniszczyć na powierzchni, lecz przekopać na metr w głąb. I robi to ktoś, kto jeszcze niedawno mógł być tylko chłopcem wysyłanym po piwo. A taka zniewaga krwi wymaga. Tym bardziej że robi to „taki nikt” – jak mówią przyjaciele Schetyny. I jest to najłagodniejsze z określeń wypowiedzianych na temat nowego szefa partii. Chyba tylko Budka jest przekonany, że jak powie, iż „nie ma powrotu do Platformy Schetyny”, to tak się stanie. Nie stanie się, mimo że mamy najbardziej gorący okres drugiej odsłony kampanii prezydenckiej.



STANISŁAW JANECKI

*Wojna domowa
w Platformie jest
znacznie gorętsza niż
walka o prezydenturę,
choć wszyscy udają,
że panuje pokój*

ZŁY SCHETYNA

O ile Schetyna nie ujawnia ani swoich sił, ani opinii o rywalu, o tyle Budka, jako jednak wciąż nowicjusz na stanowisku szefa partii, nie może się powstrzymać przed atakami na poprzednika. Dlatego Budka powiedział o tym, że gdy wchodzi do gabinetu po Schetynie, „otwiera okna, ale konieczny będzie remont”. Nie wystarczy wyrzucenie lodówki na wino i napawanie się widocznymi śladami po

szaliku Śląska Wrocław, koszulkach Barcelony i Boston Celtics oraz tablicy z napisem „Schetynówka”. Trzeba z wszystkiego, z czego się da, wyrzucić samego Schetynę. Ten wprawdzie twierdzi, że „gabinet jest w dobrym stanie i to dobre miejsce do pracy” oraz „nie miał takiego wrażenia”, że coś śmierdzi, ale to tylko dyplomacja starego wyjadacza. Dla Budki „Grzegorz w ostatnich tygodniach nie zawsze pomagał”. Na przykład „uderzył w Małgosię [Kidawę-Błońską] jeszcze w kwietniu”, mówiąc, że jak będą nowe wybory, „to wszystko zacznie się od początku”. A „Małgosia bardzo mocno to przeżyła”, więc Borys miał z nim wtedy „taką poważną rozmowę na sali sejmowej” i powiedział, że „tak się po prostu nie robi”. Tyle że Schetyna tylko ujawnił plany Budki, a nie swoje, bo to od nowego przewodniczącego zależała przede wszystkim wymiana kandydata na prezydenta. To nie Schetyna mówił, że Małgorzata Kidawa-Błońska „była, jest i będzie kandydatką”, lecz Budka. I to Schetyna miał rację, gdy mówił, że „nie jest ojcem chrzestnym tej kandydatury”, choć był, ale zmienił zdanie i forsował prezydenta Poznania Jacka Jaśkowiaka. Schetyna był potrzebny jako ten, kogo można obciążyć odpowiedzialnością za fatalną kampanię Kidawy-Błońskiej i zjazd jej notowań do 2 proc., choć za kampanię

i wybór sztabu w stu procentach odpowiedzialny był Budka.

Zły mógł być tylko jeden – Grzegorz Schetyna. Dlatego że „jeżeli ktoś mieni się patriotą Platformy, a swoimi bardzo złymi decyzjami gra tylko na siebie i może zatopić formację, to przestaje być tym patriotą”. Bardzo złe decyzje były Budki, bo przecież Schetyna przestał być szefem PO 30 stycznia 2020 r., a kluczowych decyzji nie podejmował od 3 stycznia, gdy ogłosił, iż nie będzie kandydował na przewodniczącego. Schetyna tylko się bronił przed wrobbieniem przez swego następcę. Ale ten postanowił go „dojechać”, dlatego 29 maja 2020 r. mówił, że to, co się działo ostatnio, „mocno nadwyreżyło zaufanie do Grzegorza Schetyny”. A działo się tylko to, że Schetyna nie chciał, by po jego grzbiecie Budka wsiadł na zwycięskiego konia. 3 czerwca 2020 r. Schetyna oświadczył (w Radiu RMF FM), że „jest lojalny”, gdyż „PO to partia, którą zakładał”. I zadeklarował: „Nie będę komentował słów przewodniczącego. [...] To zawsze tak jest, że początek kadencji nowego przewodniczącego czy nowych władz musi być poświęcony temu, żeby zbudować tę pozycję i relacje. Także z byłym przewodniczącym. I patrzę na to w bardzo taki spokojny i zdystansowany sposób. Uważam, że tutaj nic nie zdarzyło się ponadnormatywnego”. Schetyna „nie czuje się wypychany z Platformy”. Oczywiście wszystko jest „ponadnormatywne”, a „wypychanie” trwa w najlepsze, tylko tego się otwarcie nie mówi.

WERSJA DLA PENSJONAREK

Budka otwarcie oskarża Schetynę o utrudnianie Platformie resetu i odrodzenia. Dlatego opowiada o „ostatniej próbie rozkołysania łódki” w związku z zamianą kandydata na prezydenta. Rozkołysanie miało polegać na tym, że „próbowano wymyślić formułę kolejnych prawyborów”, że „nagle na zarządzie pojawiły się głosy, że tylko Rada Krajowa daje możliwość w pełni demokratycznej procedury. Zapytałem wprost: gdzie byli ci, którzy teraz chcą rozbudowanych procedur, gdy z konferencji prasowych ludzie PO

dowiadawali się, że »jedyńki« do euro-parlamentu przeznaczone są dla byłych premierów z SLD?”. Czyli Schetyna nie tylko „kolysze łódką”, lecz również zepsuł partii opinię, wypuszczając na listy okropnych komunistów. I wprowadzie „Grzegorz nie jest członkiem zarządu, ale ma jeszcze w zarządzie kilka szabel”. Ale „na końcu [15 marca 2020 r.] zarząd przez aklamację wybrał Rafała Trzaskowskiego na nowego kandydata na prezydenta”. Schetyna musi się więc pogodzić z marginalizacją i strategicz-

Budka otwarcie oskarża Schetynę o utrudnianie Platformie resetu i odrodzenia. Dlatego opowiada o „ostatniej próbie rozkołysania łódki” w związku z zamianą kandydata na prezydenta

nym geniuszem Budki. Choć z psychologicznego punktu widzenia Budka wie, że „Grzegorz nie potrafi się odnaleźć”. Pewnie dlatego, że „jest stworzony do tych gier gabinetowych”, a Borys „jest urodzonym politykiem ulicznym”, który „kocha być wśród ludzi”. Borys wspinałomyślnie i litościwie „często z nim rozmawiał i konsultował niektóre kierunki działań”, i gdy rozmawiali w cztery oczy, Grzegorz „ze wszystkim się zgadzał”. A potem już nie, ale to z powodu odstawienia od „stołu”. Dlatego Budka kiedyś mógł „liczyć też na radę Grzegorza”, zaś „kilka ostatnich tygodni mocno te relacje popsuley”.

Częścią wojny byłego i obecnego przewodniczącego PO jest kandydowanie Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich. Budka parł do zmiany kandydata, klęska Kidawy-Błońskiej oznaczała bowiem szybki koniec jego kariery w roli szefa partii. Teraz występuje w roli obrońcy Kidawy-Błońskiej do końca, tylko nie ma na to żadnych wiarygodnych dowodów. Budka buduje romantyczny

obraz namawiania Trzaskowskiego do kandydowania: „Powiedziałem krótko: »Rafał, nie wyobrażam sobie dziś nikogo innego«. [...] Już po pierwszej rozmowie z nim widziałem, że on się do tego pali. To nie był ten Rafał, którego znałem sprzed kilku lat: spokojny, zaczytany, zamyślony. Gdy zobaczyłem ten błysk w jego oczach, nie miałem żadnych wątpliwości, że Rafał tego chce”. To wygląda jak opowieść dla pensjonarek, podczas gdy wszystko wymyślił Tusk i nie było w tym nawet cienia romantyzmu. Nie było też bohaterskiego oparcia się Budki przed intrygą „ludzi Grzegorza”, że to właśnie przewodniczący partii powinien się zdecydować na kandydowanie, gdyż przewodniczący akurat bardzo chciałby, tylko nie miałby żadnych szans.

ZAŁATWIĆ BUDKĘ I TRZASKOWSKIEGO

Przejście Trzaskowskiego do drugiej tury poprawia pozycję Budki, lecz jego przegrana w drugiej turze oznaczałaby rozliczenia i zabiegi o szybkie odwołanie obecnego przewodniczącego. Budka jest świadomy, że „to może być początek końca”, może decydować o tym, „czy Platforma będzie dalej istniała, czy nie”. Jeśli Trzaskowski przegra, Schetyna nie tylko zechce „załatwić” Budkę, lecz także samego Trzaskowskiego jako najgroźniejszego rywala. Nieprzypadkowo w 2015 r. „przesunął” go do Warszawy, żeby uniemożliwić walkę o przywództwo, ale teraz wojna rozpocznie się od nowa, a sojusz Budki z Trzaskowskim daje szansę pozbycia się obu. Schetyna nie ma żadnego interesu w tym, żeby Trzaskowski miał dobry wynik, ale musi pozorować poparcie i pracę dla niego. I liczy na to, że obaj rywale się potkną, więc wróci jako ten, bez którego PO nie jest w stanie funkcjonować. Schetyna będzie walczył do upadłego, bo Budka nie dotrzymał zobowiązań wobec niego. Poza tym Schetyna chce udowodnić, że ktoś tak małego formatu nie może go traktować gorzej niż wcześniej Tusk. Oznacza to, że wojna domowa w Platformie jest znacznie gorętsza niż walka o prezydenturę, choć wszyscy udają, że panuje pokój.

Polityka na mierzei

Za raport stwierdzający zasadność przekopu Mierzei Wiślanej rząd Donalda Tuska zapłacił 5 mln zł. Za inwestycją głosowali i Rafał Trzaskowski, i Władysław Kosiniak-Kamysz. Dziś ostro ją krytykują. A to dlatego, że poważnie do jej wykonania zabrała się dopiero ekipa PiS

„S koro natura nie zrobiła tego przekopu, to nie ma sensu” – mówiła w marcu ub.r. wicemarszałek Sejmu Małgorzata Kidawa-Błońska. Opozycja wytoczyła dziś wszystkie najcięższe działa przeciw kanałowi na Mierzei Wiślanej. Najgłośniejszy sprzeciw słychać jednak z obwodu kaliningradzkiego. Dlatego inwestycja urosła już do rangi punktu honoru rządu i głównego punktu prezydenckiej kampanii wyborczej. „Nie” dla przekopu jest, obok legalizacji związków partnerskich, warunkiem poparcia kandydatury Rafała Trzaskowskiego przez Zielonych.

Rosja, podobnie jak Zieloni, chwytą się głównie argumentów ekologicznych. Władze obwodu kaliningradzkiego omawiały ideę nadania Mierzei Wiślanej statusu parku narodowego. Miałoby to nastąpić do 2024 r. W planach są: ścieżka rowerowa, droga, kurorty i delfinarium. Problem w tym, że część terenu należy do Polski. Rosja podpira się więc organizacjami ekologicznymi, także w Polsce, które zbierają podpisy za zatrzymaniem inwestycji.



EDYTA HOŁDYŃSKA

OPOZYCJA ZA, ALE NIE TERAZ

Co mówi Rafał Trzaskowski? Zaznacza, że nie jest całkowicie przeciw, ale chce odłożenia inwestycji o dwa-trzy lata. Dodaje, że dla polskiej gospodarki lepsze od przekopu są inwestycje infrastrukturalne. Zupełnie jakby przekop taką nie był.

W tej chwili jedynym sposobem, by dopłynąć do portu w Elblągu, jest przepływ przez kontrolowaną przez Rosję Cieśninę Piławską. Mniej więcej połowa Mierzei Wiślanej to terytorium tego państwa, a do tego terytorium o specjalnym statusie. W Bałtyjsku, położonym na cyplu tworzącym cieśninę, stacjonuje rosyjska flota bałtycka. Jest to więc obszar strategiczny i niezwykle ważny dla Rosji z militarnego punktu widzenia, z tzw. ograniczonym dostępem dla obcokrajowców.

Ministerstwo Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej buduje kanał żeglugowy przez Mierzeję Wiślaną po to, by znacząco poprawić dostęp do portu w Elblągu oraz zagwarantować Polsce swobodny dostęp z Zalewu Wiślanego na Bałtyk z pominięciem Cieśniny Piławskiej. Rosja ma dyskryminować



plywające po tych wodach polskie statki. Jak zapewnia Michał Kania, rzecznik prasowy resortu, dzięki inwestycji nasze bandery będą mogły tamtędy żeglować już w czerwcu 2022 r. Prace przebiegają zgodnie z harmonogramem.

Koszt inwestycji szacowany jest od 880 mln do 2 mld zł. Według opozycji tak duże pieniądze można wydać lepiej. Jest jednak kilka niespójności w argumentacji jej sprzeciwu. I niejednomyślność, bo w „Gazecie Olsztyńskiej” wicemarszałek województwa warmińsko-mazurskiego Miron Sycz z PO stwierdził: „To jest bardzo dobra inwestycja, zarówno dla Elbląga, jak i całego województwa. Tylko i wyłącznie pod warunkiem, że będzie równolegle prowadzona i połączona z rozbudową i modernizacją portu w Elblągu. Chcę to wyraźnie podkreślić. Bo jak rozumiem, celem tej inwestycji jest uruchomienie portu elbląskiego. Przekop powinien być głębszy, bo przecież nie robimy tego dla kajaków”. Z kolei poseł Marcin Kulasek z SLD ocenia, że projekt jest dobry. Ogólnie. Jak powiedział, lokalne miejscowości skorzystają na dodatkowym ruchu, który wytworzy inwestycja. Chodzi o ruch zarówno turystyczny, jak i gospodarczy. Niepokoi go jednak wykonanie przekopu w formie, którą proponuje PiS.

KANAŁ ZBYT PŁYTKI, PIENIĘDZY ZA DUŻO

Czy kanał będzie zbyt płytki? Będzie miał głębokość 5 m. To oznacza, że bezpiecznie wpłynie nim jednostka o zanurzeniu ok. 4 m. Są to funkcjonujące na Bałtyku tzw. jednostki feedery, mniejsze niż te, które wpływają do portów w Gdyni czy Gdańsku, natomiast wciąż przewożące znaczne ilości ładunków.

– Port w Elblągu będzie portem regionalnym, wspierającym rozwój portów trójmiejskich i tańszym niż one. Będą mogły z niego korzystać mniejsze firmy o mniejszym zapotrzebowaniu. Mniejsze jednostki towarowe, które dziś muszą zajmować miejsce w dużych portach, będą mogły być kierowane od razu do Elbląga, przez co skróci się czas przeładunku w portach trójmiejskich – tłumaczy Michał Kania.

Posłanka PO Agnieszka Pomaska twierdzi, że inwestycji nie poprzedziła żadna analiza ekonomiczna, która by wskazywała uzasadnienie budowy przekopu. Choć za taką zapłaciła sama Platforma. Słono – 5 mln zł. Komisja Europejska interweniowała natomiast wobec wycinki drzew. Marszałek województwa pomorskiego mówił z kolei o bezprawnym płoszeniu ptactwa.

Po co nam właściwie przekop Mierzei Wiślanej i dlaczego droga wodna łącząca Zalew Wiślany z Zatoką Gdańską tak bardzo przeszkadza? Koronny argument opozycji to nieopłacalność inwestycji i rozrzutność rządu. Zdaniem resortu żegluga to zarzut nieprawdziwy. – Jeden milion ton przeładowanych towarów w polskich portach przynosi do budżetu państwa z podatków ok. 400 mln zł. Port w Elblągu jest w stanie przeładować rocznie ok. 1,5 mln ton towarów. To oznacza, że jest w stanie zarobić dla budżetu państwa rocznie ok. 550 mln zł. Inwestycja warta 2 mld zł ma się zwrócić najpóźniej za pięć lat – wylicza Michał Kania.

Kanał to nowe miejsca pracy, a także zysk dla samorządów i budżetu państwa z ożywienia turystycznego miejscowości położonych nad Zalewem Wiślanym. Te mają oscylować od 20 mln zł rocznie w 2023 r. do nawet 90 mln zł rocznie w roku

2045. Generalny wykonawca inwestycji, polsko-belgijskie konsorcjum NDI/Besix, zatrudnia ok. 50 polskich podwykonawców. – Warto tutaj dodać, że po raz pierwszy w XXI w. prace hydrotechniczne dotyczące systemów sterujących służą na kanale żeglugowym będą wykonywać polskie firmy. To doświadczenie z pewnością zaowocuje nowymi zamówieniami w przyszłości – podkreśla rzecznik resortu.

Inwestycję porównuje do budowy autostrady. Tam, gdzie nie ma dróg – także dróg wodnych – nie rozwija się biznes. – Nikt dziś nie pyta o opłacalność budowy nowej autostrady – mówi Michał Kania. I przypomina, że w latach 20. XX w. w Polsce w ten sam sposób, w który krytykuje się przekop Mierzei Wiślanej, negowało się potrzebę budowy portu w Gdyni. – Jak historia pokazała, całkowicie niesłusznie – dodaje.

PRADAWNY BÓR CZY LEGENDA?

Na terenie budowy wycięto ok. 10 tys. drzew, które zasadzono w latach 50. XX w. To 0,5 proc. obszaru leśnego na Mierzei Wiślanej. Nie jest prawdą, że na mierzei rośnie jakiś pradawny bór. Przed II wojną światową mierzeja nie była zalesiona, a udowadniają to niemieckie zdjęcia tych terenów.

Zaniepokojona wycinką Komisja Europejska powoływała się na zobowiązania rządu PO-PSL z 2013 r. oraz lipca 2015 r., że Polska będzie konsultować projekt z Brukselą. Strona polska, powołując się z kolei na kwestię obronności, wychodzi z założenia, że do przekopu mierzei można zastosować wyjątek

REKLAMA

Radio Radio Radio Radio
Radio Radio Radio Radio
Warszawa 87.8 Radio Radio
Radio Radio Radio Radio
Radio Radio Radio Radio
Radio Radio Radio Radio
Radio Radio Kraków 95.2
Radio Radio Radio Radio
Radio Radio Radio Radio
www.wnet.fm Radio Radio
Radio Radio Radio Radio
Radio Radio Radio Radio
Radio Radio Radio Radio
Radio Radio Radio Radio
Radio Radio Radio Wnet

42/0520/F



przewidziany w dyrektywie siedliskowej, w związku z czym nie musi występować do KE o wydanie opinii środowiskowej. Wobec czego Komisja Europejska nie ma podstaw do wstrzymania inwestycji. W tej chwili rozmowy z KE nie są prowadzone. Eksperci, na których powołuje się ministerstwo, mieli wyjaśnić jej wątpliwości.

Działania budowlane prowadzone są zgodnie z decyzją środowiskową wydaną na podstawie obszernego (ponad tys. stron) raportu opracowanego przez firmę zajmującą się ochroną środowiska naturalnego. Co więcej, ptactwo z mierzei jest chronione i na bieżąco monitorowane przez nadzór środowiskowy oraz pracowników Urzędu Morskiego w Gdyni.

W Polsce wycinka drzew odbywa się pod nadzorem Lasów Państwowych. Na mierzei zastosowano te same procedury, co przy wycince drzew pod nowe autostrady czy linie energetyczne. Wycinki dokonano zimą, aby uprzedzić okresy lęgowe ptaków. O to obawiał się marszałek województwa pomorskiego. Dlatego na Zalewie Wiślanym powstanie sztuczna wyspa o powierzchni ok. 200 ha, wyłącznie dla ptaków i zwierząt żyjących na terenie samego zalewu, jak i Mierzei Wiślanej.

INWESTYCJA WOLNOŚCI

Inwestycja, choć planowana i analizowana od wielu lat, stała się jednym z głównych elementów kampanii wyborczej.

– Naukowa debata na jej temat trwała ostatnie 20 lat, a my teraz, realizując ten wielki plan, korzystamy z jej wyników – mówi Błażej Spychalski, rzecznik prezydenta Andrzeja Dudy. Prezydent razem z premierem osobiście analizowali postęp prac na miejscu przekopu. Obecnie w rejonie Zatoki Gdańskiej kontynuowane są prace pograżania ścianki szczelnej nabrzeża południowego. Gotowy jest odcinek o długości 250 m. Zakończono pograżanie ścianki szczelnej na nasadzie falochronu

zachodniego – jej długość to 230 m. Teraz wykonywana jest jego część zasadnicza, do której użyty będzie sprzęt pływający. W budowie jest też falochron wschodni.

– Ta nagła krytyka inwestycji, która jest kluczowa dla rozwoju, bezpieczeństwa i wolności Polski, jest ewidentnym zabiegiem politycznym będącym kontrą wobec działań prezydenta Andrzeja Dudy. Niektórzy kandydaci nie mają swojego planu dla Polski, więc skupiają się tylko na krytyce prezydenta, który swój plan nie tylko ma, ale też od pięciu lat konsekwentnie go realizuje – kwituje Błażej Spychalski.

Zdaniem prezydenta obecni krytycy przekopu zapominają, że każde państwo ma swoje strategiczne interesy. W strategicznym interesie Polski, pod względem bezpieczeństwa i z perspektywy rozwoju gospodarczego, jest uzyskanie niezależnego od Rosji ruchu żeglugowego w tym miejscu. Istotnie, inwestycja ma nas uniezależnić od dostaw z rosyjskich portów dyskryminujących polskie statki. „Nie będziemy prosić Rosjan o możliwość przepłynięcia na

Zalew Wiślanym przez Cieśninę Piławską, tylko będziemy mieli własne przejście. My będziemy decydowali o tym, kto i w którym momencie będzie nim mógł płynąć” – stwierdził prezydent Andrzej Duda.

To ma być furtka do dalszych planów infrastrukturalnych. Dzięki swobodnemu dostępowi do Elbląga jako portu morskiego będzie można wybudować choćby ciąg komunikacyjny, który stanie się jednym z elementów Via Carpatii. – To wszystko radykalnie wzmacnia Polskę i kraje Trójmorza, a to może się innym graczom na arenie międzynarodowej nie podobać. Naszym wielkim celem jest jednak zapewnienie Polsce bezpieczeństwa, suwerenności, niezależności gospodarczej i umożliwie-

nie jej swobodnego rozwoju – mówi Spychalski.

Jak dodaje, prezydent Andrzej Duda jest politykiem Polski ambitnej, a kwestia przekopu Mierzei Wiślanej, obok innych inwestycji, takich jak Centralny Port Komunikacyjny, Via Carpatia, programu Budowy Dróg Krajowych, Funduszu Dróg Samorządowych czy 100 Obwodnic, to nie tylko kwestia honoru rządu czy prezydenta. To ma być kwestia realizacji naszych polskich ambicji. Polskich, ale i europejskich.

– Europa ma dzisiaj znowu ambicję, żeby stać się ważną częścią światowej gospodarki. Pandemia pokazała, jak bardzo Europa się zmarginalizowała, jak bardzo dzisiaj jest zależna od zewnętrznych kooperantów. To wszystko, co my robimy w Polsce, to, co pan prezydent planuje dla Polski, jest częścią ambicji europejskich. Polska chce i ma prawo być częścią tego wielkiego planu ambitnej Europy – mówi Błażej Spychalski.

Ta nagła krytyka inwestycji, która jest kluczowa dla rozwoju, bezpieczeństwa i wolności Polski, jest ewidentnym zabiegiem politycznym będącym kontrą wobec działań prezydenta Andrzeja Dudy – mówi rzecznik prezydenta Błażej Spychalski

Kto chce nam zniszczyć internet?

Od marca nasze życie bardzo się zmieniło. Praca, edukacja, usługi, zakupy, nawet konsultacje medyczne – to wszystko stało się w większej mierze zdalne niż dotychczas. Eksperci szacują, że w ciągu dwóch miesięcy lockdownu doprowadziliśmy rozwój cyfrowy do stanu, który w normalnym tempie osiągnęlibyśmy dopiero za dwa lata. To rozwściecza tych, którzy z internetu uczynili współczesne pole wojny podjazdowej. I choć pozostaje im już tylko siał ferment informacyjny, to niestety robią to coraz skuteczniej

Ostatnie dwa lata to czas intensywnego rozwoju polskiej e-administracji. Polacy chcą korzystać z internetu. Chcą, by ułatwiał im życie, umożliwiał kontakt z bliskimi czy załatwianie spraw urzędowych bez wychodzenia z domu. Dowody? Tylko w tym roku profil zaufany, który umożliwia właśnie załatwianie online spraw urzędowych, założyło ponad 2 mln Polaków. To wynik, na który wcześniej trzeba było czekać... siedem lat! W sumie z profilu zaufanego korzysta już niemal 7 mln osób.

– Zarówno sektor prywatny, jak i administracja publiczna w ostatnich tygodniach świetnie zdały egzamin z przyspieszonej cyfryzacji – mówi Marek Zagórski, minister cyfryzacji. – Zdały go także firmy telekomunikacyjne.

Zgodnie z danymi Urzędu Komunikacji Elektronicznej w kwietniu w niektórych sieciach ruch wzrósł aż o 140 proc. Firmy dzięki usługom telekomunikacyjnym, szczególnie cyfrowym, mają stały kontakt z pracownikami. Możemy płacić kartą w sklepie i wypłacać pieniądze z bankomatu, a także dojechać do celu, korzystając z nawigacji pokazujących aktualny stan natężenia ruchu. Nie musimy się zwalniać wcześniej z pracy, by biec do urzędu. Urząd online jest otwarty siedem dni w tygodniu, 24 godziny na dobę. Podobnie jak sklepy internetowe, w których coraz chętniej robimy zakupy. To wszystko, choć często zupełnie sobie z tego nie zdajemy

sprawy, jest możliwe dzięki sieciom komórkowym.

– Dlatego tak ważne jest, abyśmy rozwijali sieci telekomunikacyjne, by nasza telekomunikacja płynnie wkraczała w erę 5G, która ułatwi dostęp do istniejących już szeroko rozumianych usług, ale także umożliwi pojawienie się nowych – podkreśla Marek Zagórski, minister cyfryzacji.

Sieci telekomunikacyjne są infrastrukturą krytyczną. Zapewniają nam bezpieczny dostęp do usług. Dlatego tym bardziej dramatyczne wydają się zdarzenia z ostatnich tygodni, kiedy w różnych miejscach w Polsce podejmowano próby niszczenia masztów i podpalono stacje bazowe. Powód? Ich rzekomy negatywny wpływ na zdrowie człowieka.

– Rozpowszechnianie tego typu fake newsów skutkuje niestety fizycznymi atakami na tę krytyczną infrastrukturę. To z kolei godzi wprost w bezpieczeństwo funkcjonowania państwa – mówi Marek Zagórski, minister cyfryzacji. Trudno nazwać to inaczej niż sabotażem godzącym w podstawy funkcjonowania naszego społeczeństwa. Jeżeli jakaś stacja zostanie wyłączona, to na danym obszarze nie będą świadczone usługi telekomunikacyjne.

Urządzenia wytwarzające pole elektromagnetyczne są z nami obecne od momentu wynalezienia prądu elektrycznego i różnych urządzeń, które on zasila. Naukowcy od dziesięcioleci prowadzą badania, jak pole to wpływa

na nasz organizm. Jeżeli posłuchamy prawdziwych autorytetów czy zajrzemy chociażby na strony rządowe o 5G, to się dowiemy, że sieć mobilna jest bezpieczna.

– Bądźmy rozsądni. Nie wierźmy w jakieś spiskowe teorie. Weryfikujmy informacje. Doceniajmy i cieszymy tym, że dzięki internetowi i telekomunikacji możemy być bliżej świata, nawet mieszkając w małym domku w środku lasu – dodaje minister cyfryzacji.

Do głosu dochodzą w końcu badacze fake newsów. W USA przeprowadzono niedawno analizę, z której wynika, że wśród 200 mln wpisów na Twitterze na temat pandemii koronawirusa blisko 50 proc. zostało stworzonych przez konta rozsiewające dezinformację. Badacze mówią wprost, że to wygląda na system propagandy tworzony głównie przez wywiady chiński i rosyjski. Naukowcy z uniwersytetu Carnegie Mellon zidentyfikowali ponad 100 fałszywych narracji promowanych przez boty na Twitterze, w tym np. teorię spiskową o związku rozprzestrzeniania się wirusa z rozwojem sieci 5G. Teoria zyskała na tyle dużą popularność w mediach społecznościowych, że także w innych krajach, w tym w Wielkiej Brytanii, doszło do wielokrotnych ataków na maszty telekomunikacyjne.

Dlatego wciąż aktualne i ważne są apele, byśmy weryfikowali informacje w sieci, byśmy nie stali się mimowolnymi agentami rosyjskiej dezinformacji.

Maksymilian Wysocki

Z uwagą przeczytałem artykuł pt. „Tak zaatakuje Rosja” w ubiegłotygodniowym numerze „Sieci”. Na jego podstawie można dojść do wniosku, że pozycja Polski przypomina kogoś, kto stoi na stolku z pętlą założoną na szyi z nadzieją, że mu tego stolka spod nóg nie wykopią



Rosja-Polska: trzy wiadomości



ROMUALD SZEREMIETIEW

Numer tygodnika „Sieci” (23/2020) zwraca uwagę okładką ze zdjęciem czołgu z wychylonym z wieży czołgista z barwami Rosji na mundurze (to nie był jakiś zielony ludzik, tylko prawdziwy żołdat). Na tym tle tytuł: „Tak zaatakuje Rosja”, i intrygujący podtytuł: „Dotarliśmy do scenariusza ataku militarnego na Polskę i Europę”. W numerze artykuł Marka Budzisa „Polska w niebezpieczeństwie”, a we wstępie do artykułu czytamy, że „mamy do czynienia ze scenariuszem, który armia rosyjska mogłaby zrealizować w ciągu kilkunastu dni, zanim NATO będzie zdolne do zdecydowanej odpowiedzi”.

Od dawna zajmuję się Rosją i jej zamiarami wobec Polski, toteż przeczytałem z uwagą artykuł w tygodniku „Sieci”. Na jego podstawie można dojść do wniosku – nie wiem, czy tak też myśli Autor – że pozycja Polski przypomina kogoś, kto

stoi na stolku z pętlą założoną na szyi z nadzieją, że mu tego stolka spod nóg nie wykopią. Mamy – mówi Autor – „przygotować się na najgorszy z możliwych scenariuszy”, gdyż „w perspektywie kilku lat możemy znaleźć się na froncie wojny z Federacją Rosyjską” – brr!

W artykule nie ma informacji z wykradzionych Rosjanom planów napaści na Polskę, tylko opowieść o scenariuszach rosyjskiej agresji kreślonych przez amerykańskich analityków i strategów snujących rozważania na takie tematy. W USA jest sporo, jak się powiada, think tanków, w których skupiają się emerytowani generałowie i pułkownicy, byli doradcy i analitycy różnych instytucji zajmujących się bezpieczeństwem narodowym. Tworzą oni raporty, ekspertyzy, opracowania i do nich sięgnął pan Budzisz. Ale chociaż są to tylko wymyślone scenariusze, to jednak budzą niepokój – stąd zresztą skojarzenie z pętlą na szyi Polski.

CHINY CZY ROSJA – PIERWSZA WIADOMOŚĆ

Autor artykułu odwołuje się do Narodowej Strategii USA, jakkolwiek by było „naszego największego sojusznika”. W strategii USA można przeczytać, że zagrażają „siły rewizjonistyczne, takie

jak Chiny i Rosja, wykorzystujące technologię, propagandę oraz przymus do kształtowania świata przeciwnego naszemu [USA] interesom oraz wartościom” – pełna zgoda, ale... amerykańscy stratedzy zastanawiają się, z kim USA będą toczyć wojnę: najpierw z Chinami czy najpierw z Rosją i jakie to będzie miało światowe konsekwencje. Gdyby wybuchła bowiem „kinetyczna” wojna amerykańsko-chińska, czy wtedy dla Rosji nie otworzy się „okienko możliwości” do uderzenia na Zachód i wówczas – dodajmy – Polska znajdzie się „na froncie wojny z Federacją Rosyjską”? Tymczasem Amerykanie zaangażowani militarnie w Azji nie będą mogli udzielić Polakom wsparcia. To jest dla nas zła wiadomość.

W latach zimnej wojny, gdy NATO miało odpierać atak sił Warszawskiego Dogowora, USA miały zdolność prowadzenia – w tym samym czasie – dwu „dużych” wojen i jednej „mniejszej”. Czyli mogłyby prowadzić wojnę w Azji i zapewnić pełnowymiarowe wsparcie sojusznikom w Europie. Tej możliwości USA się pozbawiły, gdy nadszedł ogłoszony przez Fukuyamę „koniec historii” i zredukowano siły zbrojne USA po rozpadzie ZSRR. Prezydent Trump zapowiadał odbudowę dawnych zdolności wojskowych, ale skoro

red. Budzisz wyraża obawę, co będzie z Europą, gdy wybuchnie wojna w Azji, należy przypuszczać, że odbudowa amerykańskich zdolności militarnych jeszcze trwa.

PRIBAŁTYKA – DRUGA WIADOMOŚĆ

Kolejna zła wiadomość. Uważa się dość często, że po Gruzji (Abchazja, Osetia) i Ukrainie (Krym) następnym obiektem rosyjskiego ataku może być Pribałtyka (jak mówią na Kremlu), czyli Estonia, Litwa i Łotwa. Przy czym najsłabszym ogniwem ma być Łotwa, ale wszystkie te państwa mają fatalne położenie, są trudne do obrony, a mają łącznie zaledwie 22 tys. żołnierzy bez ciężkiego uzbrojenia i lotnictwa. Autor artykułu uważa, że państwa te powinny podwoić swoje siły, ale nie wiadomo w jakim celu, bo 40 tys. też Pribałtyki przed Rosjanami nie obroni. W regionie są ograniczone siły natowskie, ale wśród nich – co podkreśla pan Budzisz – nie ma Amerykanów, i pyta, dlaczego ich tam nie ma. Właśnie, dlaczego?

Wymieniany przez Autora amerykański ekspert uważa, że obrona „nadbaltyki” to zadanie Amerykanów i... Polaków, tylko że – znowu red. Budzisz: „Nie możemy mieć pewności, że w ostatecznym rachunku amerykańskie jednostki z okolic Orzysza wejdą do wojny” (batalion US Army, 800 żołnierzy). Jak wynika z mapek zamieszczonych przy artykule, pokazujących, jakimi siłami w regionie dysponują Rosjanie (wśród nich Pierwsza Gwardyjska Armia Pancerna, 800 czołgów, 550 BWP), widać, że mają miażdżącą przewagę.

Autor artykułu za amerykańskim ekspertem podnosi, że tzw. wschodnia flanka NATO właściwie nie istnieje, a w razie wojny z Rosją wiele będzie zależało od Finlandii, Szwecji, Ukrainy, które do NATO nie należą. Nie wyjaśnia, w jaki sposób te kraje wezmą udział w wojnie, jeśli np. Rosjanie ich nie zaczepią. Trudno też zrozumieć taką opinię Autora: „Tylko nasza armia [polska] z konieczną pomocą Stanów Zjednoczonych może zablokować i zniwelować przytłaczającą dziś przewagę sił

lądowych, którą dysponują Rosjanie na tzw. kierunku bałtyckim”. Polska armia ma zablokować i zniwelować rosyjską przewagę z amerykańskim batalionem i ewentualną pomocą państw, które są poza NATO?

Wiadomo, że wśród sił NATO „na przedmieściach Rygi znajdują się polscy żołnierze”, którzy w razie rosyjskiego ataku staną w obliczu dramatycznego pytania: podjąć wojnę z Rosją czy się wycofać? Chodzi o to, że na Łotwie mamy 14 czołgów i 170 żołnierzy – to siła, która w razie rosyjskiej agresji nie zdziała wiele.

Więcej na temat amerykańskich pomysłów na obronę Pribałtyki można by powiedzieć, zaglądając do raportu Rand Corporation „Deterring Russian Aggression in the Baltic States Through

Autor artykułu uważa, że Bałtowie powinni podwoić swoje siły, ale nie wiadomo, w jakim celu, bo 40 tys. też Pribałtyki przed Rosjanami nie obroni

Resilience and Resistance”. Można wnosić, że red. Budzisz z niego nie korzystał. Otóż autorzy z Rand Corporation zalecają Litwie, Łotwie i Estonii przygotowanie obrony za pomocą niekonwencjonalnych działań (partyzantka?), które mają pomóc odstraszać i przeciwdziałać rosyjskiej agresji. Piszą w raporcie: „Obrona totalna i działania niekonwencjonalne mogą wzmocnić odstraszenie, a jeżeli to będzie za mało, mogą uniemożliwić przeciwnikowi łatwe zwycięstwo dzięki zwiększeniu kosztów okupacji ponoszonych przez najeźdźców”. W raporcie wyliczono przewidywane koszty utworzenia i wyekwipowania komórek ruchu oporu w tych trzech państwach (125 mln dol.). Zauważają przy tym, że przygotowanie ruchu oporu jest już częścią strategii obronnych wszystkich państw nad-

bałtyckich. Dodajmy, że od pewnego czasu w państwach nadbałtyckich działają grupy żołnierzy amerykańskich sił specjalnych. Nietrudno się domyślić, czego oni mogą uczyć.

NA ZAPAD – TRZECIA WIADOMOŚĆ

W końcowej części swego artykułu red. Budzisz dochodzi do tego, co dla Polaków powinno być najważniejsze. Amerykańscy eksperci tyle razy omawiali rolę Polski jako głównego, a początkowo jedyne obrońcy państw nadbałtyckich, że Rosjanie też musieli to dostrzec. Słuszny więc jest wniosek w przedstawianym w artykule materiale New Generation Warfare, że mogą oni przed opanowaniem Pribałtyki spróbować pobić jej potencjalnych obrońców – Polaków. Można założyć, jak zapisano w amerykańskim scenariuszu, że zanim dojdzie do marszu na Rygę i Tallin, Rosja przerzuci swoje siły w rejon Brześćcia nad Bugiem i stąd wykona uderzenie na północny zachód, a jednocześnie z północy na południe zaatakują zgrupowanie rosyjskie z Kaliningradu. Te dwa uderzenia spotkają się w okolicach Modlina. Rosjanie sparaliżują stolicę Polski, wymuszając kapitulację, zanim NATO zdoła cokolwiek zrobić.

Przy czym w Polskę – twierdzą autorzy scenariusza wojny – uderzy „nie-nuklearna ofensywa”. Czyżby autorzy scenariusza mieli dostęp do rosyjskiej tajnej instrukcji użycia sił nuklearnych – czy stąd wiedzą, że Rosjanie, napadając na Polskę, nie użyją taktycznej broni jądrowej, której mają sporo?

Autor artykułu na końcu pyta: „Jakie mamy gwarancje, że ten scenariusz nie stanie się rzeczywistością?”. Tego oczywiście nie wiadomo, nie wiemy, jaka będzie przyszła rzeczywistość. Zagrożenie ze strony Rosji jest niewątpliwe, ale Rosjanie niekoniecznie będą postępować według amerykańskich scenariuszy. Trzeba o tym pamiętać, planując obronę naszego kraju. Znana jest powiastka o hrabinie, która miała trzy nocniki: srebrny, złoty i kryształowy, a gdy do pałacu wpadli bolszewicy, to w panice... nie zdążyła użyć żadnego.

Polska wygrywa na Lotto

O tym źródle dochodów państwa mało się ostatnio mówi, ale to w dobrym zarządzaniu Totalizatorem Sportowym kryje się jedna z tajemnic dobrego stanu budżetu państwa. To jednak nie wszystkim się podoba



80–90 proc. całego rynku. Z informacji opublikowanych przez to stowarzyszenie w grudniu 2019 r. wynika, że udział legalnych bukmacherów w rynku wynosił już tylko 40 proc. Choć to i tak za dużo. Warto wspomnieć też o nowym źródle dochodu budżetu państwa, jakim są gry losowe online, których urządzenie przed 2017 r. było nielegalne. Kasyno internetowe, którego operatorem jest Totalizator Sportowy, w pierwszym pełnym roku funkcjonowania wygenerowało prawie 80 mln zł wpływów z podatku od gier, i to przy niezwykle restrykcyjnych przepisach dotyczących reklamy tego typu rozrywki (zarówno reklama, jak i informowanie o kasynie internetowym są zakazane). Spółka szacuje, że udział legalnego kasyna internetowego w stosunku do działalności szarej strefy i działalności nielegalnej może sięgać już nawet 50–60 proc.

Kurcząca się szara strefa to wzrastające przychody budżetowe płynące z legalnych gier hazardowych. Z danych Ministerstwa Finansów wynika, że w 2019 r. wartość wpłaconego podatku od gier wyniosła prawie 2,4 mld zł. Lwią część (46 proc.) przekazał Totalizator Sportowy. 35 proc. było udziałem kilkunastu firm bukmacherskich, a niespełna 20 proc. budżet zawdzięcza kasynom gry. Warto też pamiętać, że to nie wszystkie dochody skarbu państwa z hazardu. Totalizator Sportowy wpłaca też ustawową dopłatę na wspieranie funduszy celowych, które zajmują się m.in. rozwojem kultury fizycznej i promocją kultury. Łącznie dochody skarbu państwa z gier i zakładów przekroczyły 3,5 mld zł, z czego ponad 2,2 mld wpłacił monopolista – Totalizator.

Afera hazardowa, w którą zaangażowani byli prominentni politycy Platformy Obywatelskiej, wstrząsnęła w 2009 r. polską sceną polityczną. Na realne wnioski, jakie powinny płynąć z manipulacji przy tworzonych przez rząd PO-PSL przepisach, Polacy czekali długo. Nowelizację ustawy hazardowej udało się wprowadzić dopiero pod rządami Prawa i Sprawiedliwości, ograniczając – jak pokazują statystyki – szarą strefę branży hazardowej. Nowe przepisy, obowiązujące od 2017 r., okazały się skuteczne i mocno uderzyły w mafijno-biznesowe układy rozdające karty w hazardzie.

We wrześniu 2019 r. Najwyższa Izba Kontroli opublikowała raport pokazujący, jak zmienił się rynek bukmacherski w naszym kraju od czasu wejścia w życie tzw. ustawy hazardowej. Według raportu NIK szara strefa hazardu została ograniczona, ale walka

z nielegalnym biznesem wciąż jest na początku drogi i wymaga nieustannej kontroli oraz wsparcia ze strony administracji centralnej.

GRA TOCZY SIĘ O WIELKIE PIENIĄDZE

Według danych Ministerstwa Finansów pod koniec 2019 r. wartość nielegalnego rynku zakładów bukmacherskich w internecie pozostawała wyższa od tych legalnych. Nadzieją napawa to, że wpływy z legalnych zakładów online rosną. Wartość legalnego rynku zakładów wzajemnych online wzrosła siedmiokrotnie: z nieco ponad 543 mln zł w 2015 r. do ponad 3,8 mld zł w 2018 r. Z kolei wartość nielegalnego rynku wzrosła z 2,8 mld zł w 2015 r. do ponad 4 mld zł w 2018 r. (o 42 proc.).

W 2016 r. nielegalne zakłady bukmacherskie w internecie według Stowarzyszenia Graj Legalnie stanowiły

SZARA STREFA ZNIKA DZIĘKI TOTALIZATOROWI SPORTOWEMU

Spadki notowane przez nielegalnych operatorów przekładają się przede wszystkim na wzrosty wyników państwowego monopolisty w zakresie loterii pieniężnych, kasyn online czy salonów gier na automatach – Totalizatora Sportowego.

Warto wskazać na świetne wyniki obecnego zarządu spółki. W 2019 r. Totalizator Sportowy, powszechnie kojarzony z marką LOTTO, zanotował najlepszy wynik finansowy w swojej ponad 64-letniej historii. Całkowite przychody ze sprzedaży spółki sięgnęły 9,89 mld zł, co oznacza wzrost o 94 proc. w stosunku do 2018 r., gdy sprzedaż ogółem wyniosła 5,09 mld zł, i wynik ponad dwa razy lepszy niż w 2017 r., kiedy Totalizator Sportowy osiągnął przychody ze sprzedaży na poziomie 4,65 mld zł. Obrót we wszystkich obszarach działalności Totalizatora sięgnął niemal 11 mld zł wobec nieco ponad 6 mld zł w 2018 r. Warto podkreślić, że w 2015 r. przychody ze sprzedaży Totalizatora Sportowego, czyli przed rządami Zjednoczonej Prawicy, wyniosły 4,32 mld zł.

– Totalizator Sportowy udowodnił, że przestał być wyłącznie narodowym operatorem loteryjnym, a stał się nowoczesną spółką technologiczną, która dzięki zmianom w prawie mogła rozpocząć działalność w nowych obszarach rynku gamingowego – komentował wyniki Olgierd Cieślík, prezes Totalizatora Sportowego. – Dzięki stałemu postępowi, uruchomieniu sprzedaży online, ciągłemu rozwojowi sieci salonów gier na automatach oraz punktów sprzedaży LOTTO uzyskaliśmy najlepszy wynik w naszej historii. Cały czas pracujemy nad tym, abyśmy stali się jednym z największych graczy na rynku gamingowym w tej części Europy – podkreślał.

Prezes Totalizatora Sportowego zaznacza, że nowe przepisy były bodźcem, dzięki któremu udało się znacząco ucywilizować rynek hazardowy w Polsce. Na łamach raportu „Global Compact”

zwraca jednak uwagę na działania legislacyjne, które mogłyby się przyczynić do szybszego rozwoju przedsiębiorstwa, a co za tym idzie – wzrostu dochodów generowanych do państwowego budżetu.

– Zdecydowanie najważniejszą kwestią w kontekście ucywilizowania rynku gier i zakładów jest zapewnienie graczowi dostępu do informacji o legalnych operatorach. Pamiętajmy, że podmioty działające w szarej strefie nie

W 2019 r. dochody skarbu państwa z gier i zakładów przekroczyły łącznie 3,5 mld zł, z czego ponad 2,2 mld wpłacił Totalizator. Całkowite przychody ze sprzedaży spółki sięgnęły 9,89 mld zł, co oznacza wzrost o 94 proc. w stosunku do 2018 r., gdy sprzedaż ogółem wyniosła 5,09 mld zł, i jest wynikiem ponad dwa razy lepszym niż w 2017 r., kiedy Totalizator Sportowy osiągnął przychody ze sprzedaży na poziomie 4,65 mld zł

przestrzegają przepisów dotyczących zakazu reklamy, promocji oraz informowania – mówił Cieślík na łamach raportu „Przeciwdziałanie szarej strefie w Polsce”.

CZY HAZARD MA SENS?

Branża hazardowa jest zagadnieniem niezwykle wrażliwym i trudnym do opanowania. Od czasów afery hazardowej wiemy z pewnością, że stoi za nią potężne lobbey, które będzie broniło swoich interesów i utrudniało państwu (oraz spółkom państwowym) wkracza-

nie na te obszary, które zostały opanowane przez nielegalną działalność.

Nie można zapomnieć, że dobra kondycja Totalizatora Sportowego ma także znaczący wpływ na istotne dla polskich obywateli inwestycje. Dzięki ustawowym dopłatom do gier LOTTO tylko w ub.r. spółka przekazała Ministerstwu Sportu oraz Ministerstwu Kultury i Dziedzictwa Narodowego ogromny zastrzyk pieniędzy – w sumie ponad 1,1 mld zł na rozwój polskiego sportu i kultury narodowej. W 2018 r. było to ponad 1 mld zł. Z tych pieniędzy finansowane są m.in. remonty i budowa obiektów sportowych czy kulturalnych. Jednocześnie Totalizator Sportowy wspiera wybrane organizacje, kluby i wydarzenia sportowe ze środków własnych, jak chociażby Polski Komitet Olimpijski czy piłkarska Ekstraklasa.

W czasie pandemii koronawirusa Polacy przekonali się, że działania społeczne spółek państwowych mają ogromne znaczenie. Totalizator Sportowy przekazał na walkę z koronawirusem już 11 mln zł i nadal przeznacza środki w wysokości 10 proc. ze sprzedaży wszystkich zakładów i losów zawieranych na lotto.pl. Wcześniej dostarczył szpitalom środki finansowe i sprzęt medyczny.

„Skoordynowana akcja pomocy potrzebującym realizowana na co dzień przez spółki skarbu państwa przynosi pożądane efekty. Totalizator Sportowy udowadnia, że możemy wygrać wszyscy – dziś z samym koronawirusem, jutro ze skutkami epidemii. Tak szerokie wsparcie to warunek czasu walki z chorobą, ale i kwestia odpowiedzialności spółki wobec jej klientów” – powiedział wówczas wicepremier Jacek Sasin.

Jeszcze w 2009 r. media donosiły: „Hazard to na świecie biznes wart miliardy dolarów. W Polsce to także kłębowski sprzeczny interes. Wielkie firmy i szermierzy biznesu, lobbeyści, politycy i fiskus – wszyscy walczą o swój kawałek tortu”. Tak było nieco ponad dziesięć lat temu. Dziś, zaledwie trzy lata po wejściu w życie nowelizacji ustawy hazardowej, sytuacja zmieniła się zasadniczo.

Piotr Filipczyk

Już wiemy, że można żyć wolniej

Wróciliśmy do domu jako głównego miejsca do życia. Takiego, jakim był kiedyś: gdy dzieci uczyły się w domu, gotowało się w nim i jadło, często pracowało. To było zaskakujące doświadczenie dla wielu ludzi, wymuszone przez pandemię, ale pozwoliło nam docenić ten dom

Z dr Agnieszką Dudzińską, socjologiem, pracownikiem naukowym Instytutu Profilaktyki Społecznej Resocjalizacji Uniwersytetu Warszawskiego, rozmawia Aleksandra Jakubowska

„Na świecie było tyle dżum, co wojen. I pomimo to dżumy i wojny zastają ludzi tak samo zawsze zaskoczonych” – pisał Albert Camus w powieści „Dżuma”. Jak bardzo nas ta pandemia zaskoczyła?

Agnieszka Dudzińska: Nie byliśmy oswojeni z tego typu wydarzeniami. Całkiem inaczej to wygląda w Azji, gdzie takie doświadczenia już były. Początkowo nas to zaskoczyło, ale w obecnych czasach jest tak szybki dostęp do informacji, błyskawicznie wszczyna się procedury medyczne, rozpoczyna badania, wyniki publikuje praktycznie z dnia na dzień, więc szybkość reakcji, a tym samym skuteczność działania jest większa, niż była kiedykolwiek. Następna epidemia tak nas nie zaskoczy, bo będziemy przygotowani pod względem procedur, środków ochrony, placówki medyczne też będą bardziej świadome.

Niewidzialny organizm sparaliżował najpotężniejsze państwa świata. Ludzkość wypowiedziała naturze wojnę, a natura odpowiedziała jej w gwałtowny sposób? Przestroga dla człowieka, że wcale nie jest taki wszechmocny?

Spokornieliśmy. Wydawało nam się, że w dzisiejszych czasach, przy obecnym rozwoju medycyny i powszechności dostępu do usług medycznych, jesteśmy panami natury, a ona zagrała nam na nosie. Niesamowite wrażenie sprawiały zdjęcia pustych ulic Rzymu, Paryża, Wenecji... i, o paradoksie, piękno tych miejsc, które już niejedną epidemię widziały. Widać pustkę – a jednocześnie nie widać tego wirusa. Musimy dać wiarę temu, że coś niewidocznego jest w stanie nas pokonać. Nagle trzeba dokonywać tragicznych wyborów, kogo ratować. W czasach pandemii selekcja pacjentów to nie zapisy do specjalisty, tylko sprawa przeżycia. Nasza pycha wobec natury została poskromiona.

Dla nas bardzo zaskakujące były informacje o starych ludziach umierających na Zachodzie w domach opieki społecznej



nej bez pomocy. Cywilizacja śmierci? Inny rodzaj eutanazji, która już tam jest dozwolona? Czy sytuacje tego typu jak pandemia powodują rozpad więzi międzyludzkich, stajemy się nieczuli na tragedię innych?

To dla nas naučka. Domy pomocy społecznej, uchodźcy, bezdomni są wykluczeni z naszego społecznego życia, spychamy ich z naszego pola widzenia. Czy to jest cywilizacja śmierci, czy wykluczenia, to tylko różnica stopnia. Nie chcemy wiedzieć, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami. Na Zachodzie zwyczaj oddawania rodziców do tych domów spokojnej starości jest powszechniejszy, może dlatego że jest więcej jedynaków. U nas więzi pokoleniowe są mocniejsze. W obliczu pandemii lekarze, np. w Lombardii, stanęli przed dylematem, kogo ratować. Łatwo z zewnątrz ocenić, że to jest okrucieństwo, że kogoś de facto skazuje się na śmierć i już się nie ratuje z braku środków. Nie chciałabym być takim lekarzem. Jak podjąć racjonalną decyzję, jak ważyc racje, skoro przysięgaliśmy ratować ludzkie życie? Niestety te wybory są realne. Przerażające jest w tej chorobie to, że musimy ich dokonywać. W XXI w., przy tych procedurach medycznych, przy tak rozwiniętej farmakologii, ten wybór wraca. Pewien ksiądz we Włoszech, chory na COVID-19, którego parafianie złożyli się, żeby kupić mu respirator, przekazał go komuś innemu, powiedział: „Mnie nie musicie już ratować, nie mam rodziny”. Jest wiele

wspaniałych przykładów altruizmu, jest nieprawdopodobnie zaangażowanie wielu ludzi.

Takie kryzysy bardzo drastycznie ujawniają skrajne postawy.

Dobrym przykładem tych pozytywnych są młodzi ludzie. Paradoksalnie ich koszt osobisty był bardzo duży, choć choroba nie dla nich jest groźna. Musieli chronić pokolenie swoich rodziców, często też powściągnąć ludzki odruch, by ich odwiedzić, pomóc w zakupach. Dla młodzieży dystans społeczny musiał być trudny, ale większość go respektowała. Nie wszyscy dali radę, bo część po prostu bagatelizowała ryzyko. Uważała, że starszy ludzie też kiedyś umrą, za te pięć–dziesięć lat, co za różnica.

Kilkanaście tygodni zamrożenia zmusiło wielu z nas do ograniczenia życia do czterech ścian. Od-

czujemy potrzebę realnego, nie zaś wirtualnego kontaktu z drugim człowiekiem, będziemy chcieli wrócić do swoich społeczności? A może spodoba nam się taka samoizolacja, np. zdalna praca? W którą stronę to pójdzie?

To indywidualna sprawa, zależna od wcześniejszej sytuacji. Ale odkryliśmy, że cyfryzacja może uratować nasze więzi. Ja np. spędzałam Wielkanoc z rodziną w internecie. Namówiliśmy bardzo opierającego się początkowo mojego ojca, który kiedyś używał Facebooka – coś mu tam się zablokowało, nie chciał sobie zawracać tym głowy – na spotkanie i na ekranie

byli wszyscy, a mam liczne rodzeństwo. Widzieliśmy się, składaliśmy życzenia, przybiegały dzieci, zaglądali nam przez ramię inni domownicy, to było bardzo piękne spotkanie.

Technika zastąpi nam bezpośredni kontakt z innymi ludźmi? To będzie dziedzictwo pandemii?

Nie, byliśmy postawieni w sytuacji przymusowej, więc i tak nie mogliśmy się spotkać twarzą w twarz. Człowiek jest istotą społeczną, ludzie potrzebują się widzieć, bo tak mogą odczytywać sygnały niewerbalne. Technologia nam to ułatwiła w tej sytuacji, zresztą sprawdziła

się w wielu różnych obszarach. Przygotowanie urzędów, bankowość elektroniczna, zakupy przez internet, poczta elektroniczna, cały ten cyfrowy świat, że wspomnę także o e-receptach i teleporadach, dał nam nowe środki na odwieczne potrzeby ludzkie.

Umiejętnie wykorzystaliśmy coś, co już istniało. A nauczyliśmy się czegoś nowego?

Tak – że można wolniej żyć. Pandemia jest bardzo zmienna w czasie i nasze reakcje też się zmieniają. Najpierw wykupywanie papieru toaletowego i makaronu, zresztą cały świat to powtórzył. Potrzebowaliśmy nakupować rzeczy, żeby zamknąć się w domu, musieliśmy zatrzymać się i zaczęliśmy wolniej żyć. Wróciliśmy do domu jako głównego miejsca do życia. Takiego, jakim był kiedyś, gdy dzieci uczyły się w domu, gotowało się w nim i jadło, często pracowało. To było zaskakujące doświadczenie dla wielu ludzi, wymuszone przez pandemię, ale pozwoliło nam docenić ten dom. Oczywiście to zależy od tego, jaki kto ma dom. Dla części to było wzmocnienie pozytywne, dla części niestety negatywne.

Coś z tego w nas zostanie? Czy nie wrócimy do tego wyścigu szczurów, pogoni za karierą, za dobrami doczesnymi, nie wciągnie nas wir, w którym dom będzie jedynie miejscem noclegu i wymiany suchych komunikatów z innymi członkami rodziny?



Fot. Andrzej Wiktor

Za częścią tego życia bardzo tęskniliśmy. Kiedy nareszcie mogliśmy pójść do galerii handlowej czy kawiarni, to były jakieś tropy do przeszłości. Choć zaadaptowaliśmy się do czasów pandemii, pragniemy wrócić do wcześniejszego życia. I tylko trapi nas pytanie, czy będzie tak jak kiedyś.

Wielu z nas żyło z dnia na dzień, mając pewność, że nasze prosperity będzie wiecznie trwało, że ciągle będziemy mogli mieć ten sam, a może z czasem jeszcze lepszy poziom życia. Czy to, co przeżyliśmy, nauczy nas, żeby oszczędzać na czarną godzinę, tworzyć awaryjne scenariusze?

To nauczka dla osób, które utrzymują pracę. Rozmawiałam z wieloma osobami, które pracują w działach kadr różnych firm, większych i mniejszych. One też przeżywają swoją traumę, bo nigdy w życiu nie musiały przygotować tylu wypowiedzeń, choć oczywiście trudno ją porównywać z rozpaczą tych, którzy je otrzymali. Nawet jeżeli to nie one są posłańcami złych wieści, tylko szef rozmawia z pracownikiem. Często odbywało się to e-mailem, przez telefon i przy rodzinie. Dzieci albo były bezpośrednio świadkami, albo widziały, jak rodzic wraca załamany z sąsiedniego pokoju. Oczywiście dotyczy to

mniejszości pracowników, ale sporej mniejszości. Wiele miejsc pracy zostało zachowanych i chwała za to rządowi, ale zwolnień na taką skalę dawno nie było. Ci, którzy utrzymują pracę, będą bardziej skłonni odkładać na czarną godzinę, bo już wiedzą, że takie godziny się zdarzają. Ludzie będą także inaczej podchodzić do swoich kompetencji na rynku pracy, bo przekonali się, jak ważne są kompetencje cyfrowe. Może wystąpić także ucieczka od pracy ryzykownej, części zawodów opiekuńczych, np. długo będzie istniał lęk przed pójściem do pracy w domu opieki społecznej.

Strach rzeczywiście na długo zostanie. Mimo że już dzieci mogą wrócić do przedszkoli i placówek opiekuńczych, mało rodziców się na to decyduje. Będzie można pojechać na kolonie, obozy, ale jak wielu rodziców odważy się puścić na nie dzieci?

Trochę nieufnie podchodzimy do informacji, oficjalnych przekazów, spotęgowała to cała gra wokół wyborów prezydenckich, ale też to, że Chińczycy długo ukrywali prawdę o epidemii i zaczynamy podejrzewać, że ten mechanizm ukrywania odbywa się także w innych krajach, może i naszym. Rodzice chcą mieć pewność, że ich dzieci będą bezpieczne.

Czego nas ta epidemia nauczyła w wymiarze społecznym, a czego w wymiarze indywidualnym?

Indywidualnie zyskaliśmy świadomość ograniczeń człowieka wobec czegoś, co może przyjść z zewnątrz, natomiast jako wspólnota zrozumieliśmy, że kiedy następuje sytuacja kryzysowa, potrzebne jest sprawne państwo. Rola silnego państwa, zdolnego do trudnych decyzji, łącznie z zamknięciem granic, nagle okazuje się bardzo ważna, zaczynamy to cenić. I będziemy bardziej cenić ludzi pracujących w ochronie zdrowia. Ogromny efekt, który docenimy dopiero w przyszłości, to skokowy wzrost kompetencji cyfrowych dzieci. I chodzi mi nie tylko o zdalne nauczanie, ale porozumiewanie się z rówieśnikami, z rodziną, nauczycielem, wysyłanie załącznika do e-maila.

Będzie cezura w naszym życiu? Przed i po pandemii? To będzie jakieś przeżycie pokoleniowe?

Wszyscy zapamiętamy ten czas pandemii jako czas wielkiej zmiany i pewnie wchodzimy na trochę inny poziom funkcjonowania w wielu obszarach. Będziemy obserwować bardzo różne efekty, bo społeczeństwo jest niesłychanie zróżnicowane, jest tyle sektorów, warstw, tyle sytuacji życiowych. Każdego dotknie to w zupełnie inny sposób. To jest test na wielu różnych poziomach: indywidualnym, rodzinnym, państwowym, ochrony zdrowia, szkół. Coś się stało bardzo nagle i musimy temu podołać. I oby „to” wreszcie poszło sobie precz. 

Najlepsze **aplikacje** pobieraj ze sklepu HUAWEI

AppGallery



Bić się czy nie bić? Oczywiście – bić

Rzecz o miałości kapitulancckiego „rewizjonizmu” historycznego

Krytyka polskiej romantycznej tradycji rzekomego szaleństwa stawiania oporu najeźdźcom, tak modna w ostatnich latach w polskiej publicystyce historycznej, jest skierowana do osób nieznających historii i nierozumiejących natury procesów społecznych nią rządzących. Wizja dziejów prezentowana przez rewizjonistów jest mieszaniną faktów dobranych pod tezę, przemilczeń i prostej ignorancji oraz niezrozumienia tego, że stan mentalny społeczeństw i decydentów jest tak samo realnym składnikiem rzeczywistości jak dywizje, surowce i pieniądze. Inaczej nie byłoby różnic między Mordwinami a Czeczenami – jako ludami podbitymi przez Rosję. O pierwszych słyszał mało kto, o walce drugich zaś prawie wszyscy. I nie wynika to z różnic ich zasobów materialnych, lecz właśnie z mentalności. Objasniając dzieje walki Polaków o wolność, nie wolno zapominać o tej regule.

* * *

Zacznijmy od tego, że Rzeczpospolita Obojga Narodów była unikalnym w ówczesnej Europie organizmem politycznym – własnością swych OBYWATELI, a dokładniej nimi samymi. Rzeczpospolita była bowiem narodem politycznym, a nie strukturą administracyjną. Ponieważ obywatele – tzn. szlachta – stanowili ok. 10 proc. jej ludności i byli jedynym nośnikiem kultury wyższej (wobec słabości kulturowej i politycznej miast i poddańczego statusu chłopów), to wytworzony w tej grupie społecznej model kulturowy stał się jedynym modelem kultury narodowej w jej politycznym wymiarze. Pozostałe warstwy, przechodząc od polskości etnicznej do polskości politycznej, musiały więc przyjmować ten właśnie model. Dotyczyło to także Białorusinów, Karaimów, Litwinów, Niemców, Ormian, Tatarów, Ukraińców, Żydów etc., którzy asymilowali się do polskości pod wpływem tego wybitnie atrakcyjnego modelu kulturowego, opartego na wolności. Co ważne, odbywało się to w warunkach absolutystycznej Europy, łagodzonych dopiero po 1859 r. (jednoczące się Włochy), 1867 r. (konstytucyjne Austro-Węgry) i w odmiennym

rytmie i głębokości po 1870 r. (Niemcy, ale także Francja jako wzorzec z Sèvres ówczesnej europejskości, będąca wszak do czasów klęski w wojnie z Prusami absolutystycznym cesarstwem). Rosja ze względów oczywistych była tu antywzorcem.

Wolnościowa kultura polska była z gruntu demokratyczna, a do tego szlachecka, czyli przepojona etosem rycerskim. Wszak prawa polityczne, według powszechnie głoszonej zasady, przynależały szlachcie z powodu „podatku krwi”, jaki zobowiązana była płacić w obronie Rzeczypospolitej. To w tej kulturze wychowany Maurycy Mochnacki pisał oburzony o Wielkiej Rewolucji Francuskiej: „Cóż to za szalona myśl – znieść szlachtę, wprost przeciwnie, trzeba WSZYSTKICH USZLACHCIC” – co w Polsce było łatwo wyobrażalne – wystarczyło prawa polityczne posiadane przez szlachtę rozciągnąć na pozostałych mieszkańców. We Francji zaś nie dało się tego nawet wyobrazić, gdyż tam NIKT nie miał praw politycznych. Takie oto społeczeństwo zostało przemocą rozdarte przez zaborców. Trzeba było skrajnego braku realizmu w Berlinie, Petersburgu i Wiedniu, żeby sobie wyobrazić, że podzieli się Rzeczpospolitą i będzie się tym łupem zarządzać jak każdymi innymi prowincjami. To nie my byliśmy „romantycznymi szaleńcami”, lecz zaborcy, niepotrafiący ocenić oczywistych realiów psychospołecznych podbijanych ziem. Szczególnym idiotyzmem wykazała się Austria, zamieniając sąsiedztwo z Rzeczpospolitą na sąsiedztwo z Rosją i godząc się na wzmocnienie Prus, i to po klęsce, jaką poniosła w wojnach śląskich. W kolejnym stuleciu Prusy wyparły ją z Rzeszy, a Rosja podminowała pruslawizmem.

* * *

Powstania wybuchały, bo musiały. W 1732 r. – gdyż Rosja pogwałciła wolną elekcję. Nie ma co wydziwiać. Gdyby teraz weszły do Polski pułki moskiewskie i powiedziały, że naszym prezydentem ma być nie ten, tylko tamten, też byśmy się bili. Wymaganie od naszych przodków, by położyli uszy po sobie, to czysta fantazja. Mieliśmy więc konfederację dzikowską. Słabą, bo Rzeczpospolita toczyła nieustanne wojny od 1648 r. i jako żywo nie było już sił. Wspominam o tym tylko dla porządku, gdyż prawie nikt już o tej walce nie pamięta. To wówczas jednak złamano prawo obywateli RP do swobodnego obioru władców.

W 1768 r. Repnin porwał biskupów i senatorów i wywiózł do Rosji. Król, hetmani, wojsko – nic. Rzeczpospolitą byli jednak jej zbrojni obywatele, a tym nie dało się wytłuma-



**PRZEMYSŁAW ŻURAWSKI
VEL GRAJEWSKI**

do Kaługi?

W 1792 r. Rosja, wspierająca magnatów zbuntowanych przeciw „pogwałceniu wolności i praw kardynalnych Rzeczypospolitej w drodze zamachu stanu z dnia 3 maja 1791 r.”, uderzyła na Polskę i Litwę. W ich obronie stanęło 60-tys. wojsko, ale król i inni „rozsądni” decydenci po kilku bitwach, gdy armia rosyjska ledwo przekroczyła Bug, nakazali kapitulację. Skutkiem był II rozbiór i konieczność podjęcia walki dwa lata później, ale już tylko w 30 tys. wojska.

W 1794 r. armie koronna i litewska dostały rozkaz redukcji. Skreślane ze stanów wojsk Rzeczypospolitej regimenty nie były jednak rozpuszczane do domów, lecz przechodziły na stan armii rosyjskiej, aż Wielkopolska Brygada Kawalerii Narodowej gen. Antoniego Madalińskiego odmówiła wykonania rozkazu redukcji i uderzyła na Moskali. Tu znów proponuję eksperyment myślowy – co by było, gdybyśmy teraz którąś z brygad Wojska Polskiego usiłovali przenieść do armii rosyjskiej?

W 1830 r. gazety petersburskie 6 listopada, a warszawskie 18 i 19 listopada ogłosiły rozkazy mobilizacyjne Wojska Polskiego do wymarszu w celu stłumienia rewolucji w Belgii. 15 lat po Napoleonie Wojsku Polskiemu Moskałe rozka-

zywali iść na wojnę z Francją dla zgwałcenia wolności Belgów. 10 dni później była noc listopadowa. Cóż, gdyby w 1945 r. wrócił Anders na czele PSZ i stałyby się one fundamentem LWP, a w 1956 r. Moskwa chciałaby je posłać na Węgry, efekt byłby podobny. Istnieje coś takiego jak impossibilité morale i to właśnie miało miejsce. Gdy powstanie nie było przymusem, wywołanym nieznośną sytuacją wytworzoną przez opresję zaborców, paliło na panewce jak w 1846 r. w Krakowie.

W 1863 r. powstanie znów musiało wybuchnąć. Wszak właśnie dopiero co Anglia i Francja pobili Rosję w obronie Turcji (wojna krymska 1853–1856), a potem Francja pobila Austrię w obronie Włoch (1859). Zjednoczyły się Włochy i Rumunia. Jak można było oczekiwać od ówczesnych Polaków przekonania, że tylko o Polskę nikt się z Rosją bić nie będzie, a Polacy są słabsi od Włochów i od Rumunów? Na dodatek Rosja hamowała niezbędne reformy, a w końcu

postawiła młodzież przed dylematem: nie czy iść do lasu, czy żenić się z pannami i zażywać szczęśliwości hreczkosiejów na ojcowiznie, tylko czy iść do Kampinosu z kosą na Moskała, i czy w moskiewskim szynelu z bagnetem na Czerkiesów i Czezeńców. Pytanie nie brzmiało: czy budować mosty przez Wisłę jako inżynier w Polsce, tylko czy je budować przez Terek jako saper w armii rosyjskiej idącej na Kaukaz. Taki był wybór po ogłoszeniu branki. Wyboru, by zostać w domu w kapciach, nie było. Warszawa miała wówczas 120 tys. mieszkańców. Wzięto w imiennej brance 2 tys. na 25 lat w żołdacy.

Jako studenci dyskutowaliśmy o tym w 1983 r. Atmosfera była sprzyjająca – stan wojenny itd. Mnożyliśmy wszystko przez 10. Warszawa miała ok. 1,2 mln mieszkańców, więc wzięto by z niej ok. 20 tys. wybranej podejrzanej młodzieży i wysłano w sowieckich mundurach do Afganistanu. To co by było? Ulotki i gazetki czy bomby i strzały? A poza tym, to powstanie styczniowe politycznie zwyciężyło. Zmusiło Moskali do uwłaszczenia chłopów polskich tak, by stali się indywidualnymi gospodarzami, a nie członkami kolektywów (mirów ziemskich – odpowiedników gmin) jak w Rosji. To dlatego w 1918 r. poszli oni na bolszewika, a nie z nim, poszli do Wojska Polskiego i do wyborów do Sejmu RP, a nie na dwory i do Sowietów. Rzeczpospolita Obojga Narodów (a raczej trojga, zważywszy na herb z pieczęci Rządu Narodowego) – tzn. Jej obywatele – stoczyła ostatnią swą wojnę 68 lat po upadku państwa, gdyż taka była wola Jej narodu politycznego Polski, Litwy i Rusi – jak w konfederacji barskiej, wypowiadającego powiat po powiecie wojnę Imperium Rosyjskiemu. Dopiero po tej klęsce naród ten się rozpadł i podzielił wedle etnosów.

* * *

O alternatywnych opcjach w II wojnie światowej napisano najwięcej bzdur. Nie ma miejsca na analizowanie każdej z nich. Wskażę więc tylko, że Hitler w rozmowie z gen. Brauchitschem 25 marca 1939 r. (czyli przed gwarancjami brytyjskimi dla Polski z 31 marca 1939 r., które miały według „rewizjonistów” rozwścieczyć Führera), jasno określił plan eksterminacji Polaków, więc opowiadanie, że gdyby Polska weszła z nim w sojusz, byłoby inaczej, jest dowodem nieznajomości sprawdzalnych faktów. „Dyktat wersalski” był dla Niemiec „dyktatem” nie z powodu utraty Kraiku Hulczyńskiego na rzecz Czechosłowacji ani Północnego Szlezewiku na rzecz Danii, lecz z powodu strat terytorialnych na rzecz Polski. Doświadczenie lat 1918–1921, gdy Polacy wyzwolali ziemie od 1772–93–95 należące do Prus i z dnia na dzień okazywało się, że 100–120 lat (a w wypadku Górnego Śląska jeszcze więcej) germanizacji było psu na budę, prze-

konywały Niemców, że Polaków nie da się zgermanizować. Trzeba więc ich eksterminować.

Nie dotyczyło to Czechów, Łotyszy, Estończyków itd. jako „prześiąkniętych od wieków kulturą niemiecką”. Powoływanie się więc na przykład niskich strat czeskich jest ignorancją. Hitler nie zamierzał eksterminować Czechów, a Polaków tak – wynikało to z jego ideologii, a nie z zachowania Polaków. Wskazywanie na kolaborację Norwegów, Duńczyków czy Holendrów, którzy rzekomo dzięki tej „mądrej polityce” ponieśli minimalne straty, i stawianie ich „rozsądku” Polakom za wzór, jest zaś już dowodem głębokiej ignorancji. Rzeczono narody należą do grupy narodów germańskich i w myśl ideologii nazistowskiej, w odróżnieniu od Polaków, nigdy nie były przeznaczone do eksterminacji. To, czy dany naród względnie obszar, był przez Hitlera uznawany za przynależny do kręgu kultury niemieckiej, miało rozstrzygające znaczenie. Na Stalina wszak też Führer „obrazil się” dopiero za zajęcie Bukowiny (bo to obszar c.k. Austrii z niemieckim uniwersytetem w „Tscherniowitz”). Zabór Besarabii zaś go nie obchodził.

Historia, traktowana powierzchownie, dostarcza „dowodów” na rzecz dowolnej tezy. Ci, co wskazują na „rozsądek” Czechów i „romantyzm” Polaków, jako że zapominają wskazać na analogiczny „rozsądek” Białych i „romantyzm” Finów. A jak już jesteśmy przy Białych – warto wiedzieć, że antykomunistyczna partyzantka litewska (znacznie silniejsza niż na Łotwie czy w Estonii), prowadzona po 1944 r. w warunkach absolutnie beznadziejnych, przyniosła ten skutek, że zniechęcała Rosjan do

osiedlania się na Litwie. W efekcie dziś mniejszość rosyjska w tym kraju liczy ok. 6 proc. ludności, a u obu jego północnych sąsiadów przekracza 25 proc. Pytanie, czy warto było się bić, jest tu retoryczne. Litwini zazdroszczą nam zaś tego, że biliśmy się w 1939 r., a oni nie.

Polska w 1939 r. nie mogła ustąpić. Dla ówczesnych Polaków chłosta za mówienie w szkole po polsku to nie była historia z wierszy Konopnickiej, tylko osobiste doświadczenie życiowe. Francuz czy Brytyjczyk nie mógł sobie wyobrazić świata bez Francji czy bez Wielkiej Brytanii. Mógł więc sobie pozwolić na naiwny pacyfizm. Każdy dorosły Polak w sile wieku nie musiał natomiast sobie wyobrażać, jak wygląda świat bez Polski, gdyż on taki świat doskonale pamiętał. Wymaganie, by zgodził się potulnie do niego powrócić, to fantasmagoria. Podjęcie walki w obronie niepodległości było więc oczywiste. Sanacja nie miała však umocowania zewnętrznego. Była na wskroś polska i tak drastyczne zerwanie z narodem, jak kapitulacja wobec Niemiec, spowodowałoby jej upadek i powstanie rządu obrony narodowej. Byłaby więc wojna tylko chaotyczna. Wiarygodność zapewnien Hitlera po pogwałceniu Monachium była zerowa. 15 marca zajął Czechy i Morawy, a 22 marca Klajpedę. Wystąpienie rządu

RP do narodu z tezą, że jak się odda Hitlerowi Gdańsk i eksterytorialną autostradę, to on się uspokoi i nic już nie będzie chciał, byłoby słusznie wyśmiane. Wówczas historii uczono dobrze i Beck sam wspominał, że brak oporu Rzeczypospolitej wobec zajęcia starostw spiskich w latach 1769–1770 był preludium do I rozbioru.

W fundamentalnym interesie Francji i Anglii leżało wykonanie zobowiązań wobec Polski. Potencjał wojenny Rzeczypospolitej, Imperium Brytyjskiego i imperium francuskiego (nie zapominajmy, że nie mówimy o samych metropoliach, ale o dwóch światowych imperiach rozciągających się od Kanady po Nową Zelandię i od Indii po Kapsztad) wystarczał do pobicia Niemiec. Kto zatem i na jakiej podstawie mógłby nakazać wówczas Polakom kapitulację i pozbycie się niepodległości w zamian za „słowo honoru Hitlera”. Toż to tezy wręcz paradne. Równie dobrze można by nam dziś radzić, byśmy na żądanie Putina, poparte jego solennym przyrzeczeniem, że nic więcej nie chce i chcieć nie będzie, oddali Suwalszczyznę, by się mogła Rosja połączyć przez Białoruś z Królewcem, korytarzem eksterytorialnym, „bo Amerykanie w razie czego nas zostawią”. Ktoś z Państwa jest gotów do głoszenia takiej rekomendacji? Pomijam tu ewidentnie płynący z Moskwy przekaz o analogii sojuszy Polski dziś i w 1939 r. Wszak obecne USA, odmiennie niż ówczesna Francja, nie toczyły 20 lat temu wyniszczającej wojny, niosącej zagładę całemu pokoleniu mężczyzn i rodzącej paraliżujący ból walki pacyfizm. Równie idiotyczne jest sformułowanie o „egzotycznych sojuszach”. „Egzotycznych”, czyli jakich – odległych geograficznie? Czy Japonia, Tajwan, Korea Płd. Australia itd. leżą bliżej USA, czy też mają z Waszyngtonem „egzotyczny” sojusz?

Powstanie warszawskie to osobna wielka historia. Zaczęło się od tego, że udowadnianie, iż nie należało toczyć przegranych bitew, jest zajęciem intelektualnie bezpłodnym. Łatwo to udowodnić wobec każdej przegranej bitwy. Ówczesni decydenci polscy mieli jednak prawo sądzić, że zwycięża i że bierność jest zabójcza. Mieli prawo do tego błędu. Przez Warszawę właśnie płynęła „świeża rąbanka” z Wehrmachtu po operacji Bagration na Białorusi, gdzie unicestwieniu uległa Grupa Armii „Środek”. Zamach Stauffenberga na Hitlera (20 lipca 1944 r.) musiał być zinterpretowany jako oznaka głębokiego rozkładu morale korpusu oficerskiego III Rzeszy. Głównym doświadczeniem życiowym polskich dowódców był rok 1918 i pamięć załamania się moralnego armii niemieckiej. Zigno-

rowanie przez warszawiaków rozkazu Niemców o stawieniu się mężczyźni do budowy fortyfikacji groziło masowymi represjami i czekanie na nie nie miało sensu, a wątplenie w nie podstaw (wszak był to piąty rok okupacji i wiedziano już, kim są Niemcy). Czy w tych warunkach decyzja o podjęciu walki była szaleństwem? Nie. Czy była błędem – zapewne tak, ale to wiemy dziś. Ówczesni nie mieli prawa tego wiedzieć. Co by było, gdyby walki nie podjęto – nie wiadomo i nigdy już się nie dowiemy.

I jeszcze jedna uwaga co do liczenia kogo ile było i kiedy. 1) Polaków nigdy nie było więcej niż Rosjan. 2) Za Mieszka I było

nas tylu co Czechów, a jest cztery razy więcej. 3) Brak powstań nie oszczędza krwi ani nie chroni przed represjami. Wszak filomaci i filareci nie jechali w kibitkach i kajdanach na linię orenburską za udział w ruchu zbrojnym. Między rokiem 1831 a 1863 z samej Kongresówki wybrano zaś do armii rosyjskiej 300 tys. rekrutów. Wróciło 3 tys. Łączne straty we wszystkich powstaniach razem wziętych między 1732 a 1918 r. były z pewnością mniejsze. W latach 1874–1913 rosyjskie szynale przywdziało ok. 1 mln Polaków z Królestwa. A gdzie jeszcze rekruci z ziem zabranych i z innych zaborów wzięci i zatraceni w wojnach wszystkich naszych zaborców?

* * *

Ostatnią kwestią do rozważenia jest prestiż jako instrument wpływania na procesy decyzyjne w centrach rozkazodawczych naszych wrogów. Jest czystej wody idiotyzmem przekonywanie kogokolwiek, że „romantyczni”

Polacy już „zmądrzeli” pod wpływem doznanych klęsk i następnym razem bić się nie będą. Otóż każdy, kto planowałby atak na Polskę, ma być nieodmiennie święcie przekonany, że zrobimy to, co zawsze – będziemy się bić jak sto diabłów i łatwo nie będzie. Jak mówił Beck w 1939 r., „nas pięcioma dywizjami nie wezmą” – jak Czechosłowację czy Austrię. Prestiż wojskowy – wyobrażenie o skali i zaciętości potencjalnego oporu jest rzeczą cenną. To on chronił nas w 1980–1981 r., a Serbów w 1991–1995 r. Nie wolno się go pozbywać. Wprost przeciwnie, trzeba go umacniać. Zasada musi być cały czas taka sama „za tę dłoń podniesioną nad Polską – kula w łeb”.

Esaj Przemysław Żurawskiego vel Grajewskiego, doktora habilitowanego nauk społecznych, wykładowcy akademickiego, specjalisty w dziedzinie stosunków międzynarodowych i geopolityki, polityka, ukazał się wcześniej na stronach „Teologii Politycznej”.

O buncie szaleńców i jego polskiej odsłonie

To znamienne, że książka „Bunt i afirmacja” Bronisława Wildsteina powstała akurat teraz, na początku czwartej dekady III Rzeczypospolitej, w piątym roku dobrej zmiany, w porze podpalania fundamentów państwa przez fanatycznych polskich liberalistów. Pamiętajmy, że jej autorem jest pisarz i publicysta, człowiek antykomunistycznej i niepodległościowej opozycji



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

W odpowiedzi na szaleństwa współczesności dosadne i intelektualne odpowiedzi wystosowali już wielkiego formatu konserwatyści z innych krajów: śp. Roger Scruton w Wielkiej Brytanii, Chantal Delsol we Francji czy Dinesh d'Souza w Stanach Zjednoczonych, pora była więc na Polskę. Nie rzecz w porównywaniu nas do innych, że na Zachodzie zrobiono to szybciej czy lepiej, ale w tym, że konserwatywne opisanie świata ma, oprócz cech uniwersalnych, także lokalny, kulturowy charakter związany z narodem, rodziną tradycją i specyfiką konkretnego kraju. I praca Bronisława Wildsteina wypełnia tę lukę, formułuje „polską receptę”, opartą nie tylko na klasycznej i europejskiej filozofii, lecz także na polskiej praktyce, inspirowanej zwłaszcza doświadczeniem naszych zmagających się z komunizmem, postkomunizmem i liberalizmem w postpezetpeerowskiej wersji.

„IDEE MAJĄ KONSEKWENCJE”

Nawiązując do tytułu książki Richarda Weavera, można stwierdzić, że Wildstein udowadnia, jak dawne błędy filozoficzne objawiają się nam w ograniczeniach intelektualnych i w praktyce życia społecznego. Autor takich ważnych dla polskiej literatury powieści jak „Dolina nicości” czy „Czas niedokonany” opisuje zatem współczesność i jej oświeceniowe, a nawet reformacyjne, korzenie, zapraszając nas do wędrówki po absurdach i paradoksach dzisiejszych ideologii.

Pisarz wychodzi od politycznej poprawności, bezlitośnie opisując zanurzoną w odmętach totalnej tolerancji Danię, która zaprotestowała przeciwko używaniu przez ONZ określenia „kobieta w ciąży” jako dyskryminującego transwestytów oraz sformułowania „prawo do życia”, które ma kolidować z „prawami człowieka”, a więc – zdaniem Duńczyków – z aborcją.

Wildstein częstokroć przywołuje współczesne wynaturzenie administracji, filozofii czy życia intelektualnego i konfrontuje je z klasycznymi pojęciami, które zresztą człowiek intuicyjnie wyczuwa. Autor twierdzi, że przecież trudno o „bardziej neutralne wyrażenie



niż »kobieta w ciąży«” i że „obsesja równości traktowanej jako identyczność” to tylko owoc zatrucia zachodniego myślenia serią filozoficznych błędów, które całą naszą cywilizację zagnały do kresu normalnego funkcjonowania.

Analiza marksizmu w wersji XIX-wiecznej, a następnie jej frankfurckiej interpretacji, przyjrzenie się doktrynie postępu oświecenia i nieracjonalności protestantyzmu zaprowadzi nas do wskazania konkretnych wynaturzeń w urządzaniu dzisiejszego świata. Wildstein omawia np. powszechną Deklarację praw człowieka, przyjętą przez ONZ w 1948 r., która od art. 22 staje się, jak to nazywa autor, „koncertem życzeń”. „Czytamy o prawach ekonomicznych, społecznych i kulturalnych; o prawie do pracy i do właściwego poziomu życia; o prawie do edukacji i ochrony przed bezrobociem” itd. itp., co samo w sobie nie jest niczym złym, ale w przypadku dokumentu oznacza zmuszanie władz do podejmowania kroków zgodnych z zewnętrznymi wytycznymi, co „otwiera przestrzeń arbitralności i nie sposób określić ich granic”.

Bliższy polskiemu czytelnikowi będzie przypadek wtarcenia się Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w polskie sprawy, oceniając reformę

Sądu Najwyższego na podstawie Karty praw podstawowych, które... nasz kraj nie podpisał. Te konkretne, żywo nas dotyczące owoce liberalnych ideologii, pętających nasz język polityczną poprawnością z jednej strony i narzucające nam prawa i przepisy przez instytucje, którym w tym zakresie nie podlegamy, to wyraźna różnica względem prac Scrutona czy Delsol, skłonnych podawać przykłady dotyczące nas w mniejszym stopniu.

Zabawnie i złowieszczo brzmią słowa Wildsteina, gdy pisze, że „prawnicy uzurpują sobie uprawnienie do zupełnie dowolnej interpretacji prawa, co zasadniczo zmienia jego sens”. Dlaczego zabawnie i złowieszczo? Bo autor musiał oddać książkę do druku najpóźniej w lutym, marcu, a jednak ten precyzyjnie opisany przez niego mechanizm nadużywania swojej pozycji przez palestrę sprawdził się właśnie teraz – gdy eksperci prawni TVN potrafili wyczytać z konstytucji, że po 6 sierpnia obowiązki prezydenta przejmie... Tomasz Grodzki.

IDEOLOGIA W 32 SŁOWACH

Ale „Bunt i afirmacja” to przede wszystkim esej filozoficzny, idący tropem liberalnych intelektualistów, którzy obiecywali ludzkości uwolnienie od religii, w mariażu z marksistami dodali gwarancję wyzwolenie się od hierarchii społecznej, a dziś przekonują, że i pleć jest zwykłym balastem, który można odciąć jednym ruchem skalpela. W tym niby-racjonalnym dążeniu do lepszego świata błędem założycielskim stało się wyemancypowanie rozumu do tego stopnia, że „świat stał się już tylko rodzajem złożonego mechanizmu”. Rozdzielenie przez Kartezjusza duszy i ciała doprowadziło do „odrzczenia duchowego wymiaru świata, co w efekcie musi prowadzić do uznania człowieka za rodzaj maszyny”. I tutaj Wildstein znów wskazuje otaczające nas zewsząd przykłady, jak reklamy towarów konsumpcyjnych, które odwołują się do najbardziej prymitywnych skojarzeń i odruchów, bo choć człowiekowi wmawia się, jaki to jest rozumny i niezależny,

to naukowe osiągnięcia marketingu nie muszą się do tego wyznania wiary ograniczać – wykorzystują ludzkie słabości, które nowoczesne ideologie obiecywały wyeliminować.

Zresztą Wildstein zaprezentował celną i zwięzłą, bo liczącą 32 słowa, definicję: „Ideologia to system poglądów jednoznacznie wyjaśniający całość egzystencji człowieka, jego przeszłość, teraźniejszość oraz przyszłość, który stanowić ma fundament budowy nowego, przez swoich wyznawców uznawanego za optymalny, modelu życia społecznego, kreowanego politycznymi metodami”. Dalej autor „Buntu i afirmacji” idzie śladami Chantal Delsol, uznając, że ideologia prowadzi do totalitaryzmu także i dzisiaj, skoro jest on „polityczną

Wildstein napisał właściwie syntezę błędów filozoficznych ostatniego 500-lecia, a konkretnie tych błędów, które doprowadziły Zachód do głębokiego moralnego i społecznego kryzysu

konsekwencją ideologicznego myślenia, jedynym systemem zapewniającym kreację utopii”. Dlatego, choć bez karabinów i łagrów, za to z indoktrynacją od wczesnych lat szkolnych i hegemonią lewackiej kultury, doczekamy się wkrótce nowej odsłony niewoli – o ile tego szaleństwa nie uda się zatrzymać.

POLSKI DOPISEK DO ODNOWY ZACHODU

Wildstein napisał właściwie syntezę błędów filozoficznych ostatniego 500-lecia, a konkretnie tych błędów, które zaprowadziły Zachód do głębokiego moralnego i społecznego kryzysu. Esaj jest więc panoramą lewicowej i liberalnej wizji świata, nakreślonej z po-

mocą pism Johna Stuarta Milla, Kartezjusza, Theodora Adorno, Herberta Marcusego czy dziesiątków innych myślicieli tych nurtów, co zresztą może być zarzutem wobec wydawcy, który nie zdobył się na załączenie indeksu – tak licznych przecież – nazwisk.

W ostatnim rozdziale „Buntu i afirmacji” mamy do czynienia z analizą „polskiego doświadczenia”, a więc odradzaniem się polskiej inteligencji, zainfekowanej niewolniczym myśleniem i serwilizmem wobec zewnętrznych sił. Wildstein podejmuje myśl Ryszarda Legutki o przerwaniu wojną i okupacją ciągłości narodowej, dopisując do niej rodzącą się po 1945 r. intelektualną hybrydę. Zamiast dyskusji i intelektualnych pojedynków mieliśmy do czynienia z wiecznym poszukiwaniem usprawiedliwień za uwikłanie we współpracę z komunistycznym reżimem albo ucieczkę od wspólnotowości – ze strachu, zniechęcenia, ignorancji. Autor podaje przykład Jerzego Andrzejewskiego, którego interpretacja stalinizmu, wyrażona w powieściach „Ciemności kryją ziemię” i „Bramy raj”, stała się kanonem dla elit PRL, albo Andrzeja Bursę, który demonstrował swoje wyalienowanie drwinami w stylu „mam w dupie małe miasteczka” czy „poeta cierpi za miliony/od 10.00 do 13.20 (co przerywa oddaniem moczu)”.

Kolejne pokolenia „usprawiedliwiaczy” połączyły się z kontestatorami narodowej tradycji w nowym nurcie III RP, płodnym na łamach „Gazety Wyborczej”. I wciąż, dochodząc do lat 90. ub. wieku, Wildstein kreśli także dalszy los inteligencji polskiej, uwzględniając jak broniła – i nadal broni – komunistów. Autor podaje kolejne przykłady, choćby Andrzeja Drawicza, który przeprowadził Radiokomitet niemalże suchą stopą przez dekomunizację. Tak oto mainstream III RP nie pozwoli, by dawnym funkcjonariuszom PRL spadł włos z głowy, za to czyha na dekapitację „PiS-owskich elit”.

Trudno więc było opublikować tę pracę w lepszym momencie – w dobie kryzysu Zachodu i tuż przed wielkim wyborczym starciem Polski liberalnej z Polską solidarną.

Katalog oczywistości

Oczywistość, czyli bardzo czytelnie przyjmowana prawda. Lubią to wyrażenie ludzie młodzi, ale przecież dla ludzi dojrzałych także istnieje świat rzeczy oczywistych



KS. IRENEUSZ SKUBIŚ

Jako chrześcijanie również mamy przed oczami świat takich rzeczy oczywistych. Przypomnę tu Chrystusa, który staje przed sądzącym Go Pilatem i w tej dla Niego (Chrystusa) bardzo dramatycznej chwili wypowiada w sposób oczywisty zdanie: „Ja się na to narodziłem i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie” (J 18, 37). Gdzie indziej mówi: „Ja jestem drogą i prawdą, i życiem” (J 14, 6). Jako ludzie wierzący mamy także świadomość, że Bóg jest prawdą. Już na tym etapie naszej refleksji dochodzimy do wniosku, że wszystko zaczyna się od prawdy. Tak więc gdy człowiek wypowiada słowo „oczywiście”, w tej samej chwili wyraża radość, że jest przy prawdzie. Ta prawda zasługuje na radosne przyjęcie i akceptację. Dochodzimy tu do bardzo ważnego momentu naszego zamyślenia: istnieje przecież świat wartości, jak śpiewała młodzież akademicka w częstochowskim ośrodku DA Piwnica, do tego „co jest najważniejsze?”. Jako chrześcijanie XXI w. stawiamy wobec ustanowienia katalogu spraw najważniejszych i wartości oczywistych. To sprawa ogromnej wagi dla życia osobistego, rodzinnego, narodowego. W tym katalogowaniu musi się

znaleźć odniesienie do moralności i sumienia. Moralność i stojące zaraz obok sumienia to kwalifikatory całego świata wartości.

Każdy człowiek potrzebuje takiego katalogu oczywistości. Jego brak powoduje wielki balagan intelektualny i moralny, staje się powodem zapaści duchowej.

O świecie takich wartości mówił podczas swoich spotkań z wiernymi Jan Paweł II. Przybliżanie spraw podstawowych budziło entuzjazm słuchaczy, zwłaszcza ludzi młodych. Papież odkrywał przed nimi zawartość ludzkich sumień i serc. Działo się to nie tylko w Polsce, lecz praktycznie na całym globie szczególnie podczas Światowych Dni Młodzieży. Odkrywanie świata spraw oczywistych to było sedno sukcesu tego świętego papieża. Wszyscy dobrze pamiętamy, jak mówił: „Każdy z nas ma swoje Westerplatte”, a także że „nie wolno zdezerterować”. Przypomnienie Westerplatte zawierało w sobie także wątek patriotyczny, bo św. Jan Paweł II nie krył nigdy, że ojczyzna – Polska – zawsze zasługuje na szacunek i miłość i nasze człowieczeństwo nosi w sobie wystrój narodowej tradycji i kultury owiniętej historią, a nade wszystkim wiarą i Bożą miłością.

Niestety udało się ateistom dokonać pewnej pacyfikacji życia religijnego i zepchnięcia na margines także jego elementów językowych, które przypominają człowiekowi o Panu Bogu. Słowa „Bóg”, „Jezus Chrystus” zostały niejako wyeksmitowane z przestrzeni

publicznej, a często także z przestrzeni towarzyskiej i medialnej. A przecież dla milionów chrześcijan religia jest ostoją ich życia. Bóg, Jezus Chrystus nie może być kimś mało ważnym dla obywateli Polski, Europy i świata. Ten, który podał swoją definicję Mojżeszowi: „Jestem, który Jestem”, jest dla chrześcijanina największą Oczywistością. Ale doprowadzono do sytuacji zniewolenia wielu instytucji europejskich, by te wyeliminowały ze swoich dokumentów przecież dotyczących życia społecznego – imię Boże, a także wszelkie znaki życia religijnego, wszystko, co miałyby przypominać chrześcijaństwo.

Przodują tu zateizowana Francja i zepsute, bogacące się Niemcy, nie mówiąc już o zlaicyzowanej protestanckiej północy Europy.

Przy okazji przypomnę, z jakim aplauzem spotkało się przypomnienie przez prezydenta Donalda Trampa w Warszawie wspaniałej pieśni autorstwa francuskiego księdza – „My chcemy Boga”. To było bardzo trafne przypomnienie, jakże radośnie zareagowali na nie Polacy. Bo wołanie o obecność Boga to pierwszy punkt katalogu oczywistości. Trzeba także powiedzieć, że to zdanie: „My chcemy Boga”, jest



bardzo pojemne. To przecież przypomnienie biblijnego głosu Boga: „Jam jest Pan Bóg twój!” (Pwt 5, 6). Te słowa przesyłają serca i sumienia katolików starszych i młodych. To także przybliżenie Kościoła z całą jego strukturą organizacyjną, kulturą, a nade wszystko z kultem należnym Panu Bogu, Matce Najświętszej i świętym. Zwłaszcza teraz w okresie pandemii trzeba przypominać, że to jest czas Kościoła i Kościół z jego biskupami i kapłanami powinien szczególnie zaznaczyć swoją obecność.

Św. Jan Paweł II, którego setną rocznicę urodzin teraz obchodzimy, jest przypomnieniem właśnie tego wołania: „My chcemy Boga!”. Bo uobecnienie Boga dzieje się w Kościele i przez Kościół. Tak bogato i w sposób oczywisty ukazywał charyzmatyczny Kościół św. Jan Paweł II! Z taką mocą i wiarą przypominał Chrystusa żyjącego w Kościele! Patrząc na św. Jana Pawła II, zauważamy nasz deficyt modlitwy i kontemplacji. To dla nas wielki impuls do tego, byśmy naśladowali wielkiego papieża w umiłowaniu Chrystusa – ukrzyżowanego i zmartwychwstałego.

I tu, patrząc na tego świętego człowieka, który został papieżem, zauważamy, że on był człowiekiem „oczywistym”, czyli realizował świat wartości, które charakteryzują prawdziwe człowieczeństwo. Przede wszystkim był człowiekiem sumienia, czyli realizował święte życie oparte na autentycznym kontakcie z Bogiem. Wiadomo, że człowiek zawsze musi się odnosić do kogoś, a także do czegoś. Tak pięknie nazywał to Norwid, mówiąc o „kłanianiu się okolicznościom”.

Oczywistość prawego człowieka mieści się w jego sumieniu, które powinno być prawidłowo uformowane, czyli nosić w sobie wszystkie cechy normalności, a więc także zgodności z prawami natury. Mówimy tu o prostocie życia, które jest życiem pokornym, czyli życiem w prawdzie. Przypomnieć w tym miejscu trzeba opisywaną w Ewangelii sprawę postawy faryzejskiej. Otóż na kartach Ewangelii życie jest nieustannym sporem z faryzeuszami, których Jezus nazwał grobami pobielanymi. I można powiedzieć, że ród faryzeuszów jest bardzo płodny, że wcale nie skończył się w czasach Chrystusowych, ciągle obecny jest także w dzisiej-

szych czasach. Faryzeusze, czyli ludzie wewnętrznie niespełnieni, są wszędzie: w rodzinach, dlatego są rozwoły, bo ktoś zaczął kombinować, był nieszczerzy. Zakładają się wielkie przyjaźnie. Zrywa się umowy. Iluż spotkałem w moim długim już życiu udawaczy. Historia obłudy, niewierności, dwuznaczności i nieczytelności jest pękata i długa. Faryzeusz mówi jedno, udaje drugie, a czyni jeszcze coś innego. Jego życie wypełnione jest bardzo często wewnętrzną nieprawością. I to jest ból bólu, że aż tak wiele zakłamania w naszym codziennym życiu. A historia ludzkiej niewdzięczności to jeszcze następne pasmo, które będzie biegło aż do Sądu Ostatecznego.

Na tym tle rodzą się pytania o człowieka „oczywistego” w przestrzeni publicznej i medialnej. Przypomnieć tu koniecznie trzeba słowa Jana Pawła II wypowiedziane w Skoczowie, że Polsce najbardziej potrzebni są ludzie sumienia.

Na szczęście zauważamy też wielu ludzi prawych i uczciwych. Cieszymy się, że w porównaniu z wieloma krajami w Europie i na świecie dość dobrze radzimy sobie z pandemią, choć podobnie jak cały świat także my zostaliśmy zaskoczeni tą tragedią.

Oczywiście wszystko można poddać krytyce i zawsze znajdą się winni. Oskarżycieli nigdy nie zabraknie. Jest to też, niestety, okazja do ujawniania się nienawiści, złości i cynizmu w naszym życiu politycznym. Uczciwi i prawi ludzie zostali zaskoczeni, gdy zobaczyli postawy polityków, którzy z uśmiechem na twarzy i ze stoickim spokojem przetrzymywali w Senacie ustawę, która w końcu zdecydowała o tym, że przewidziane 10 maja br. wybory prezydenckie nie mogły się odbyć. Zobaczyliśmy ludzi obłudnych, którzy jako przedstawiciele narodu publicznie lekceważyli swoich wyborców. To, że nie wygrała ta opcja kandydatów do Sejmu, uratowało Polskę. Prawdopodobnie gdyby oni wygrali, Polski by już nie było. To porażające zdanie, ale wyrażające prawdę o ludziach, dla których Polska jest jedynie pretekstem do wygodnego życia. Można się tylko dziwić, że tak wielu Polaków słuchających obcych, cynicznych mediów nie potrafi odróżnić prawdy od kłamstwa i obłudy.

Przecież fakty, które pokazują rzetelną troskę rządzących o ludzi, świadczą same za siebie. Pewnie można by lepiej i inaczej, błędy trzeba naprawiać, a po-kora zawsze jest wskazana. Ale trzeba nam mimo wszystko pewnej wyrozumiałości i umiarkowania. I tutaj także przykładem powinien stać się dla nas św. Jan Paweł II, który zawsze pragnął dobra ojczyzny, bo czuł się jej synem. Mówił: „To moja matka – to Ojczyzna”.

Gdyby nasi politycy choć trochę wzięli sobie do serca słowa św. Jana Pawła II kierowane do Polaków, jakże inna byłaby Polska. Niestety, polscy politycy w dużym procencie nie są polskimi patriotami. Interes partyjny, korzyści płynące z władzy stają się celem drapieżnych działań. Przypomina się tu Poeta w „Weselu” Wyspiańskiego: „Takby się nam serce śmiało/ do ogromnych wielkich rzeczy/ a tu pospolitość skrzeczy”. Ta pospolitość widoczna u wielu polityków budzi smutek i żal. Bo Polska powinna być obecna w ich sercu, a nie w kieszeni. Polskę po prostu trzeba kochać, bo na to zasługuje przez swoją chrześcijańską tożsamość. Ktoś, komu Polska kojarzy się z nikakością, nie ma prawa zajmować jakiegokolwiek publicznego stanowiska. To byłoby świętokradztwo! Polska w swojej umocowanej w sakramencie chrztu św. tożsamości jest świętością. Na polskim duchowym tronie zasiada Królowa – Matka Jezusa Chrystusa. Dlatego najważniejsze stanowisko w naszym państwie powinien zająć człowiek godny. Mówiłem już, że prezydent Polski nie może być bezbożnik, ale musi być to człowiek „oczywisty”, który wie, co Polskę stanowi. Ten człowiek będzie przecież także ważnym świadkiem beatyfikacji Prymasa Tysiąclecia – kard. Stefana Wyszyńskiego.

Polska potrzebuje wyjątkowego prezydenta, bo i czasy są nie tylko trudne, lecz właśnie wyjątkowe. Są to czasy przełomu światowego. Jesteśmy pełni wiary, że zwycięży dobro, a nie zło. Jako moderator Ruchu „Europa Christi – Mundus Christi”, czyli „Europa Chrystusa – Świat Chrystusa”, przypominam słowa św. Jana Pawła II oczekiwanego patrona Europy: „Otwórzcie drzwi Chrystusowi!” Mam nadzieję, że w Polsce te drzwi dla Chrystusa otworzy w tym roku godny jej prezydent, na którego zdecydowanie wskazują sondaże.

Kosmiczny wyścig

Amerykanie wylądowali na Księżycu, bo prezydent Kennedy rzucił wyzwanie Moskwie. Dziś Donald Trump rzuca wyzwanie Chinom.

Jeżeli nic nie stanie Amerykanom na przeszkodzie, to za trzy lata wrócą na Księżyc i zbudują tam stałą bazę. A potem przymierzają się do wyprawy na Marsa. Po wielu latach zastoju w kosmosie znów zaczyna się dużo dziać



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Po 11 latach przerwy Amerykanie wracają do załogowych lotów kosmicznych z wielką pompą. Start rakiety Falcon 9, która 30 maja wyniosła na orbitę kapsułę Dragon z dwoma astronautami na pokładzie, obserwował na przylądku Canaveral prezydent Donald Trump, a lot w kosmos był transmitowany na żywo w internecie.

Oprawa nadana misji przywoływała na myśl triumfy programu Apollo sprzed półwiecza, gdy Amerykanie, rzucając wyzwanie Związkowi Sowieckiemu, wylądowali na Księżycu. Skojarzenie z tamtymi czasami jest zresztą jak najbardziej na miejscu, bo start Dragona rzeczywiście wyznacza początek nowej kosmicznej rywalizacji, tym razem nie tylko z Rosją, lecz przede wszystkim z Chinami. Cel



tego wyścigu znajduje się aż na Marsie, wcześniej jednak będziemy świadkami walki o dostęp do bogactw znajdujących się na Księżycu.

WEJŚCIE SMOKA

Trzeba przyznać, że amerykańskie przedsięwzięcie robi duże wrażenie. Astronaucci Robert Behnken i Douglas Hurley – obaj weterani lotów kosmicznych – znaleźli się na orbicie po kilku minutach od startu. Rakieta Falcon 9 oddzieliła się od kapsuły i zamiast spłonąć w atmosferze, wróciła na ziemię, a dokładnie na ocean. Odwróciła się w powietrzu i precyzyjnie wylądowała na barce o wdzięcznej nazwie „Of Course I Still Love You” zacumowanej na Atlantyku. Będzie można wykorzystać ją podczas kolejnego lotu w kosmos.

Kapsuła Dragon, w której astronauta dotarli do Międzynarodowej Stacji Kosmicznej ISS, zupełnie nie przypominała siemienych sojuzów ani wcześniej używanych wahadłowców. Sterylnie białe wnętrze z kilkoma ekranami dotykowymi wyglądało jak scenografia z filmów science fiction.

Twórcą tej kosmicznej technologii jest firma SpaceX należąca do Elona Muska. 45-letni miliarder, który zbił fortunę dzięki usługom wirtualnego portfela PayPal, założył SpaceX w 2003 r., gdy pomysł podboju kosmosu przez prywatną firmę wydawał się całkiem niedorzeczny. Jednak Musk dobrze wyczuł nadchodzącą koniunkturę. Program lotów wahadłowców zbliżał się do końca, a NASA nie miała już pieniędzy na nowe przedsięwzięcia. Amerykańscy astronauta musieli się więc przesiąść na pokłady rosyjskich sojuzów. Ostatnio cena za tę usługę skoczyła do 90 mln dol. za osobę, podczas gdy lot na pokładzie Dragona jest dziewięć razy tańszy. Nic więc dziwnego, że Amerykanie zdecydowali się dopuścić prywatne firmy do programu kosmicznego.

W 2009 r. NASA ogłosiła CCP (Commercial Crew Program), którego celem było wyłonienie – w drodze kolejnych konkursów – najbardziej obiecujących (i zarazem najtańszych) pomysłów na loty załogowe w kosmos. Do programu zgłosiło się kilka firm, ale ostatecznie

wyłoniono dwóch zwycięzców: Boeinga z projektem Starliner oraz właśnie SpaceX z projektem Dragona.

Boeing nie nadąża jednak za Muskiem. Dragon już w marcu ub.r. wykonał udany bezzałogowy lot w kosmos, tymczasem Starliner wystartował dopiero w grudniu i nie zdołał zacumować do stacji kosmicznej ISS, co było jednym z warunków dopuszczenia do lotów załogowych.

KSIĘŻYCOWE BOGACTWA

Jeżeli obecny załogowy lot Dragona skończy się powodzeniem, zostanie on dopuszczony do stałych lotów z amerykańskimi astronautami na stację ISS. Jednak to dopiero wstęp do dalszej eksploracji kosmosu. Amerykanie chcą bowiem

Do końca dekady Chiny zamierzają uruchomić na Księżycu stałą bazę załogową. Wystrzelona przez nich sonda zbadała grunt księżycowy pod kątem możliwej eksploatacji surowców

kolejny raz wylądować na Księżycu. Pierwotny termin takiego lotu wyznaczony na 2028 r. został przyspieszony o cztery lata, aby zdążyć przed Chińczykami również planującymi swoją misję księżycową.

Loty na Księżyc odbędą się w ramach nowego programu Artemis. Imię greckiej bogini wybrano nieprzypadkowo, była ona siostrą bliźniaczką Apollina, a to on właśnie patronował pierwszemu amerykańskiemu programowi księżycowemu. W ramach programu Artemis ma powstać stała baza księżycowa o nazwie Gateway, której załoga – złożona głównie z naukowców – ma dokonać badań Księżycu oraz opracować technologie eksploatacji jego bogactw, niezbędnych podczas późniejszej misji na Marsa. Chodzi przede wszystkim o pozyskiwanie

wody oraz metali koniecznych dla długiego funkcjonowania misji załogowych na Księżycu i innych planetach.

Przy tej okazji doszło do pierwszego kosmicznego zgrzytu między Amerykanami i Rosjanami. 6 kwietnia prezydent Trump podpisał rozporządzenie, które daje Amerykanom prawo do prowadzenia komercyjnej eksploatacji kosmosu, a także do wydobywania i wykorzystywania znajdujących się w nim zasobów. „Przestrzeń kosmiczna, zarówno w sensie prawnym, jak i w fizycznym, jest wyjątkową przestrzenią dla działalności człowieka, a Stany Zjednoczone nie uważają jej za domenę publiczną” – głosi dokument. Donald Trump zdaje sobie sprawę z tego, że trudno mu będzie wygrać kosmiczny wyścig bez wsparcia finansowego ze strony amerykańskiego biznesu. A biznes nie będzie przecież podbijał kosmosu za darmo i chce mieć udział w zyskach.

Na decyzję Trumpa nerwowo zareagowali Rosjanie. Rozporządzenie prezydenta nazwano „agresywnym planem przejęcia terytoriów innych planet”. „Były już przykłady w historii, gdy jeden kraj postanowił zająć terytoria w swoich interesach i wszyscy pamiętają, co z tego wynikło” – ostrzegł Siergiej Sawieliew, zastępca dyrektora generalnego Roskosmosu ds. Współpracy Międzynarodowej. Rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow dodał, że podjęte przez Amerykanów „próby prywatyzacji kosmosu są niedopuszczalne”.

Rosjanie mają powody do frustracji. Do niedawna ich pozycja wydawała się niezagrażona. Choć dysponowali technologią kosmiczną sprzed półwiecza, działała ona bez większych problemów. Ich czujność uspiła także amerykańska przerwa w lotach załogowych, która nie mobilizowała do nowych inwestycji. Zresztą te, które podjęto, ugrzęzły w miejscu z powodu korupcji i problemów technicznych. W planach jest powstanie nowej stacji kosmicznej oraz statku załogowego Federacja, który będzie mógł dotrzeć na orbitę Księżycu. Jest to jednak możliwe pod warunkiem, że Rosjanie opracują ciężką rakietę o kryptonimie Jenisej. Ekspertci twierdzą, że w tej dekadzie jest to mało prawdopodobne.



Narazie z ogromnym trudem Rosja oddaje do użytku kolejne segmenty nowego kosmodromu Wostocznij na Dalekim Wschodzie, który umożliwi w przyszłości starty superciężkich rakiet. Kosmodrom nazywany jest ironicznie kosmiczną „czarną dziurą”, bo setki milionów dolarów przeznaczonych na jego budowę zniknęło niepostrzeżenie w prywatnych kieszeniach. Wygląda na to, że z powodu stagnacji Rosja wypadła już z gry i jeśli nic się nie zmieni, to szybko do niej nie wróci.

WYZWANIE Z CHIN

Inaczej rzecz ma się z Chińczykami. Według Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju wydatki Chin na loty kosmiczne ustępują dziś wyłącznie amerykańskim. Kosmiczne ambicje Pekinu liczą już sobie pół wieku i sięgają wiosny 1970 r., gdy rakieta Długi Marsz I umieściła na orbicie pierwszego chińskiego satelitę. Od 2003 r. Chiny regularnie wysyłają w kosmos misje załogowe, a ostatnio intensywnie rozbudowują krążący od dziewięciu lat na orbicie moduł Tiangong, który w 2022 r. ma osiągnąć parametry pełnowymiarowej stacji orbitalnej i będzie mógł przyjmować stałe załogi.

Na przyszły rok szykowany jest start pierwszej chińskiej rakiety wielokrotnego użytku, która – podobnie jak Falcon 9 – po wyniesieniu statku kosmicznego na orbitę, powróci na Ziemię i wyląduje. Na razie największym wyzwaniem dla chińskich inżynierów jest opracowanie systemu precyzyjnego lądowania rakiety. Jeśli jednak zdołają go opracować, to Pekin zrobi duży technologiczny krok naprzód, a przy okazji obniży koszty swojego programu kosmicznego.

W dalszej kolejności Chińczycy szykują wyprawę na Księżyc. Półtora roku temu odnieśli prestiżowy sukces, gdy sonda Chang'e 4 po raz pierwszy w dziejach wypraw kosmicznych wylądowała po ciemnej stronie Księżyca. Zdaniem Amerykanów głównym zadaniem sondy było zbadanie gruntu księżycowego pod kątem możliwej eksploatacji surowców. Zapewne właśnie dlatego Donald Trump wydał rozporządzenie, które tak rozgniewało Moskwę. Ma ono chronić interesy

Elon Musk twierdzi, że już w 2022 r. będzie gotowy do wyniesienia bezzałogowego statku kosmicznego na Marsa. Wydaje się to całkiem realne

USA przed ekspansją ze strony Chin. Rosjanie zupełnie niepotrzebnie się denerwowali, bo to nie o nich chodziło.

Chiny nie ukrywają, że do końca dekady chciałyby uruchomić na Księżycu stałą bazę załogową. Myślą również o Marsie. Do końca lipca zamierzają wystrzelić statek kosmiczny Tianwen-1, który w 2021 r. umieści na powierzchni Marsa łazika badającego grunt oraz atmosferę tej planety. Kryptonim Tianwen (co po chińsku oznacza „pytanie do niebios”) mają otrzymywać wszystkie chińskie misje międzyplanetarne. Liczba 1 wskazuje, że to dopiero początek ekspansji.

Niewykluczone, że chiński łazik spotka się na Marsie z amerykańskim,

a nawet z arabskim. W tym samym czasie co Chiny swoje misje marsjańskie planują bowiem NASA oraz Zjednoczone Emiraty Arabskie, które zamierzają wynieść swojego łazika z kosmodromu w Japonii.

KIERUNEK: MARS

Prawdziwym wyzwaniem będzie jednak wysłanie pierwszych ludzi na Marsa. Koncepcja, która jeszcze kilkanaście lat temu wydawała się czystą fantastyką, zaczyna się powoli materializować. I tu znowu wracamy do Elona Muska, który od dawna jest owładnięty wizją kolonizacji Czerwonej Planety.

Firma Muska pracuje w tej chwili nad nową ciężką rakietą Starship, która może być brana pod uwagę jako rezerwowa rakietę księżycowa w ramach programu Artemis. Prace są mocno zaawansowane, choć ambitny projekt napotyka na trudności, m.in. ostatnio trzy razy doszło do eksplozji rakiety podczas testów na ziemi.

Na razie Starship mógłby posłużyć do komercyjnych lotów w kosmos, ale docelowo doświadczenia nabrane przy jego budowie mają posłużyć do opracowania jeszcze cięższej rakiety nazwanej Super Heavy Starship zdolnej wynieść kapsułę załogową na Marsa.

Lot na Marsa przebiegałby dwuetapowo. Według prezentacji umieszczonej przez firmę SpaceX rakietę wystrzeloną z Ziemi musiałaby zostać zatankowana na orbicie z innego, wystrzelonego wcześniej starshipa, po czym mogłaby rozpocząć trwającą pół roku podróż na Marsa. Lądowanie odbyłoby się w podobny sposób, jak w przypadku rakiety Falcon 9, która po odłączeniu się od kapsuły Dragon usiadła zgrabnie na barce morskiej. Starship również obróciłby się tyłem do kierunku lotu i wylądował pionowo na Marsie.

Pytanie podstawowe brzmi, kiedy taka wyprawa dojdzie do skutku? Elon Musk twierdzi, że już w 2022 r. będzie gotowy do wystrzelenia starshipa i wyniesienia – na razie bezzałogowego – statku kosmicznego na Marsa. Biorąc pod uwagę, jak bardzo ostatnio przyspieszył technologiczny wyścig w kosmosie, wydaje się to całkiem realne.



Obywatelskie przebudzenie

Czy Aleksander Łukaszenka dopuści do tego, by w nadchodzących wyborach prezydenckich mieć poważnych kontrkandydatów? Dlaczego Białorusini tak chętnie ich wspierają? I najważniejsze pytanie: dlaczego rosyjska prasa z takim zadowoleniem obserwuje rozwój wydarzeń na Białorusi?



MAREK BUDZISZ

Aleksander Klaskouski, znany białoruski politolog, mówi o „przebudzeniu się Białorusinów”. Jarosław Romańczuk, liberalny ekonomista i zwolennik reform rynkowych, opisując to, co się obecnie dzieje na Białorusi, używa terminu

„obywatelski coming out”. Paradoksalnie w podobnym tonie wypowiadają się zarówno Aleksander Łukaszenka, jak i szef białoruskiego KGB Walerij Wakulczik, którzy zaczęli mówić o aktywizacji ulicy czy wręcz Majdanie, zastrzegając przy tym, że nie

Fot. AP Photo/Sergii Grits / East News

dopuszczają do powtórzenia scenariusza ukraińskiego.

Kiedy ogląda się relacje telewizyjne i filmiki umieszczone w sieci przedstawiające dziesiątki tysięcy Białorusinów czekających cierpliwie w długich kolejkach, nieraz nie bacząc na niepokoję, po to by podpisać listy poparcia dla kandydatów chcących konkurować z Łukaszenką w zaplanowanych na 9 sierpnia wyborach prezydenckich, trudno oprzeć się wrażeniu, że mamy do czynienia ze zjawiskiem nowym, którego nie obserwowano się tam od dobrych dziesięciu lat, a którego skali ani konsekwencji nie można obecnie przewidzieć.

Tym, co się dzieje, są zaskoczono najwyraźniej również władze, które nie tak sobie wyobrażały wybory. Miały one w sposób spokojny dać kolejną, szóstą już kadencję Aleksandrowi Łukaszence. Zaplanowano je na pierwszą dekadę sierpnia, co zdaniem białoruskich komentatorów miało być sygnałem, że władzom nieszczególnie zależy na mobilizacji wyborców, o którą trudno w czasie wakacji. Dla pewności kierownictwo Państwowej Komisji Wyborczej utrzymała w swych rękach, wypróbowana w tej roli Lidzija Jarmoszyńska, bo wiadomo, że nie jest ważne, jak się głosuje, tylko to kto liczy głosy.

Ale w tym scenariuszu coś poszło nie tak. Jak mówi „Białoruskiej Prawdzie” Walerij Kostka, były pułkownik KGB, „służby przysnęły” i sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli.

OBJAZDOWA KAMPANIA

Najpierw, głównie za sprawą popularnego blogera Sierhieja Cichanuskiego, który po tym jak ogłosił, że zamierza wystartować w wyborach prezydenckich, został przez władze zatrzymany (stary wyrok administracyjny jeszcze z grudnia za protesty w sprawie „pogłębienia integracji z Rosją”), aby nie mógł zgłosić swojej kandydatury. W zastępstwie kandyduje jego żona, Swietłana, a sam Sierhiej stanął na czele jej komitetu wyborczego. Na wzór Nikoły Paszyniana, który dwa

lata temu wznicił w Armenii aksamienną rewolucję, Cichanuski zaczął objazd kraju samochodem, na którym zamontowano megafon i w prowincjonalnych ośrodkach on i jego współpracownicy zaczęli organizować wiece poparcia dla Swietłany połączone ze zbieraniem podpisów. Komunikat, który popularny blogger sformułował, jest prosty i trafia do wszystkich – „Stop karakanowi” – to jego hasło, ale wszyscy wiedzą, o kogo chodzi, bo – jak wiadomo – insekt ma wąsy.

Wiele wskazuje na to, że Rosja rozpoczęła na Białorusi operację, która ma na celu obalenie Łukaszenki, albo – gdyby okazało się to niemożliwe – takie osłabienie reżimu, że musiałby on pójść na ustępstwa wobec Moskwy

Ale potem swoje kandydatury zgłosili zawodnicy wagi ciężkiej, czyli Wiktar Babaryka, przez ostatnie 20 lat kierujący bankiem kontrolowanym kapitałowo przez rosyjski Gazprom, oraz Walerij Cepkało, w przeszłości ambasador Białorusi w Stanach Zjednoczonych, wiceminister spraw zagranicznych oraz szef Parku Nowoczesnych Technologii – projektu władz, który miał się przyczynić do cyfrowej transformacji tamtejszej gospodarki. Ich ranga wynika z tego, że nie są kojarzeni z mało popularną opozycją i w związku z tym mogą być do przyjęcia zarówno przez część białoruskiego establishmentu, jak i przedsiębiorców zaniepokojonych pogarszającą się sytuacją w kraju. Babaryka, choć zamiar kandydowania ogłosił niemal w ostatniej chwili, od początku roku w wielu wywiadach krytykował politykę ekonomiczną władz, a dziś mówi, że białoruska gospodarka jest „w stanie agonalnym”.

NAWET MILION

O ile Cichanuski skutecznie rozbuździł emocje białoruskiej ulicy, wykorzystując zresztą lukę w niedawno zmienionych przez białoruskie władze przepisach, które nakładając wiele, również finansowych, ograniczeń na organizatorów wieców i demonstracji, nie przewidziały, że legalne zbieranie podpisów można przekształcić w manifestację poparcia, o tyle Babaryka koncentruje się na prowadzeniu kampanii w sieci i mediach społecznościowych. Z zaskakującą jak na Białoruś skutecznością. W ciągu niewiele ponad tygodnia udało mu się zgromadzić ponad 10 tys. ludzi w swoim komitecie wyborczym, co sprawia, że liczebnością ustępuje tylko komitetowi Łukaszenki. Już to jest fenomenem i rekordem. Przy czym, jak powiedział w wywiadzie dla „Moskiewskiego Komsomolca”, jego ekipa opracowała tak dobry system weryfikacji osób, które zgłosiły się do współpracy, że jawnie stronnictwo przedstawieli komisji wyborczej udało się odrzucić ze zgłoszonej listy tylko dwie osoby. Po kolejnym tygodniu Babaryka obwieścił o zebraniu niezbędnych 100 tys. podpisów, ale zadeklarował, że nie zamierza na tym poprzestać i będzie chciał ich zgromadzić nawet milion, bo to daje gwarancję, że wybory nie zostaną sfałszowane, a nawet jeśli Łukaszenka zdecyduje się na taki ruch, to szachrajstwa nie da się ukryć.

Cepkało ma z kolei apelować do średnich i małych przedsiębiorców niezadowolonych z tego, że program wsparcia z powodu pandemii przygotowany przez odwołany właśnie przez Łukaszenkę gabinet premiera Rumasa nie został wdrożony, bo prezydent, jak się uważa, nie uznał tego za konieczne.

OPERACJA MOSKwy

Politolodzy z ośrodków badawczych sprzyjających władzy mówią, że cała trójka, czyli Cichanouski, Babaryka i Cepkało, to kandydaci Moskwy, która rozpoczęła właśnie na Białorusi

operację mającą na celu obalenie Łukaszenki, albo – gdyby okazało się to niemożliwe – takie osłabienie reżimu, że musiałby on pójść na ustępstwa wobec Federacji Rosyjskiej. Jurij Tsarik z Centrum Studiów Strategicznych i Polityki Zagranicznej na swoim facebookowym koncie napisał, że celem wysuniętej przez Rosję trójki jest rozchwianie sytuacji na Białorusi, osłabienie władzy, a niewykluczone, że także dezorganizacja funkcjonowania kraju. W jego opinii służby przeoczyły to, co się szykuje i popełniły kardynalny błąd. Ten błąd, jego zdaniem, wykorzystwała Moskwa, której długofalowym zamiarem jest likwidacja geostrategicznej niezależności, a może wręcz polknięcie Mińska.

Przy czym prognoza, którą formułuje, jest niezwykle pesymistyczna. Na Białorusi nie narodzi się pokojowy prorosyjski reformator na kształt prezydenta Mirzajewa w Uzbekistanie. Łukaszenka nie odda łatwo władzy, a nawet jeśli to się stanie, „to musimy przygotować się na represje, krew i wewnętrzne wstrząsy”. Wszystko to, jego zdaniem, i tak skończy się wkroczeniem wojsk rosyjskich i „jeśli Białoruś nie przeistoczy się w upadłe państwo w tej czy innej postaci, okupowane przez rosyjskie wojska na wzór Abchazji, to będziemy mogli mówić o cudzie”.

Niezależni eksperci i zwolennicy opozycji, ale też część prasy rosyjskiej, dowodzą, że tego rodzaju narracja, polegająca na sugerowaniu, że każdy, kto chce demokratyzacji i liberalizacji kraju, realizuje scenariusz napisany na Kremlu, jest częścią strategii wyborczej Łukaszenki, który próbuje zagrać „kartą niepodległości”.

Niewykluczone, że tak jest, ale trzeba otwarcie przyznać, że wiele wypowiedzi Wiktara Babaryka ułatwia tego rodzaju interpretację jego kandydatury. W wywiadzie dla „Moskiewskiego Komсомола” powiedział, że byłby w stanie przyjąć zapisy tzw. 31 karty drogowej, na co nie chciał się zgodzić Łukaszenka, przewidując utworzenie wspólnej waluty. Kilka godzin później na koncie facebookowym odżegnywał się od swoich słów, przepraszając przy okazji

Białorusinów za to, że się zagalopował. Następnie stwierdził, że jest zwolennikiem niepodległości i własnej waluty. Ale znaki zapytania pozostały, tym bardziej że inne jego publiczne wypowiedzi są również dość zastanawiające. W tym samym wywiadzie pytany, czy uznałby jako prezydent niepodległość Abchazji i Osetii Południowej, samozwańczych separatystycznych republik, które odewały się od Gruzji i oprócz Rosji oraz jej satelitów nie są uznawane przez nikogo na świecie, w gruncie rzeczy uchy-

Dziesiątki tysięcy Białorusinów cierpliwie czeka w długich kolejkach po to, aby podpisać listy poparcia dla kandydatów chcących konkurować z Łukaszenką w zaplanowanych na 9 sierpnia wyborach prezydenckich

lił się od odpowiedzi, mówiąc, że sprawa powinna być zbadana w kontekście prawa białoruskiego i międzynarodowego. Podobnie odpowiedział na proste pytanie dziennikarza Radio Svoboda, „czy jest Krym”, mówiąc ze śmiechem: „Greków”. W innym wywiadzie, którego udzielił „Kommiersantowi”, powiedział z kolei, że jego ideałem jest neutralność dla Białorusi, ale zastrzegł od razu, że siła powiązań wojskowych i gospodarczych, jakie dziś łączą jego kraj z Federacją Rosyjską, jest tak duża, że nie uda się rozsupłać tego węzła wcześniej niż za dwie, trzy kadencje. Co ciekawe, pytany o relacje z Unią Europejską, mówi, że Białoruś była zawsze krajem „granicznym” i z takiego położenia wyciągała najwięcej korzyści, więc tak powinno pozostać w przyszłości.

Niezależnie od tego, czy chcący konkurować z Łukaszenką to „ludzie Moskwy”, czy też autentyczni, niezależni i zaniepokojeni stanem kraju

obywatele, jedno jest pewne: władza została zaskoczona rozwojem wydarzeń i z opóźnieniem przystąpiła do kontrataku. Zresztą w starym stylu. Dość topornie zorganizowana w Grodnie prowokacja z udziałem ściągniętej w tym celu z Mińska prostytutki pozwoliła rozpocząć falę aresztowań. W więzieniu znalazł się zarówno Cichanouski, jak i jego współpracownicy, ale także przedstawiciele „starej opozycji”. Wypowiedzi Łukaszenki, szefa KGB Wakulczika oraz to, że białoruski prezydent spotkał się z Wiktorem Szejmanem, swoim wieloletnim bliskim współpracownikiem uchodzącym za „specjalistę od zadań specjalnych”, który oskarżany jest o to, że stał za serią tajemniczych zaginięć przed laty przeciwników politycznych obecnego prezydenta Białorusi, wskazują, że reżim przygotowuje się do rozwiązań siłowych.

CO DALEJ

Rosyjska prasa z zadowoleniem obserwuje rozwój wydarzeń na Białorusi. Zdaniem tamtejszych komentatorów represje wobec opozycji, jakie Łukaszenka może zdecydować się uruchomić, pozbawia go możliwości otrzymania wsparcia gospodarczego z Zachodu, a tylko w tym roku potrzebuje 2,6 mld dol. W takiej sytuacji zmuszony zostanie do tego, aby zwrócić się w stronę Moskwy, która jednak na piękne oczy pomocy przecież nie udzieli. Wiadomo, że ceną będzie pogłębiona integracja.

Jeśli Łukaszenka straci władzę, bo zbuntuje się część służb specjalnych i aparatu władzy, do których Babaryka wyraźnie puszcza oko, to nowa ekipa, która zainstaluje się w Mińsku, będzie może bardziej demokratyczna, ale z pewnością słabsza od obecnej. I powtórzy się mechanizm, który można było zaobserwować w Armenii, gdzie w 2018 r. zwyciężyła aksamitna rewolucja. Nowe władze są demokratyczne, ale jeśli chodzi o politykę zagraniczną, nie mogą sobie pozwolić na taką niezależność jak obalona ekipa. W efekcie uprawiają politykę znacznie bardziej prorosyjską. Z perspektywy Moskwy sytuacja typu win-win.

Zniszczyć Amerykę

Prezydent USA Donald Trump poinformował na Twitterze, że zamierza uznać skrajnie lewicowy ruch Antifa za organizację terrorystyczną. Zdaniem konserwatywnych mediów za oceanem amerykańskie miasta są obecnie pod atakiem „złych loserów, którzy chcą tylko rabować i palić”



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Według słownika Cambridge Antifa to „grupa ludzi, którzy sprzeciwiają się faszyzmowi (czyli systemowi politycznemu opartemu na silnym przywódcy, państwowej kontroli i dumy z rasy, gdzie opozycja jest tłumiona), i okazują ten sprzeciw za pomocą protestów, a czasami przemocy”. Zawarta w tym opisie charakterystyka faszyzmu nijak nie pasuje do dzisiejszych Stanów Zjednoczonych, które – przy wszystkich niedociągnięciach – są krajem demokratycznym, w którym nie prowadzi się polityki opartej na rasie, a opozycja ma się znakomicie. Nie przeszkadza to bojówkom Antify atakować policjantów, niszczyć mienia czy płądrować sklepów w ramach protestów, które wybuchły dwa tygodnie temu w Minnesocie po śmierci Afroamerykanina George’a Floyda z rąk białych policjantów, którzy usiłowali go aresztować za posługiwanie się sfalszowanym banknotem.

Z początku pokojowe protesty zamieniły się za sprawą ubranych na czarno i zamaskowanych bojówkarzy w orgię przemocy i destrukcji. Stolica Minnesoty, Minneapolis, stała się centrum dla anarchistów i agitatorów spoza stanu. Tylko 20 proc. protestujących w tym mieście to miejscowi. W Pittsburghu w Pensylwanii protesty zostały przejęte przez białych mężczyzn ubranych na czarno. A w Rochester, gdzie spłonęły setki samochodów, policja obwinia anarchistów i opłacanych protestujących z zewnątrz za zniszczenia. Wiele czarnych aktywistów i organizatorów protestów z Black Lives Matter (Czarne Życie się Liczy) twierdzi, że niektórzy ludzie przychodzą na nie tylko po to, by siać zamęt, a nie wyrazić gniew z powodu zabójstw nieuzbrojonych czarnoskórych Amerykanów.

Skala zniszczeń jest tak ogromna, a wandalizm tak często dotyka mienia

właśnie czarnoskórych Amerykanów, że pytanie o sens tych działań, a zwłaszcza ich związek ze śmiercią George’a Floyda, samo się nasuwa.

INSTRUMENTALNA ŚMIERĆ

Trudno jest oprzeć się wrażeniu, że George Floyd posłużył jako pretekst do skoordynowanej akcji skrajnie lewicowych grup w celu wewnętrznego osłabienia nienawidzonego przez nie kapitalistycznego państwa. Wiele z nich ma najwyraźniej nadzieję, że wewnętrzne sprzeczności, systematycznie podsycane, zniszczą Amerykę. To stworzy pustkę, w której może powstać ich utopia.

Prezydent Donald Trump w odpowiedzi na przemoc ogłosił w minioną niedzielę na Twitterze, że zamierza uznać Antifę za organizację terrorystyczną. Krytycy Trumpa wytykają mu, że Stany Zjednoczone mimo licznych prób jej stworzenia nadal nie mają ustawy o krajowym terroryzmie, więc delegalizacja Antify byłaby prawnie trudna do przeprowadzenia. Ponadto Antifa nie ma jasnej struktury organizacyjnej, tylko składa się z luźno powiąza-





nych ze sobą grup, które dbają o widoczność organizacji, jednocześnie gwarantując swoim członkom anonimowość.

Nie oznacza to jednak, że pomysł delegalizacji Antify jest nowy.

Trump jeszcze przed wybuchem obecnych protestów rozważał taki krok. Nie jest też prawdą, że tylko republikańskie czy tzw. alt-right (alternatywna prawica) są krytycznie nastawieni do tej skrajnie lewicowej bojówki. Po gwałtownych protestach w 2017 r. w Berkeley demokratyczna spiker Izby Reprezentantów Nancy Pelosi skarżyła się na „brutalne postępowanie ludzi określających siebie mianem Antify” i wzywała do ich zatrzymania.

ANTYFASZYZM CZY ANARCHIA?

Amerykańska Antifa uważa się za organizację walczącą z autorytaryzmem, homofobią, rasizmem i ksenofobią. W tym celu współpracuje z lokalnymi organizacjami, a także zawiera czasowe i oportunistyczne sojusze z ruchem Occupy czy Black Lives Matter. Niektóre grupy Antify odwołują się do spuścizny europejskich ruchów antyfaszystowskich lat 20. i 30. XX w.

Nazwa Antifa ma oznaczać Antyfaszystowską Akcję (Antifaschistische Aktion). Mark Bray, autor książki „Antifa: The Anti-Fascist Handbook,” twierdzi zaś, że współczesny amerykański ruch Antifa rozpoczął się w latach 80. XX w. od grupy zwanej Akcją Antyrasistowską (Anti-racist Action). Jej członkowie urządzali regularne bitwy ze skinheadami w czasie punkowych koncertów na amerykańskim Środkowym Zachodzie. Na początku XXI w. ruch Antifa był w większości uśpiony – aż do przejścia prezydentury przez Donalda Trumpa i powstania tzw. alt-right. Jak donosi BBC, które w toku protestów w Minnesocie skontaktowało się z odłamkami Antify w Oregonie, skrajnie lewicowi bojówkarze walczą dziś głównie z administracją Trumpa i „wszystkim tym, co reprezentuje”. „Jesteśmy antyrządowi” – miał wyznać brytyjskim dziennikarom jeden z bojówkarzy.

Antifa regularnie zakłóca imprezy alt-right i występy kojarzonych z nią publicystów, polityków i naukowców. Publikuje także osobiste informacje o swoich „ofiarach” online. Ta taktyka nazywana jest „doxxing”. Nierzadko udaje jej się doprowadzić do zwolnienia z pracy osób, które mają, jej zdaniem, niewłaściwe poglądy. Członkowie Antify ubierają się na czarno, noszą przy sobie noże, kamienie, gaz pieprzowy i łańcuchy oraz zakrywają twarze, co ma utrudnić ich identyfikację oraz zastraszyć przeciwników. Tzw. czarny blok to stały widok na manifestacjach w USA, choćby na proteście „Unite the Right rally” z 2017 r. w Charlottesville.

PRZEMOC JAKO FORMA SAMOOBRONY

Antifa nie twierdzi, że jest organizacją pokojową. Wręcz przeciwnie. Według niej przemoc, którą stosuje, służy jednak obronie. Kogo? Zmarginalizowanych grup społecznych przed „prześladowaniem”. Kogo? Kobiet, osób LGBTQ, mniejszości rasowych. Wolność słowa? Jak najbardziej, ale w ściśle określonych ramach, które wykluczają poglądy prawicowe. Jak pisze „New York Times”, członkowie Antify często argumentują, że gdyby opozycja wobec Hitlera występowała w latach 30. bardziej stanowczo i stosowała przemoc, może udałoby się wtedy zapobiec II wojnie światowej oraz Holocaustowi.

Jedną z pierwszych grup Antify w USA była Rose City Antifa założona w 2007 r. w Portland w stanie Oregon. Grupa ma wielu fanów w mediach społecznościowych, gdzie głównie zajmuje się denuncjacją osób o prawicowych poglądach, publikując ich dane osobiste i miejsca zatrudnienia. Gotowość do przemocy Antify, która jest tolerowana na kampusach amerykańskich uczelni, niepokoi niektórych lewicowych intelektualistów. Według historyk Ruth Ben-Ghiat z New York University, która prowadzi badania nad faszyzmem, burdy zarządzane przez Antifę mogą doprowadzić do „postawienia znaku równości pomiędzy prawicową a lewicową przemocą”. A temu należy za wszelką cenę zapobiec. Ponadto wybryki Antify mogą, jej zdaniem do-

prowadzić do zdecydowanych działań obecnej administracji w Waszyngtonie przeciwko skrajnie lewicowym ugrupowaniom. Prawicowa przemoc jest – jak wiadomo – zawsze zła, a lewicowa nigdy. I tak ma pozostać.

SEMANTYCZNY SPÓR

I nie bez powodu. Antifa bowiem zabiega o względy umiarkowanej lewicy, którą zresztą coraz częściej z nią sympatyzuje. Jak wyglądają te zabiegi wizerunkowe, pokazał spór semantyczny, który wybuchł w Niemczech wokół hasła „Antifa” w niemieckojęzycznej Wikipedii. Spór wybuchł po tym, jak szefowa socjaldemokratów (SPD) Saskia Esken napisała na Twitterze w odpowiedzi na zapowiedź Trumpa o delegalizacji bojówki „58 lat i Antifa. Oczywiście”. Tweet miał wyrazić solidarność z Antifą oraz zapewnić wyborców polityk, że będzie walczyć z faszyzmem. Jej kolega partyjny Robert Pietsch nie chciał być gorszy i postanowił przy tej okazji zrobić porządek na Wikipedii, gdzie antyfaszyzm oraz Antifa to dwa zupełnie oddzielne hasła. To skandal – uznał Pietsch i zredagował wpis, dopisując do hasła Antifa, że wywodzi się ono ze słowa antyfaszyzm, powołując się przy tym na niemiecki słownik „Duden”. Redakcja słownika nie zgodziła się z takim postawieniem sprawy i dodała adnotację, że Antifa to skrót Antyfaszystowskiej Akcji (bojówka Komunistycznej Partii Niemiec, całkowicie podporządkowana Stalinowi, aktywna w latach 1932–33), a to nie to samo. Pietsch był oburzony i znów zmienił wpis.

Podczas zamykania tego numeru tygodnika „Sieci” spór trwał. Wikipedia zablokowała możliwość edycji hasła Antifa do 15 czerwca. Ale te działania pokazały jedno: próbę utożsamienia Antify z antyfaszyzmem, choć to dwie pary kaloszy, antyfaszystami w Weimarskiej Republice byli bowiem także katolicy, centryści i socjaldemokraci. A to, że Antifa odwołuje się do antyfaszyzmu lat 20. i 30. XX w., nie oznacza, że to prawda. Powiązanie jednego z drugim ma natomiast uczynić bojówkę strawną dla bardziej umiarkowanych obywateli i dać uzasadnienie dla jej destrukcyjnych działań.



Zimna wojna amerykańsko-chińska

Gdyby nie przewalająca się przez nasz glob zaraza, to uwaga świata byłaby skoncentrowana na bezustannie rosnącym napięciu między Waszyngtonem a Pekinem



JAN ROKITA

Chińska dyplomacja, która jeszcze nie tak dawno znana była z ceremonialnej uprzejmości w stosunkach międzynarodowych, przestała teraz przebiegać w słowach. A jej szef minister Wang Yi mówi o stanie „pogranicza zimnej wojny” z Ameryką. Wang Yi był przez lata szefem rządowego komitetu ds. Tajwanu, więc zapewne wpływ na ostrość jego oceny ma również sytuacja owej wyspy, gdzie od jakiegoś czasu wzięły górę (podobnie jak w Hongkongu) obawy co do intencji komunistycznych władz Chin.

Z kolei po drugiej stronie Pacyfiku prezydent Donald Trump i jego ministrowie także przestali owijać w bawełnę swoją polityczną wrogość względem Pekinu. Jeszcze stosunkowo niedawno, gdy Trump – jak zwykle z przesadnym

poczuciem triumfu – ogłaszał w końcu ubiegłego roku zawarcie cząstkowego porozumienia handlowego z Chinami, komentatorzy spekulowali, że takie przejściowe załagodzenie konfliktu utrzyma się do listopadowych wyborów w Ameryce. Sądzone bowiem, iż prezydent potrzebuje jakiegos sukcesu głośno reklamowanej przez siebie samego taktyki osobistej dyplomacji i zawierania korzystnych „dealów”. Opinie te okazały się jednak złudne, a w światowych mediach mnożą się teraz analizy poszukujące analogii między obecnym kryzysem amerykańsko-chińskim a zdarzeniami niegdyśszej zimnej wojny z Sowietami. Na przykład z kryzysem kubańskim 1962 r.

ZARAZA I CHIPY

Tymczasem kolejne pola konfliktu między dwoma mocarstwami otwierają się z tygodnia na tydzień, katalizatorem zaś nagłego załamania ich stosunków stał się wybuch zarazy. Od niejakiego czasu Trump z prawdziwą pasją oskarża komunistyczne władze w Pekinie o to, iż zaraza rozprzestrzeniła się po świe-

cie z ich winy. „Niekompetencja Chin, i nic innego, doprowadziła do globalnego i masowego zabójstwa” – to jeden z prezydenckich tweetów na ten temat, napisany 20 maja. Chodzi o to, że drastyczną diagnozę Trumpa zdają się potwierdzać opublikowane właśnie przez agencję AP sensacyjne zapisy poufnych rozmów prowadzonych przez wysokich funkcjonariuszy WHO. Okazuje się bowiem, że w styczniu 2020 r. byli oni świadomi tego, iż Pekin nie przekazuje organizacji prawdziwych informacji o zaczynającej w Wuhanie zarazie, zarzucając WHO propagandowymi komunikatami, przekazywanymi (jak mówi na nagraniu jedna z funkcjonariuszek organizacji) – „na 15 minut przed tym, jak podaje je chińska telewizja”. Pomimo to WHO przyjęła strategię publicznego wychwalania władz Chin za sposób, w jaki walczą z epidemią i współpracują ze światem medycznym, autoryzując zarazem jeszcze w połowie stycznia chińskie kłamstwa, np. na temat niepewności co do zakaźności wirusa SARS-CoV-2. Czyniono zaś tak ponoć z iście orwellowską nadzieją,

że wychwalanie chińskich kłamstw skłoni komunistów w Pekinie do mówienia prawdy. Jak na (teoretycznie) profesjonalną agendę ONZ ds. zdrowia – to faktycznie pełna kompromitacja tej instytucji. Ale dla Trumpa, niezbyt skutecznie borykającego się z zarazą w samej Ameryce, także świetny powód, aby wskazać Pekin jako źródło zła, winne wszystkim spustoszeniom, jakie koronawirus sprawił na świecie. Coraz częściej słychać także w Waszyngtonie o finansowych roszczeniach odszkodowawczych w stosunku do państwa chińskiego z tego tytułu.

Najnowsze i chyba dość dotkliwe dla Pekinu uderzenie Trumpa – to nałożone 15 maja przez Departament Handlu restrykcje na sprzedaż chińskiemu koncernowi Huawei chipów, przy których produkcji w jakikolwiek sposób wykorzystano amerykańską technologię. Znaczący rynek cyfrowego twierdzą, że w zasadzie każdy tego typu układ scalony, wykorzystywany w produkcji laptopów i smartfonów, w jakiejś mierze korzysta z amerykańskiej technologii. Zatem jego dostawa dla chińskiego koncernu (drugiego na świecie producenta smartfonów) zależeć będzie od rządu USA. Nic więc dziwnego, że publiczny komunikat wydany przez Huawei jest nieco histeryczny w tonie, posunięcie Trumpa nazywając „zgubnym i podminowującym cały przemysł cyfrowy na świecie”.

Trump już rok temu próbował nałożyć restrykcje na handel amerykańskich producentów z Huawei, ale okazały się one nie dość skuteczne, skoro (jak podaje „The Economist”) w ciągu ostatniego roku sprzedaż podzespołów elektronicznych przez dostawców amerykańskich dla firm chińskich wzrosła aż o 70 proc. Tym razem precyzyjne uderzenie w kluczową technologię chipów wygląda na lepiej przemyślane. Jeszcze tego samego dnia, gdy Amerykanie ogłaszali nowe zakazy, największy dostawca chipów – tajwański koncern TSMC – nie tylko wycofał się ze współpracy z Huawei, lecz wyraził zgodę na od dawna formułowany przez Amerykanów postulat ulokowania części swojej produkcji w Arizonie. Nie ma wątpliwości, że Pekin podejmie jakieś kroki odwetowe. A kontrolowany przez partię

komunistyczną dziennik „Global Times” cytując głosy chińskich ekspertów postulujących „zbanowanie” Apple’a na rynku chińskim, tak aby ów koncern, będący wizytówką technologiczną Ameryki, „poczuł prawdziwy ból”.

HONGKONG I ZAPOWIEDŹ SANKCJI

Z kolei 30 maja sekretarz stanu Mike Pompeo napisał na Twitterze, że „prezydent nie widzi dalszego usprawiedliwienia dla traktowania Hongkongu tak jak dotychczas, gdyż Ameryka musi się bronić przed tyranią Chińskiej Partii Komunistycznej”. Trzy dni wcześniej Pompeo oficjalnie powiadomił amerykański Kongres, iż Chiny zniszczyły odrębność Hongkongu, zagwarantowaną traktatowo w 1984 r., w związku z czym miasto nie będzie już dalej traktowane jako region autonomiczny. Amerykanie nie ukrywają, że jeśli w najbliższych dniach istotnie dojdzie do objęcia Hongkongu uchwaloną w Pekinie ustawą o środkach bezpieczeństwa, to należy się spodziewać nałożenia sankcji gospodarczych, uderzających w dotychczasowy uprzywilejowany status kluczowego centrum finansowego nie tylko Chin, lecz całej Azji. Ucieczka kapitału, a być może także masowa emigracja elity biznesowo-finansowej Hongkongu, może się okazać skutkiem takiego odwrócenia stosunku nie tylko Ameryki, lecz także jej bliskich sojuszników.

Premier Boris Johnson, którego kraj negocjował niegdyś porozumienie gwarantujące swobody polityczne i wolność gospodarczą dla Hongkongu, zapowiada bowiem, iż Londyn jest gotów w nadzwyczajnym trybie przyznać prawo do pracy i brytyjskiego obywatelstwa co najmniej 350 tys. mieszkańców Hongkongu, mającym tzw. brytyjski paszport zamorski. Aby to oznajmić, premier opublikował 3 czerwca specjalny artykuł w „The Times”. I znów chińska dyplomacja odchodzi od swej tradycji kurtuazji, a MSZ w Pekinie mówi o „zimnowojennej i kolonialistycznej mentalności Anglików”. Wygląda na to, że chiński tyran Xi Jinping faktycznie podporządkuje sobie Hongkong, dławiąc jego swobody polityczne. Dla Chińczyków z Hongkongu to życiowa

tragedia, zwłaszcza dla tysięcy młodych, uczestniczących w filmowanych przez policję wielomiesięcznych protestach ulicznych. Ich zapewne czeka ucieczka z miasta albo groźba zemsty chińskiej policji politycznej. Jednak cena, jaką za to zapłaci nie tylko samo miasto, lecz i cały chiński biznes, może się okazać całkiem spora.

KONIEC GOŁĘBIEJ STRATEGII

Wszystkie te historie to spis napięć amerykańsko-chińskich raptem z ostatnich trzech tygodni. To oczywiste, że w znacznym stopniu biorą się one ze strategii nieustępliwości i rywalizacji, jaką przyjął amerykański mocarstwowiec Donald Trump. Jego spektakularny odwrót od wieloletniej uległości Ameryki wobec Chin, zwłaszcza gdy idzie o budowanie przez Pekin technologicznej i militarnej potęgi dzięki bezkarnemu przejmowaniu amerykańskich technologii i protekcyjizmowi handlowemu, jest bodaj najważniejszym faktem politycznym w ciągu ostatniej dekady. Wygląda bowiem na to, że ów odwrót definitywnie zakończył kissingerowską erę tolerancji, a nawet miękkiego wsparcia dla wybijających się do roli globalnej potęgi Chin, zapoczątkowaną sławną „diplomacją pingpongową” lat 70. ubiegłego wieku. W ówczesnych politycznych warunkach miało to sens, jako sposób na równowagę rosnących w świecie wpływów sowieckich. Jednak w XXI w., w czasach Busha, a zwłaszcza Obamy, owa gołębia strategia walenie przyczyniła się do wyłonienia się azjatyckiego lewiatana, zagrażającego wolności, przywłaszczającego technologie i zalewającego świat swoimi produktami o niskiej jakości i cenie.

Trump odwrócił ów trend. I raczej trzeba dziś sądzić, iż „odwrót od tego odrotu” nie będzie już możliwy. Nawet gdyby w listopadzie amerykańskie wybory wygrał bowiem liberalny Joe Biden (na co, jak wiadomo, wskazują sondaże w USA), to wobec liczby i skali kumulujących się konfliktów powrót do politycznego status quo ante, jakby nigdy się nic nie wydarzyło, nie będzie już możliwy. Wiele wskazuje na to, że konfrontacja jest dziejowym przeznaczeniem Amerykanów i Chińczyków w XXI w.

Zagadka papieża emeryta

Dlaczego Benedykt XVI uważa, że jego papieska posługa nie skończyła się wraz z momentem abdykacji



GRZEGORZ GÓRNY

W Niemczech ukazała się właśnie najnowsza, 1200-stronicowa autoryzowana biografia Josepha Ratzingera, napisana przez znanego dziennikarza Petera Seewalda, który już wcześniej przeprowadził kilka wywiadów książkowych z Benedyktem XVI. Jeszcze przed premierą głośno było o tej pozycji głównie z powodu ujawnionego fragmentu, w którym papież emeryt mówił, że rozpowszechnianie się dziś na świecie takich zjawisk jak aborcja, zapłodnienie in vitro czy pseudomałżeństwa homoseksualne są przejawem „duchowej siły Antychrysta”.

„DUCHOWY MANDAT” PAPIEŻA EMERYTA

Najbardziej frapującą częścią biografii jest ta, w której Benedykt XVI opowiada o własnym pojmowaniu swojego obecnego statusu: papieża emeryta. Jak rozumieć tę godność, której do tej pory nigdy nie było w Kościele? Zgodnie z prawem kanonicznym funkcja „papieża emeryta” nie powinna istnieć,

a jednak istnieje. Jak odczytywać ów precedens, który Joseph Ratzinger stworzył w historii papiestwa? Czy papież emeryt to nadal papież? Jeśli tak, to czy mamy dwóch papieży? Czy urząd papieski może być jednak kolektywny? Czy może być dwóch Piotrów w kolegium apostołskim? Jeśli nie, to dlaczego Benedykt XVI nadal używa tytułu papieża i jakie jest jego miejsce oraz prerogatywy w strukturze Kościoła?

Mimo rezygnacji nie powrócił do swego świeckiego imienia i zachował wiele symbolicznych atrybutów przysługujących Ojcu Świętemu, jak np. herb papieski. Wielu kanonistów i historyków Kościoła przyznaje, że są bezradni, ponieważ jest to sytuacja nieprzewidziana w prawie kościelnym ani niemająca precedensu w dziejach, a więc nie mającej nawet z czym porównywać.

Dlatego dodatkowego znaczenia nabiera każda wypowiedź Benedykta XVI, która pozwoliłaby wyjaśnić tę zagadkę. Takiego materiału dostarcza niewątpliwie wydana ostatnio biografia. Joseph Ratzinger podkreśla w niej, że nadal pozostaje papieżem, ale w perspektywie duchowej i ontologicznej. Uwypukla zwłaszcza „duchowy wymiar” swej posługi, nazywając ją „moim mandatem”. Wyjaśnia, że poprzez rezygnację wyrzekł się „konkretnej władzy prawnej”, ale zachował nadal „duchowy mandat”.

DWA WYMIARY PAPIESTWA

W tym kontekście bardziej zrozumiałe stają się słowa wypowiedziane przez



Fot. Lucky Team Studio / Shutterstock

jego osobistego sekretarza – abp. Georga Gänsweina – który 21 maja 2016 r. wystąpił na rzymskim uniwersytecie Gregorianum podczas prezentacji książki ks. Roberto Regolego „Benedykt XVI. Wielki papież czasu kryzysu”. Zaskoczył wówczas słuchaczy stwierdzeniem, że „od 11 lutego 2013 r. urząd papieski nie pozostaje w tym samym kształcie, co poprzednio”, ponieważ funkcjonuje w dwóch wymiarach – aktywnym i kontemplatywnym. Warto przytoczyć obszerny fragment tej wypowiedzi: „Przed rezygnacją i po niej Benedykt rozumiał i rozumie swoje zadanie jako udział w takiej »posłudze Piotrowej«. Opuścił tron papieski, a jednak aktem z 11 lutego 2013 r. nie opuścił wcale tej posługi. Zintegrował natomiast osobiste urzędowanie z wymiarem kolegialnym i synodalnym; jest to jak gdyby wspólna posługa. [...] Wraz z wyborem jego następcy Franciszka 13 marca 2013 r. nie mamy dwóch papieży, ale de facto jeden urząd poszerzony o element aktywny i element kontemplatywny. Z tej przyczyny Benedykt XVI nie wyrzekł się ani imienia, ani białej sutanny. Dlatego też właściwym sposobem zwracania się do niego jest: »Wasza Świątobliwość«. Z tego też powodu nie wycofał się do jakiegoś odosobnionego klasztoru, ale pozostał wewnątrz Watykanu, jakby usu-

nał się tylko na bok, by uczynić miejsce swemu następcy”.

I dalej: „Nie porzucił posługi Piotra – tego w ogóle nie mógł uczynić, bo nieodwołalnie przyjął posługę w kwietniu 2005 r. W akcie nadzwyczajnej odwagi natomiast odnowił tę posługę [...] i ostatnim wysiłkiem umocnił ją (jak ufam). To z pewnością tylko historia zdoła wykazać”.

Nie sposób wyobrazić sobie, by osobisty sekretarz Benedykta XVI mógł publicznie wypowiadać tak śmiało tezy bez aprobaty swego przełożonego. Tym bardziej że korespondują one z ostatnią publiczną mową pontyfikatu wygłoszoną 27 lutego 2013 r. Benedykt, odnosząc się do swej papieskiej posługi, stwierdził wówczas: „Zawsze znaczy również na zawsze, nie ma już powrotu do prywatności. Moja decyzja o rezygnacji z czynnego sprawowania urzędu nie odwołuje tego”.

JEDEN URZĄD, DWIE OSOBY

W podobnym duchu wypowiedział się w październiku 2017 r. ówczesny prefekt Kongregacji Nauki Wiary kard. Gerhard Ludwig Müller: „Po raz pierwszy w dziejach Kościoła mamy casus dwóch prawowitych żyjących papieży. Z pewnością tylko papież Franciszek jest papieżem, lecz Benedykt jest emerytem i dlatego w jakiś sposób jest związany z papieństwem. Z tą bezprecedensową sytuacją trzeba sobie poradzić od strony teologicznej i duchowej. Są różne opinie, jak się za to zabrać. Ja wykazałem, że mimo wszelkich odmienności dotyczących osoby i charakteru, pochodzących od natury, wewnętrzną więź trzeba unaocznnić”.

Wkrótce potem w innym wywiadzie kard. Müller powiedział o Benedykcie i Franciszku (wypowiadając się o nich w czasie teraźniejszym): „Obaj sprawują jeden urząd w służbie wiary i Kościoła. Urząd, którego sami sobie nie powierzyli, bo pochodzi od Jezusa”.

Co znamienne, do podobnych wniosków doszedł profesor prawa kanonicznego z Lugano ks. Stefano Violi, który analizując napisany i wygłoszony po łacinie tekst abdykacji Benedykta XVI, ze zdumieniem odkrył, iż Joseph Ratzin-

ger zrezygnował nie tyle z samego urzędu papieża (jak wymaga tego określony kanon prawa kościelnego), ile raczej z czynnej formy sprawowania tego urzędu.

Te spostrzeżenia potwierdził zresztą sam Benedykt XVI, który w książce „Ostatnie rozmowy” z 2016 r. powiedział Peterowi Seewaldowi: „Mój krok nie jest ucieczką, lecz innym sposobem pozostania wiernym posłudze”. Jeszcze mocniej podkreślił to w wydanej ostatnio biografii. Porównał w niej swoje dzisiejsze położenie do położenia biskupów, którzy przechodzą na emeryturę i nie sprawują już konkretnej władzy w diecezji, ale nadal pozostają biskupami.

Joseph Ratzinger podkreśla, że nadal pozostaje papieżem, ale w perspektywie duchowej i ontologicznej. Uwypukla zwłaszcza „duchowy wymiar” swej posługi, nazywając ją „moim mandatem”

Odwołał się też do innego porównania. Przywołał mianowicie przykład rodzin, w których najstarszy członek staje się tak sędziwy, że nie jest już w stanie wypełniać swoich obowiązków głowy rodziny, które przejmuje za niego ktoś inny, jednakże jego ontologiczny status ojcowski pozostaje niezmienny. Tak było np. w Bawarii, gdzie ojciec w pewnym momencie przekazywał synowi gospodarstwo rolne, ale mieszkał z nim dalej w tym samym domu, choć w nieco innej roli. Nadal pozostawał ojcem, tylko zmienił się zakres jego praw i obowiązków.

POSŁUGA BENEDYKTA XVI

Jaką rolę wobec tego odgrywa dziś papież emeryt? Abp Gänswein stwierdza:

„To z pewnością tylko historia zdoła wykazać”. W podobnym tonie wypowiada się biograf Benedykta XVI – ks. Roberto Regoli, przywołując postać Grzegorza VII, który zmarł jako bankrut na wygnaniu, a jednak w opinii potomności zapisał się jako wielki papież, który obronił niezależność Kościoła od władzy świeckiej.

Mimo to już można wskazać na pewien obszar aktywności Benedykta XVI, o którym on sam zresztą wielokrotnie wspominał. W swojej ostatniej publicznej modlitwie na Anioł Pański 24 lutego 2013 r. powiedział: „Pan wzywa mnie do »wspinaczki na górę«, do poświęcenia się w jeszcze większej mierze modlitwie i medytacji.

To jednak nie równa się porzuceniu Kościoła. Co więcej, jeśli Bóg tego się ode mnie domaga, to właśnie po to, żebym mógł nadal służyć Kościołowi z tą samą gorliwością i miłością, z jaką starałem się to czynić do tej pory, lecz w sposób bardziej dostosowany do mojego wieku i moich sił”.

Modlitwa to jednak nie wszystko. Kilka razy podczas pontyfikatu Franciszka Benedykt XVI zabierał głos w sprawach ważnych dla Kościoła. Tak było np., gdy w zeszłym roku opublikował tekst na temat przyczyn pedofilii wśród duchowieństwa, pisząc m.in. o przenikaniu postulatów rewolucji seksualnej do Kościoła oraz o „klikach homoseksualnych” w seminariach duchownych. Do podobnej sytuacji doszło między ubiegłorocznym synodem ds. Amazonii a przed wydaniem adhortacji posynodalnej przez Franciszka. Wówczas Benedykt XVI wspólnie z kard. Robertem Sarahem wydał książkę poświęconą konieczności utrzymania celibatu księży. Zdaniem części watykanistów ta właśnie publikacja przyczyniła się do tego, że w adhortacji „Querida Amazonia” nie znalazł się zapis o wyświęcaniu na kapłanów żonatych mężczyzn.

Można więc powiedzieć, że Benedykt XVI nadal pełni swoją posługę. Czy jest to tylko posługa duchowa? Czy też – jak pokazuje wpływ jego wypowiedzi i publikacji – wykracza ona poza wymiar modlitewny i kontemplacyjny? 

Jesteśmy blisko Ciebie



**Dbamy
o bezpieczeństwo
energetyczne
Polaków**



**Zapewniamy
niskie ceny gazu
dla gospodarstw
domowych**



DOBRA ENERGIA
TANI GAZ

K

ULTURY

A photograph of a man with a beard, wearing a dark shirt, looking upwards and holding a large, light-colored letter 'P' in his right hand. In the background, the Hollywood sign is visible on a hillside under a clear sky. The man is positioned in the lower right foreground, looking towards the sign.

Fabrykę Snów wyśnili w Polsce

„Bez Polaków nie byłoby Hollywood”, „Jak stworzyliśmy Fabrykę Snów”, „Hollywoodzkie wytwórnie wywodzą się z Polski”. W podobny ton uderzają też inne tytuły tekstów, które ukazały się także przy okazji filmu „Pollywood” w reżyserii Pawła Ferdka (na zdj.). Ile w tym prawdy, a ile polskiego marzenia?

Wyjatkowy w tym roku, bo zorganizowany w wersji online, Krakowski Festiwal Filmowy otworzyła premiera dokumentalnego „Pollywood”. Reżyser i zarazem współczesny bohater tej produkcji HBO Europe Paweł Ferdek postanowił pójść śladami ojców założycieli Hollywood. Starał się zrozumieć, co pozwoliło im zejść tak daleko, czy ich podejście do życia i kina również dziś dałoby szansę na sukces.

SEN UBOGICH EMIGRANTÓW

Świat zapamiętał ich jako: Samuela Goldwyna, Louisa B. Mayera oraz braci Alberta, Sama, Harry’ego i Jacka Warnerów. Nim jednak stali się legendami amerykańskiej Fabryki Snów, czekała ich długa, także w dosłownym sensie, podróż. Wyruszyli w nią z miejsc, których nazwy Polak wymówi bez problemu.

Kiedy opuszczali warszawskie Powiśle, gubernię mińską czy leżący na Mazowszu Krasnosielc, nazywali się odpowiednio: Szmul Gelbfisz, Eliezer Meir oraz Aaron, Szmul i Hirsz Wonsalowie. W większości przypadków (tu wyjątkiem jest Sam Goldwyn) ich spektakularny sukces łączy się nie tylko z miejscem, z którego wyemigrowali, lecz i doświadczeniami trasy, jaką musieli przebyć.

Ich American Dream mógł się zrealizować, bo miał podstawę w twardym, realnym życiu. Był nie tylko wyśniony, lecz i trzymany silną ręką. Do końca. „Przyszłość, a z czasem potęgę Hollywood, budowali niehamowani przez starsze pokolenie młodzi ludzie” – mówi w filmie „Pollywood” współczesny producent Fabryki Snów.

Nie mieli nic do stracenia. Byli zdeterminowani, zahartowani przez los, uciekli od biedy i przepełnionych sztetli leżących na terenach, do których nie mieli specjalnego sentymentu. Może poza Samem Goldwynem, który nigdy w pełni nie nauczył się angielskiego, a do końca życia mówił ponoć równie dobrze w jidysz, jak i w języku polskim. Był też jednym z głównych ordynników amerykańskiej pomocy dla Polski w czasie II wojny światowej.

Potęgę Hollywood budowali uliczni sprzedawcy, którzy reguł handlu uczyli



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

się od małego, w praktyce. Nieraz musieli też zaczynać od nowa. „Byli jak hazardziści, piloci” – słyszymy w filmie „Pollywood”.

Umieli wykorzystywać okazje, szybko podejmowali decyzje, ale też znali potrzeby publiczności, której z czasem zaczęli sprzedawać najprostsze celuloidowe marzenia. Wiedzieli, że siła opowieści i moc iluzji to najlepszy produkt.

ZEGAREK DO KINA

Powstanie Hollywood chętnie ubierane jest w przemawiające do odbiorcy obrazki. Początki Warner Bros. zależały od... konia nazywanego Bob i ojcowskiego zegarka. To właśnie ten rodzinny majątek zastawili czterej bracia (którzy mieli jeszcze ośmioro rodzeństwa), by uzyskany kapitał zainwestować w 1903 r. w zakup projektora. Najpierw objeżdżali z nim miasteczka, potem zainstalowali w stałym kinie, do którego krzesła pożyczali od... właściciela zakładu pogrzebowego. Zarobione pieniądze przeznaczali na kolejny sprzęt, tym razem do nagrywania, i w ten sposób stali się producentami.

Dwie dekady później, w 1923 r., zaczęli wytwórnię, dzięki której trafiło do widzów ponad 6,5 tys. pełnometrażowych fabułek. Były wśród nich: „Casablanca”, „Sokół maltański”, „Buntownik bez powodu”, „Brudny Harry”, „Zabójcza broń”, „Batman”, „Matrix” (zrealizowany jeszcze przez braci Wachowskich) czy ekranizacje cyklu o Harrym Potterze, a także liczone w tysiącach produkcje animowane (w tym z Królikiem Bugsem).

Nim jednak Warner Bros. tak mocno i na globalną skalę wrosł w masową kulturę, w początkach XX w. biznesowym sprytem, który pozwolił pomnożyć finansowe zasoby udziałowców, wykazał się najmłodszy z braci, Jack.

Ponoć zostawiony do pilnowania magazynu, gdzie przechowywany był sprzęt i taśmy, ubił pierwszy życiowy interes. Gdy trafił do niego czarnoskóry bokser, który otworzył w Harlemie kino i szukał filmów do wyświetlania. Jack nie odeślał go z kwitkiem, choć półki świeciły pustkami. Wyciągnął zakurzoną puszkę z negatywem filmu, w którym występował mim z twarzą pomalowaną na białą, i „sprzedał” to jako absolutną nowość, pierwszy murzyński film w historii kina. Z taką reklamą, przy pełnej sali, taśma była wyświetlana przez wiele tygodni. Jack Warner, już jako filmowy potentat, chętnie się chwalił, że był prekursorem łamania barier rasowych w kinie.

RĘKAWICZKĄ W LWA

Nie byłoby słynnej czołówki Metro-Goldwyn-Mayer ani filmów z takimi gwiazdami jak Clark Gable, Greta Garbo, Jean Harlow, James Stewart, Buster Keaton, Laurel i Hardy (Flip i Flap) czy Elvis Presley, gdyby nie handlowy zmysł innego amerykańskiego imigranta – Szmula Gelbfisza oraz jego słynnych rękawiczek.

Najpierw jednak 17-letni Szmul, najstarszy z szóstki dzieci handlarza meblami, po śmierci ojca wyruszył z ulicy Browarnej na warszawskim Powiślu w drogę do lepszego świata. Wędrował pieszo, bez pieniędzy, a mimo to udało mu się przepłynąć z Niemiec do Birmingham, a potem wyruszyć za wielką wodę, najpierw do Kanady, a z czasem do Stanów Zjednoczonych, gdzie pojawił się już jako Samuel Goldwyn.

W drodze do Nowego Świata miał się różnych zajęć, ponoć nie gardząc drobnymi oszustwami. W Ameryce sprzedawał taną biżuterię oraz rękawiczki. Te ostatnie mogły się przyczynić do jego bankructwa, a jednak pozwoliły na przejście do nowego, kinowego biznesu. Gdy zamówione przez niego we Francji najtańsze skórzane rękawiczki, nagle niebotycznie zdrożały z powodu zmian w opłatach celnych, zdecydował się na brawurowe posunięcie – zlecił sprzedającemu podzielenie kilkuset par na dwa transporty – w jednym były same prawe, w drugim same lewe – i wysłanie ich do oddalonych od siebie amerykańskich portów.



Od lewej: Harry Rapf, Sam Warner, Harry Warner, Jack Warner, Albert Warner, ok. 1927 r.

Wybrakowany towar, po który nikt się nie zgłosił, został wystawiony na licytację. Jedynym zainteresowanym okazał się Goldwyn. Kupił oba transporty za symboliczną cenę i połączone pary sprzedał z zyskiem. Miał już środki, by w 1913 r. dołączyć do szwagra Jessego Lasky'ego i zająć się kinem.

CZAS NA HOLLYWOOD

Zaczął od „Męża Indianki”, debiutu reżysera Cecila B. De Mille'a, a także pierwszego westernu i, jak się okazało, pierwszego w historii filmu fabularnego nakręconego w gminie Hollywood, przyłączonej raptem trzy lata wcześniej do Los Angeles.

Miejscem przyszłych studiów stała się stodoła zaadaptowana na potrzeby ekipy, która w pośpiechu musiała opuścić filmowy plan. Do ucieczki z Nowego Jorku zmusiły Sama Goldwyna działania Thomasa Edisona, który w XX w. wszedł z patentami na kilka kluczowych wynalazków umożliwiających kręcenie i projekcje filmów. O pomoc w egzekwowaniu stosownych opłat

zwrócił się do włoskich gangsterów. Gdy do Goldwyna dotarła informacja o zmierzających na plan egzekutorach, kupił dla całej ekipy bilety na pierwszy pociąg jadący na zachód. Końcowa stacja, niestety, leżała w środku pustyni. Na szczęście odchodziły z niej także pociągi do Los Angeles, z przystankiem w Hollywood. A tu czekały wymarzone warunki pogodowe i łatwy dostęp do różnych plenerów. I tak zaczął się rozwijać biznes filmowy. W 1916 r. powstało Goldwyn Pictures Corporation (z lwem w czołówce), po kolejnych fuzjach firma przekształciła się w Metro-Goldwyn-Mayer (już bez Sama, który swoje udziały sprzedał w 1923 r., by stworzyć Samuel Goldwyn Studio).

W MGM na czoło wysunął się Louis B. Mayer, który jako Eliezer Meir urodził się w guberni mińskiej, na terenie dawnego zaboru rosyjskiego, skąd emigrował z rodzicami do Kanady. Początkowo, jak ojciec, handlował starzyzną i złomem. W 1907 r. kupił pierwsze kino. Osiem lat później miał już całą sieć. W 1924 r. powstało Metro-Gold-

wyn-Mayer, a trzy lata później Louis B. Mayer znalazł się w gronie założycieli przyznającej Oscary Amerykańskiej Akademii Filmowej.

STAŃ SIĘ SWOIM BOHATEREM

Do przyjrzenia się początkom Fabryki Snów zainspirowała Pawła Ferdka wydana w 2011 r. książka Andrzeja Krakowskiego „Pollywood. Jak stworzyliśmy Hollywood”. Reżyser dokumentu skupił się jednak bardziej na poszukiwaniu klucza do współczesnego Hollywood, odpowiedzi na pytanie, na ile doświadczenia ojców założycieli mogą być dziś przydatne. Czy pomogą w osiągnięciu sukcesu?

„Okazja czeka na tych, którzy chcą z niej skorzystać”, „Nigdy nie rezygnuj. W tym biznesie wszystko może się zdarzyć”, „Stań się swoim bohaterem”, „Po pierwsze, się nie bój, po drugie, pamiętaj, że nie masz nic do stracenia. Jak zostałeś wyrzucony drzwiami, musisz wejść oknem z przeświadczeniem, że to nic osobistego...” – takie rady usłyszał Paweł Ferdek od ludzi współczesnego Hollywood.



Sam Goldwyn (po lewej)

Fot. East News

W tym kontekście warto może przypomnieć innych Polaków, którzy zaistnieli w amerykańskiej Fabryce Snów. Na liście pollywoodzkiego sukcesu nie może zabraknąć Apolonii Chałupiec, która jako Pola Negri twierdziła, że urodziła się w Lipnie „pod Warszawą”. Z amerykańskiej perspektywy niecałe 200 kilometrów mogło mieścić się w skali „pod”, skoro podobną miarę zastosował Gregory Orr, wnuk Jacka Warnera, stwierdzając w filmie „Pollywood”: „To prawda, co mówią – wszyscy hollywoodzcy mogule pochodzą z obszaru w promieniu 500 mil [czyli 800 km – przyp. red.] wokół Warszawy. Czemu? Oto jest pytanie!”.

MÓJ PLUS

W tak wyznaczonym obszarze z dużym zapasem zmieści się i Rzeszów, skąd pochodzą rodzice reżysera Freda Zinnemanna, i śląski Głogówek oraz okolice Namysłowa, skąd przybyli do Ameryki dziadkowie i pradziadkowie Umy Thurman, czy podlaski Nowogród, z którego wyemigrował pradziadek Gwyneth Paltrow. Do przodków żyjących na terenie dzisiejszej Polski,

choć często bez wskazania konkretnych miejsc, przyznają się też m.in. Alan J. Pakula, Meg Ryan (z domu Hyra) czy Scarlett Johansson. Żydowskimi aktorami mieszkającymi w Warszawie byli rodzice Sydneya Lumeta.

O Polsce, która w biografii jest czymś więcej niż punktem wyjścia do lepszego świata, mówią: urodzona w Australii aktorka Mia Wasikowska oraz rodowita Amerykanka Leelee Sobieski. Polska ukształtowała Ryszarda Bolesławskiego (prawdziwe nazwisko Ryszard Srzednicki), który w latach 30. należał do czołówki reżyserskiej Hollywood. I Polska wciąż obecna jest w życiu, twórczości oraz pracy Romana Polańskiego i Agnieszki Holland. Nie bez powodu przynależność do polskiej szkoły filmowej z dumą podkreślają takie operatorskie sławy jak Andrzej Sekuła, Dariusz Wolski, Andrzej Bartkowiak, Sławomir Idziak czy Janusz Kamiński.

Czerpiąc z Polski, odnaleźli się w Hollywood tacy twórcy muzyki jak Jan A.P. Kaczmarek i Abel Korzeniowski. Swoje miejsce za oceanem znalazła też, mieszkająca od 15 lat w Nowym Jorku, Małgorzata Turzańska, kostiumografka m.in. horroru SF „Stranger

Things”. Do amerykańskiego świata filmu udało się jej trafić, pomijając „etap zmywaka”, permanentnego doświadczenia emigracji lat 80. i 90. Ona zaczęła od nowojorskiej szkoły filmowej, do której trafiła po studiach w Pradze i pobycie w Londynie. W wywiadzie dla „Vouge’a” wspomina zimny prysznic, jakiego doświadczyła po przyjeździe. Okazało się, że wszyscy są „tak samo utalentowani albo i bardziej”. I wszyscy ciężko pracują. Co więc pozwoliło jej się przebić? Musiała zrozumieć, co wyróżnia ją od innych, i okazało się, że polskość, wschodnioeuropejskość są jej atutem. Dają filtr, którego nie mają inni, oznaczają umiejętność wykorzystywania wyobraźni „do wymyślania dużych rzeczy z bardzo małych środków”.

I jeszcze jedno – ani w sferze zawodowej, ani prywatnej Małgorzata Turzańska nigdy nie czuła się kimś mniejszym czy gorszym z tego powodu, że jest Polką. – Przeciwnie, to mój plus! – mówi.

Premiera filmu „Pollywood” w HBO i HBO GO 14 czerwca. W serwisie film będzie dostępny od rana. Premiera na antenie HBO o godz. 22.10.

Demogorgony kontra zaradni Amerykanie

Przestawiać Netfliksowy serial „Stranger Things” jako nowość? Od pierwszej serii, w roku 2016, Łukasz Adamski tłumaczy na tych łamach, co w nim jest świeżego i dobrego. Ale pandemia zmieniła nawyki wielu ludzi. Ja wszedłem na Netfliksa dopiero teraz. Możliwe, że jak wielu Polaków.

Miałem przez chwilę pokusę podważyć cudzy entuzjazm. Zobaczyłem początek pierwszego odcinka. W scenerii laboratorium naukowiec ucieka przed niewidocznym potworem (demogorgonem!). Potem poznałem dziecięcych bohaterów z nie za wielkiego miasta w Indianie, czterech rezolutnych „frajerów”, lekceważonych przez szkolnych kolegów. Którzy zapewne ocalą Hawkins, a może świat... I refleksja: tu kalka goni kalkę. J.J. Abrams już to wszystko nakręcił.

Tylko że... Kalki są tu stosowane świadomie. A kiedy mamy za dużo grozy, dają nam odetchnąć, podsuwając problemy 12-latków, także ich nieco starszych braci oraz siostr. Serial ma jedną cechę. Jest cholernie empatyczny. Niby znamy: strach rodziców o dzieci, pierwsze miłości, samotność i poszukiwanie domu. Ale co z tego, skoro jest to opowiedziane lekko, bez fałszywego tonu? Nawet jeśli czuję się emocjonalnie szantażowany, ulegam bez żalu.

Pierwszy sezon dzieje się w roku 1983, drugi w 1984, trzeci w 1985. Dziecięcy aktorzy dorastają na naszych oczach. Podkreślano, z Adamskim na czele, że serial rozbudził sentymenty do lat 80. Stare dobre czasy, cofnięcie się do ery Reagana pojawiającego się na wyborczych plakatach to podobno klucz do trumpowskiej rewolucji.

Rozumiem, że to fascynacja gadżetami (znanymi i Polakom z tego pokolenia), muzyką, wyglądem ludzi. Politycznie to mniej proste. Tajemnicza agencja rządowa działająca w warunkach zimnej wojny, w pierwszej serii, zgodnie zresztą z prawidłami gatunku, nie waha się eksperymentować na dzieciach i zabijać. W drugiej jest bardziej chwiejna w złych odruchach, ale to ona sprowadza na Hawkins nieszczęście. Trudno to uznać za reklamę reaganowskiej polityki. Raczej

krytykę – w duchu lewicowym lub libertariańskim, gdzie „wielki rząd” to wielkie zło

Mamy za to mit amerykańskiej prowincji z Midwestu, zaradnej, zdolnej do samoobrony, zamieszkiwanej przez dobrych ludzi. Chłopcy, acz uważani za nerdów, są uosobieniem pasji poznania wiedzy. Ćpający po stracie córki szeryf to facet o wielkim sercu. Matka i brat porwanego dziecka walczą o niego jak lwy, zyskując sojuszników. Są i cienie: szkolna przemoc, odrobina męskiego macyzmu na pokaz. Ale główny maczo Steve Harrington też okazuje się chłopakiem dzielnym. To traktat o amerykańskich cnotach.

Nie wiem, jak Amerykanie prowadzą dziecięcych aktorów, że ci grają jak dorośli? Pokazując, że w wieku lat 12 też miewa się dramaty. Trzeba by wymienić wszystkich. Wyróżniam Gatena Matarazzo jako Dustina. Ileż tragicomicznego talentu w tym wyrostku, narwanym, drażniącym, poszukującym.

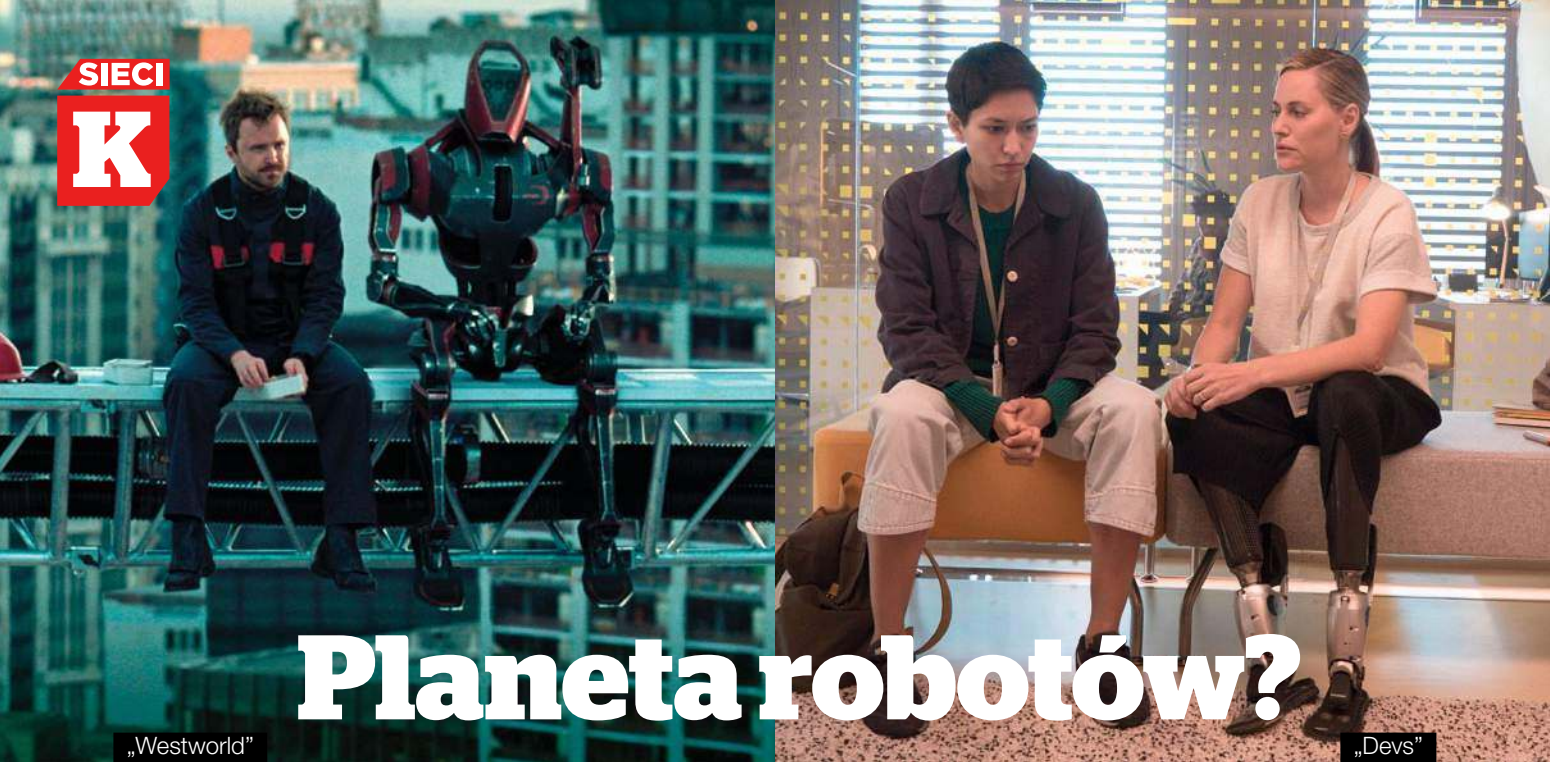
A obok wielka Winona Ryder jako pani Byers, przejmująca w roli matki broniącej syna. Modne aktorki po latach odnajdujemy w serialach. Mamy świetnego Davida Harboura



jako szeryfa Jima Hoppera. Empatycznego Charliego Heatona jako Jonathan Byersa (młody aktor kojarzy mi się ze wspaniałym horrorem „Tajemnica Marrowbone”). I demonicznego Matthew Modine’a jako złego człowieka, doktora Brennera.

Kończąc, wracam do trzeciego sezonu. Jest lepszy, jakby autorzy, bracia Dufferowie, dworowali sami z siebie. No i bardziej klasyczny, bo tym razem antagonistami dziecięcych Bondów są jednak Rosjanie, nie amerykański rząd.

Piotr Zaremba



„Westworld”

„Devs”

Planeta robotów?

Zatrzymał się świat. Globalna gospodarka pogrążona w globalnym kryzysie. Trwa spór, czy bardziej szkodliwa jest epidemia, czy drakońskie ograniczenia i pospiesznie wprowadzane technologie. Gdy katastroficzne science fiction trwa za oknem, warto spojrzeć, jak ostrzega przed nim sztuka filmowa



KLARA PAWLICKA

Kino od zawsze pełni funkcję lustra namiętności, ambicji i problemów, nierzadko prezentując wnioski bardziej wnikliwe niż diagnozy świata nauki. Czasem ostrze filmowych metafor zyskuje nową wartość przez szczególne okoliczności odbioru, dające odmienną perspektywę. Do prób zrozumienia mechanizmów, w których dziś żyjemy, warto wykorzystać klucz filmowy. Zwłaszcza gdy pasuje tak znakomicie jak dwa nowe serie HBO: „Devs” i „Westworld”.

GLOBUS I SOCZEWKA

„Devs” to najnowsze dzieło Alexa Garlanda, autora serialu „Ex Machina”, kameralnego science fiction pełnego

rozważań o moralnej konsekwencji eksperymentów ze sztuczną inteligencją. Także w „Devs” schemat gatunkowy staje się punktem wyjścia do refleksji etycznej. Oto młoda programistka, nie wierząc w oficjalną wersję zdarzeń, bada okoliczności zaginięcia swojego chłopaka. To, co zaczyna się jak rasowy kryminał noir, okazuje się pretekstem do śmiałego komentarza na temat pokus i konsekwencji zatracenia się w pysze ślepego podążania za technologicznym postępem.

„Westworld” to najdroższa i najbardziej spektakularna produkcja HBO – planowana na następcę giganta wśród seriali, czyli „Gry o tron”. Opowieść o futurystycznym parku rozrywki, w którym służące uciechom klientów roboty buntują się, ma filmowych antenatów nie tylko w filmie Michaela Crichtona z 1973 r., lecz także w „Łowcy andROIDów” Ridleya Scotta według powieści Philipa K. Dicka. „Westworld” ma formę narracji łamigłówkowej (puzzle movie), pełne zrozumienie fabuły stanowi pewne wyzwanie.

I choć twórcy „Devs” i „Westworld” zadają swym widzom te same pytania,

odpowiadają na nie inaczej. „Devs” to opowieść skupiona wokół jednego wątku w firmie zajmującej się nowymi technologiami. Już miejsce akcji – gęsty las na odludziu – podkreśla profil serialu: wydestylowany, osobny od reszty świata. W „Westworld” odwrotnie: mnogość wątków, postaci i linii narracyjnych. Skala mikro i skala makro. To, co w „Westworld” obserwujemy z globalnej perspektywy, w „Devs” oglądamy przez lupę. Które spojrzenie głębiej wnika w istotę problemu?

ŁUDZIE I ROBOTY

Trzeci sezon „Westworld” znacząco różni się od dotychczasowych. Wcześniej przez mieszkankę westernu i science fiction twórcy wskazywali skutki porzucenia moralności na rzecz zatracenia się w brutalnych, hedonistycznych rozrywkach. Szekspirowskie „gwałtownych uciech i koniec gwałtowny” powracało niczym złowróżbny refren. Sezon trzeci owe mroczne przepowiednie realizuje. Jak u Dicka/Scotta roboty w ludzkiej powłoce obudziły się

świadome zniewolenia i pragnące wolności. Teraz wydostajemy się poza park rozrywki i wkraczamy w świat człowieka. Okazuje się on wizją podobną do ukazanej w serialu „Black Mirror” (Netflix), gdzie nowe technologie przynoszą nowe pytania, etyczne zagrożenia i społeczne wyzwania. Aplikacje egzekwujące prawo, psychoterapia w formie symulacji zmarłego przyjaciela – to tylko niektóre drogi uzależnienia. Od technologii czy od jej władców?

Kluczowym pomysłem serialu nie są kolejne obszary rozwoju technologii, lecz wskazanie roli, jaką przypisano człowiekowi. Okazuje się, że park, w którym ludzie niewolą roboty, nie jest jakimś dziwnym miejscem, w którym nie działają zasady tego świata. On jest tego świata miniaturą. Diagnoza jest więc okrutna: oto my, ludzie, jesteśmy takimi samymi niewolnikami. Niczym więcej niż robotami realizującymi zadania, do których zostaliśmy zaprogramowani. Pozbawieni możliwości odstępstw od losu, który nam wyznaczono. Ograniczeni do wykonywania przypisanej nam funkcji. Ujarzmieni.

„Westworld” i „Devs” zadają pytania: Co stanie się, gdy zdamy sobie sprawę z owego zniewolenia? Czy zapagniemy wolności? Czy stać nas na bunt? Czy w epoce globalnej bazy danych wkraczającej we wszystkie dziedziny życia podjęcie jakiegokolwiek samodzielnej decyzji jest jeszcze możliwe? To sedno obu historii – pytanie o wolną wolę. Oba serie ukazują świat, w którym ów gwarant człowieczeństwa zostaje nam odebrany. Zaawansowane komputery i wszechobecne bazy danych sprawiają, że przewidziano każdy nasz ruch. Każdą decyzję, jaką kiedykolwiek podejmiemy. A skoro informacje o wszystkim, co zrobiliśmy, robimy i robić będziemy, zostały już obliczone i zapisane, gdzie miejsce na naszą podmiotowość? Na możliwość wyciągnięcia ręki w stronę dobra zamiast zła? „Devs” rozważa to ze spokojnym namysłem, „Westworld” stawia na przegodę. Bohaterowie „Devs” dyskutują o teoriach deterministycznych czy idei wieloświata. „Westworld” prezentuje koncept komputera – schizofrenika, który posiadając dane na te-

mat każdego człowieka na Ziemi, jest w stanie obliczyć wszelkie możliwe ścieżki czekającej go przyszłości.

BOGOWIE I MASZYNY

A co się dzieje z ową gigantyczną bazą danych? W obu serialach wiedza ta pozostaje w rękach małej grupy osób. Spokojnych, pozbawionych wahań, uczuć. To czyni ich nieludzkimi. Skoro posiadacz wszechwiedzy nie jest już człowiekiem, kim jest? Bogiem? Boga przeciwieństwem? Siegnięcie po nieograniczoną wiedzę okazuje się wersją grzechu pierworodnego. Wszakto podszepnięte przez szatana pragnienie poznania sprawiło, że Adam i Ewa złamali boży nakaz i zerwali owoc zakazanego drzewa. To samo pragnienie kieruje bohaterami zaglądającymi w skalkulowaną przez komputery przyszłość. Pierwsi ludzie chcieli wyjść ponad swą naturę i stać się równymi Bogu, za co zostali z rajskiego ogrodu wygnani. Co czeka ich współczesne odpowiedniki?

W „Devs” wiedza o przyszłości staje się źródłem mrocznej epifanii – bohaterowie zdają sobie sprawę z własnej niemocy. Skoro żadna decyzja nie należy do nich, mogą jedynie przyjąć rolę biernych obserwatorów. W „Westworld” – przeciwnie: wiedza staje się źródłem potęgi. Jej posiadacz mianuje się zbawcą, który zaprowadzi porządek w chaosie (jednym z jego założeń jest – jakże znajomo brzmiąca – depopulacja). Przejmie kontrolę nad ludźmi, którzy nie potrafią podejmować właściwych decyzji, oraz wyeliminuje tych, których nie uda się podporządkować. Wiedza posłuży mu nie tylko do poznania przyszłości gatunku ludzkiego, lecz także do jej kształtowania. Wszechwiedza da wszechmoc.

Brzmi groźnie? Cóż, całkiem sporo takich mechanizmów zadomowiło się już w naszym życiu. Preferowane reklamy w mediach społecznościowych, które na podstawie historii naszej wyszukiwarki decydują, jakich produktów „chcemy”, spoty wyborcze, które wyświetlają się nam w zależności od naszych poglądów politycznych... W Chinach bazy danych służą do uznawania ludzi za niebezpiecznych lub uniemoż-

liwiają im zdobycie pracy. Dystopijna wizja twórców staje się rzeczywistością.

WOLNOŚĆ I KONTROLA

W obu serialach pojawia się motyw jednostek silniejszych, ludzi nieujarzmionych, którzy wciąż zachowali wolną wolę, wciąż myślą samodzielnie. Zakłócając tym działanie systemu, czeka ich pranie mózgu lub eliminacja. By znów panował porządek.

Czy cokolwiek jeszcze od nas zależy? Jesteśmy ofiarami manipulacji komputerowego boga, czy też sami dobrowolnie oddajemy mu swą wolność i prywatność w zamian za uporządkowanie rzekomo pogrążonego w chaosie świata? Roboty ze zniewolenia dążą ku wolności, my zaś w kierunku przeciwnym. Spójrzmy na pandemiczne regulacje. We Francji każde wyjście z domu należy najpierw zgłosić na rządowym portalu, nad ulicami krążą drony liczące liczbę ludzi, 28 maja francuski parlament zatwierdził aplikację służącą do śledzenia osób zakażonych wirusem. A jednocześnie efekt izolacji – upadający przemysł, miliony bezrobotnych, zerwane społeczne relacje, rodziny w kryzysie – co tu jest chaosem, a co porządkiem?

„Odpowiednia informacja w odpowiedniej chwili może być najgroźniejszą bronią” – mówi bohater „Westworld” w rozmowie o nadziei, którą świadomość zniewolenia ludziom odebrała. Wszak nadzieja to podstawa społeczeństw. „To fałszywa nadzieja” – odpowiada antagonist. Nadzieja, której chwytał się nie niczym szczury usiłujące się utrzymać na powierzchni wody, skazane na klęskę. Czy w nowym świecie mamy szansę na ocalenie wolności i podmiotowości? Żaden z seriali nie daje prostej odpowiedzi. Ale w obu wybór okazuje się aktem odwagi. Bohaterstwa. Buntem. Zachowaniem człowieczeństwa. W finale „Westworld” słyszymy „Brain Damage” Pink Floyd: „Podnosisz ostrze, wprowadzasz zmiany, reorganizujesz mnie, aż stanę się normalny, zamykasz drzwi i wyrzucasz klucz”

Wciąż jeszcze możemy ten klucz podnieść i drzwi otworzyć. Czy wystarczy nam odwagi?



Wojciech Stanisławski

Konfederaci kontra KLD

Ta powieść podejmuje fantastyczny temat, wahając się jednak mocno między staroświeckością formy a publicystyczną doraźnością

Profesor Wojciech Kudyba miał intuicję, której pozazdrościć mu mogą autorzy bestsellerów: konfederacja barska, ucukrowana i odległa, jest największym może tematem historycznym do opowiedzenia przez powieściopisarza, którego zajmują dzieje Polski. Tematem, by tak rzec, dla Sienkiewicza, tyle że nasz noblista nie mógł wziąć go na warsztat, pisząc o „prawnikach Skrzetuskiego”. Mniejsza już, że szczęśliwy wiek XIX nie znał fenomenu sequeli – nawet gdyby znał, temat był zbyt niecenzuralny. Na kartach „Potopu” dało się jakoś zamaskować przed nie nazbyt dociekliwą carską cenzurą popielając Wilno moskiewskie zagony jako „Septentrionów”, najeźdźców z północy, ale w „Prawnikach Skrzetuskiego” taki numer by nie przeszedł: w czasach barskich Rosja jest głównym rozgrywającym i wrogiem zarazem, nie da się jej schować pod żaden pseudonim ani sukno.

Temat to dla Sienkiewicza, bo szlachetny i szlachecki, bo można nie gorzej niż Michał Wołodyjowski żonglować całym instrumentarium szabli i szpady: szarże, sztychy, karabele, i konie rozstawne, i rotmistrzowie, i zajazdy. Konfederacja barska to ostatni zryw zbrojny w swojej formie tak bardzo XVII-wieczny, choć przecież wiek późniejszy. A do tego jeszcze filmowe tło: równiny wielkopolskie, błota Podlasia, jary naddniestrzańskie i step ukraiński, a w tle śniegi Syberii i seraje Porty. Warszawa w perukach i podgoleni patrioci, Repnin i klasztory, farmazoni i szalbierze, wielka gra Petersburga, Paryża i Wiednia – jak, jak to się stało, że od 150 lat, od czasów „Pamiętek Soplicy” i sztuk Słowackiego, nie napisano o konfederacji barskiej niczego na serio?

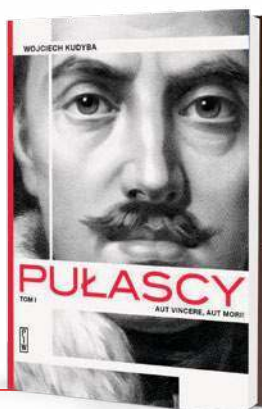
To jest – pisano, tylko w esejach i rozprawach. Też niebezpiecznie, bo nawet jeśli wziąć w nawias malowniczość szabli i szpady, jeśli mówić chłodnym językiem historyka idei, to konfederacja barska jest załącznikiem, z którego wyrastają

najważniejsze polskie napięcia kolejnych 250 lat. Jak skuteczniej można się wybić na niepodległość: w trybie pospolitego ruszenia, żarliwego, ale ograniczonego do własnych sił czy budowania międzynarodowej koalicji sprzymierzeńców, potężnych, ale nierychliwych i nieraz zawodnych? Który przywódca Polski z prawdziwego zdarzenia nie musiał rozstrzygać tej alternatywy?

Jeszcze mniej oczywista była odpowiedź na pytanie dotyczące polityki wewnętrznej. Barzanie stawiali przeciwko królowi, który – owszem, szukając oparcia w carycy i w Republice – usiłował na różne sposoby, mówczo i „pozytywistycznie” modernizować kraj. Alternatywą, którą proponowali Pułascy & Co., był powrót do dawnego obyczaju i cnót ojcowskich – fundamentu, na którym przydałoby się jednak coś zbudować: ot, choćby kilka ludwisarni, Komisję Edukacji Narodowej, a może i jakieś przywileje dla stanu trzeciego, może głos miast w Sejmie? Oczywiście nie mieli przestrzeni ani potencjału, żeby opracowywać własne projekty reform – ale nie da się ukryć, że te, nad którymi debatowano w Warszawie, odrzucali w całości, w imię tego co dawniej. Upraszczam ich dylematy, o których najwięcej pisał Władysław Konopczyński, a najcelniej, w studiach o „sarmackim republikanizmie”, Jerzy Michalski, ale warto być świadomym

złożoności i ciężaru tamtych wyborów z końca XVIII w., wyborów, w których ani „perukarze”, ani „sarmaci” nie mieli do końca racji.

„Pułascy” Wojciecha Kudyby na pozór omijają łukiem te rozterki, skupiając się na malowniczości i pięknie szarży. Akcja przenosi się z Warszawy pod Warę, to na Podole, to na Litwę, bohaterowie stale są w siodle, robią szablą, protestują, czynią znak krzyża lub „kradną pocałunek” ukochanej. Dziwnie się czułem, czytając powieść wydaną w roku 2020, która tak wiernie czerpie z poetyki powieści historycznej z roku 1920 lub bodaj dawniejszej, która



Wojciech Kudyba, „Pułascy. Aut vincere, aut mori”, PIW, 2020

oferuje narrację jak z Sienkiewicza, może z Weyssenhoffa? Która – to drugie spostrzeżenie – tak bardzo w swojej klarowności, prostoliniowości, przejrzystości motywacji bohaterów usiłuje być powieścią dla 12-latków.

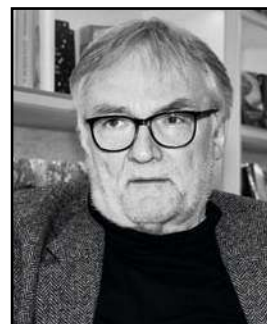
Czy to zarzut? Nie, bynajmniej nie zależy mi na tym, by powieść o barzanach była „odważna” i „transgresyjna”, bluźniercza na miarę premier Teatru Powszechnego. Chciałbym jednak, by oddana w niej została złożoność świata, idei i pojedynczego człowieka, by w barzanach pokazać ludzi podobnego kalibru co bohaterowie opowiadań historycznych Iwaszkiewicza, powieści Władysława Terleckiego. W „Pułaskich” zbyt często trafiam na kardynalny w moich oczach błąd, jakim jest „wygłaszanie referatów”, czyli podawanie w wypowiedziach bohaterów książki faktów, które z pewnością znane były współczesnym, mogą ich za to nie znać współcześni czytelnicy (osobliwie 12-letni), trzeba więc je przypomnieć, bodaj we wtrąceniu... Starosta warecki w Roku Pańskim 1768 z pewnością nie musiał informować żony, że „Cerkiew pozostaje w pełnej zależności od imperatorowej” – a już z pewnością nie czynił tego zbudowanym z podobnych słów zdaniem.

Mniejsza jednak o podobne anachronizmy. Czasem śmieszą one, kiedy Żyd w podolskiej karczmie odezwie się zniecierpliwionym głosem pikolaka z Ziemiańskiej („Panie, widuję się z panem, str. 176), czasem gorszą, kiedy dowiadujemy się, niczym w policyjnym serialu, że „Mama i siostry (...) wciąż jeszcze są w szoku” (str. 118), konia z ręką na kłosa – że zawołam z sarmacka – temu, kto nie popełnił podobnego błędu w swojej debiutanckiej powieści historycznej.

Bardziej zastanawia mnie, że „Pułascy” podejmują, jak mi się wydaje, całkiem współczesną polemikę, opowiadając się za światem tradycji i wiary, przeciw światu „postępu”. Nie twierdzę, że jest to zły wybór: tyle że w roku 1768 ani nie był tak jednoznaczny, jak choćby w 1968, ani nie był wyrażany takim językiem, jak czynią to bohaterowie powieści. Niezliczone diatryby, jakie wygłaszają, z piękną ironią, o ludziach „światłych i tolerancyjnych”, przewrotne pochwały „polskiego obywatelstwa” i „ciemnogrodu” są jak z felietonów Piotra Wierzbickiego czy Bronisława Wildsteina – ale nie jak z pism Generalności konfederackiej! (by się o tym przekonać, starczy sięgnąć po kilka zbiorów źródeł). Również sadystycznemu dowódcy na żołdzie rosyjskim, Kasprowi Lubomirskiemu, włożono w usta frazy cokolwiek nadto współczesne: kiedy, drwiąc z wtrąconych do ciemnicy „panów Polaków” napawa się, jak to „w wilgotnych piwnicach robactwo i pleśń z wolna zżerają ich świat, całą tę nienormalność: przestarzałe nawyki, głupie zwyczaje, zmurszałe zabobony” – zgaduję, że nie Lubomirskiemu cytat jest wytknięty, że ta osławiona „nienormalność” skądinąd pochodzi.

Można i tak, ale czy do tego rodzaju szczytków trzeba aż pisać powieść? ▀

Jerzy Pilch (1952–2020)



Kiedy ukazują się te słowa, wiadomość o śmierci Jerzego Pilcha 29 maja została już przekazana przez wszystkie „szybkie” media. Przypomniano jego powieści, zacytowano frazy z jego felietonów, wspomniano o jego słabościach i o wytrwałej walce z chorobą. Zwalnia to od obowiązku pisanja noty jak z Wikipedii, wyliczania książek i zbiorów. Kilka podstawowych tytułów, fraz i dat trzeba jednak przypomnieć.

Polonista z wykształcenia, był przez kilkanaście lat pracownikiem naukowym UJ, krytykiem i redaktorem – ale Polska zaczęła go słuchać w połowie lat 80. Z początku słuchać, nie czytać – debiutował bowiem w „piśmie mówionym”. Wobec rygorów cenzury postanowiono w roku 1983 stworzyć „Na Głos”, którego autorzy występowali przed publicznością w kapitułach krakowskich dominikanów lub w tamtejszym KIK. Tam debiutował jako prozaik i Jerzy Pilch.

Chciałoby się napisać, że „zaczęto go słuchać na serio”, ale nie sposób: ładunek groteski, dowcipu i przewrotności, jaki prezentował Pilch, był niepowtarzalny. „Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej”, wydane w Londynie przez emigracyjny Puls, niemal natychmiast otrzymały Nagrodę Kościelskich, pół roku później felietony Jerzego Pilcha pojawiły się w „Tygodniku Powszechnym”, w 1993 r. ukazała się pierwsza proza serio, pod równie przewrotnym tytułem, jak debiut: „Spis cudzołóżnic” rychło zresztą trafił na duży ekran. Potem było już tylko lepiej.

Lepiej? Na pewno więcej. Przyszło wiele powieści, tak pięknych, jak „Tysiąc spokojnych miast” (1997), tak przejmujących, jak „Pod Mocnym Aniołem” (2000) czy „Marsz Polonia” (2008). I setki felietonów, które z czasem stały się notacjami dziennika: jednego z najbardziej przejmujących dzienników choroby i związanej z nią świadomości odchodzenia, gaśnięcia, upadku, jakie zna współczesna polska literatura.

Czytelnikom o bardziej tradycyjnych upodobaniach i poglądach nie było z Pilchem zbyt po drodze (i pewnie – z wzajemnością): mniejsza już o tak niepopularne na prawicy Nagrody Nike i Paszporty Polityki, mniejsza o wolty kariery (z „Tygodnika Powszechnego” – „Tygodnika” sprzed wielu lat, jeszcze spod znaku Turowicza, Błońskiego i Miłosza – do „Hustlera”?), bo tak naprawdę potwierdzały one tylko nieoddzielne od pisarstwa Pilcha upodobanie do przewrotności, drwiny, wywracania na nice. Alergicznie reagował na powagę, na „uświęcone formy”, na sztywne zwroty – i wiele formuł łamał, nie tylko w języku.

A teraz można już zostawić te przekomarzenia, te sztychy. Została wielka proza: obrazy dzieciństwa w Wiśle (nie ma epitaforium, które nie wspomniałoby o jego protestanckim rodowodzie!), dorosłości w Warszawie – i samotnego człowieka, wszędzie świadomego własnej ułomności. ▀

Diduch i czerwień bławatka

Gdy myślimy dziś o ziołach, przychodzą nam na myśl: mięta, melisa, rozmaryn czy rumianek. A te mniej znane, skromne chwasty łakowe? Jeszcze nasze babcie bezbłędnie odnajdywały wśród splątanych roślin to, czego akurat potrzebowały – podbiał albo rdest, łopian albo bylicę pospolitą. Zdaje się, że zapomnieliśmy o mocy, która ukrywa się tak blisko nas – zauważa Patrycja Machalek w książce „Magia polskich ziół” (wyd. Znak).

Autorka proponuje przyjrzenie się bliżej 30 niepozornym roślinom. – Może się okazać, że skromny kwiatek, który rośnie pod płotem sąsiadów, to świetne rozwiązanie na twoje problemy z cerą albo że niezauważane do tej pory liście przyniosą ulgę w problemach żołądkowych – dodaje.

Oczywiście w poszukiwaniu zapomnianych czy niedocenianych ziół

dobrze jest udać się w miejsca, jak najmniej skażone cywilizacją, ale naukę rozpoznawania „bohaterów” książki można zacząć w każdym miejscu. Trzeba się tylko dobrze rozejrzeć.

A gdy już zostanie wytropiony m.in. chaber bławatek, rdest ptasi, nawłóć pospolita czy wiązówka błotna, warto spojrzeć nieco wyżej, by zobaczyć np. czarny bez. Patrycja Machalek przypomina, że działa on napotnie i przeciwgorączkowo, łagodzi ból gardła i stany zapalne górnych dróg oddechowych, ma lekkie działanie moczopędne i detoksykujące, pielęgnuje cerę dojrzałą, a jego owoce działają przeciwbólowo... ale pisze nie tylko o leczniczych właściwościach.

Swich łakowych i przydomowych „bohaterów” przedstawia również, przywołując anegdoty, wiersze, podania. Krzewu czarnego bzu absolutnie nie powinno się ścinać, bo kryć się w nim może Diduch, a tego stwórka lepiej nie drażnić. Wierzyli w niego Huculi, ale jego postać była powszechnie znana przedchrześcijańskim Słowianom – zresztą po chrystianizacji długo jeszcze mieszkał pod krzakami. Nazywany też Dydychem lub Didem był niewielkim żyjątkiem, o sporych rozmiarów głowie, wysokim ledwie na pięćdziesiąt, czyli ok. 20 cm. W gospodarstwie pełnił niejednoznaczną funkcję. Zadomowiwszy się w korzeniach bzu czarnego, sprzyjał mieszkańcom obejścia, współpracując przy tym z innymi domowymi duszkami. W zamian za opiekę wystarczyła mu strawa, ale bywało, że się buntował i zaczynał szkodzić. Żeby go uspokoić, wystarczyło spalić w ogniu słomianą kukłę, wypowiadając odpowiednie formuły zaklęć; co ciekawe – należało to zrobić po kołędzie...

O tym, co można zrobić z kwiatostanów i owoców czarnego bzu (bardzo ważne: koniecznie trzeba je najpierw poddać obróbce termicznej – suszeniu, gotowaniu lub smażeniu, bo surowe zawierają toksyczne dla organizmu glikozydy cyjanogenne), autorka pisze bardzo obszernie. Podobnie jak i o innych roślinach. Wśród nich o chabrze bławatku, który wraz z makiem jeszcze nie tak dawno dominował w polnych bukietach, a który w „Magii polskich ziół” skojarzony został m.in. z Fryderykiem Wilhelmem I (i błękitem pruskim) oraz... czerwienią, którą z jego płatków są w stanie wydobyć... mrówki.

Jolanta Gajda-Zadworna



Fot. Jürgen Sieg

SŁODKO-SŁONY

Na zimne wieczory

ANNA MONICKA

WILCZYM OKIEM

Kawa z żołądźmi

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Zimny maj już za nami, zimna Zośka i ogrodnicy rozpanoszyli po wszystkich dniach, zahaczyli nawet bezczelnie o czerwiec, dając nam zimne noce. A przecież te czerwcowe powinny być najpiękniejsze, najcieplejsze, pachnące jaśminowcami. Tymczasem ja tylko raz zrobiłam w tym roku chłodnik i dwa razy ukreśliłam lody. Nie ma chętnych. Zamiast chłodnych cytrynowo-miętowych napojów mój organizm domaga się wody z imbirem i pieprzem kajeńskim, kawy z kardamonem albo cynamonem, a wieczorami jeszcze nie zdarzyło mi się mieć ochoty na chłodne vinho verde ani prosecco, które tak dobrze zazwyczaj smakują na tarasie przy świecach. Ale romantyczną atmosferę pewnie by zakłóciły zimowe filcowane bambosze, które schowałam uroczyście w kwietniu, a wyjęłam trzy dni temu, bo miałam już sine nogi i zaczęłam kichać.

W taki zdradziecki czas warto się rozgrzewać od środka. Mnie zdecydowanie najlepiej robią dania tajskie czy hinduskie. Lekkie, z dużą ilością warzyw i owoców, doprawione pachnącymi przyprawami, które poprawiają krążenie i ułatwiają spalanie, bo rozpalają wewnętrzny ogień.

Najchętniej przygotowuję zupy, od razu w wielkim garze, bo to, czego nie zjemy w dzień czy dwa, pasteryzuję w słojach i wyciągam, gdy latem dotrze do nas znienacka jakiś front atmosferyczny i nagle ochłodzenie.

Ostatnio robiłam dahl z maleńkiej fasolki z pomidorami oraz absolutnie genialną złotą zupę mulligatawny z czerwonej soczewicy. Robi się je obie błyskawicznie, w przypadku dahlu trzeba tylko pamiętać o namoczeniu fasolki kilka godzin wcześniej.

Początek jest podobny – na roztopione masło gee wrzucamy posiekaną cebulę, zgnieciony czosnek i spory kawałek imbiru, wsypujemy mielone chilli, kardamon, kolendrę, kumin, kurkumę, listki lub gotową przyprawę curry i podsmażamy wszystko na niewielkim ogniu, aż zapachy ogarną cały dom. Potem w przypadku dahlu dodajemy dwie puszki pomidorów pellati, a do mulligatawny – pokrojone jabłko, marchewkę, ziemniaki i znów podsmażamy, podlewając bulionem. Teraz wielki finał – do czerwonego dahlu wsypujemy dobrze opłukaną fasolkę, do złocistej mulligatawny – soczewicę. Dolewamy więcej bulionu warzywnego i gotujemy co najmniej pół godziny. Doprawiamy solą, pieprzem, ewentualnie ostrą papryką. Dahl podajemy z kleksem śmietany, mulligatawny – miksujemy z mleczkiem kokosowym i sokiem z limonki. 

Po co pić lavazzę i przegryzać herbatnikami, skoro można skorzystać z darów lasu?

Zaparzyć kawę z żołądźmi, posłodzić sokiem brzoźowym lub miodem z dzikiej leśnej barci, a jako przekąskę wybrać kwaskowate liście szczawiku zajęczego.

Kawa z żołądźmi dębowych była stosowana w okresach niedoborów zaopatrzeniowych, często w czasie wojen. Okazuje się jednak, że nie jest ubogim substytutem naparu z ziaren *Coffea arabica*, lecz napojem szlachetnym, mającym wiele zalet zdrowotnych. Nie zawiera kofeiny, jest bogata w magnez, potas, wapń, błonnik i nienasycone kwasy tłuszczowe. Podobny napój robiono także z bukwii, czyli nasion buka. Tłoczono z nich także olej i, podobnie jak z żołądźmi, sporządzano mąkę.

A szczawik zajęczy? To niewielkie, przypominające trójlistną koniczynę roślina występujące powszechnie w runie różnego typu lasów. Szczawik jest kwaśny, zawiera bowiem kwas szczawiowy. Surowy jest smaczny i orzeźwiający, nadaje się także na zupy, dodatki do sałatek lub po prostu jako przekąska. Żucie szczawiku jest dobre dla dziąseł.

Podobny smak do szczawiku zajęczego mają liście bukowe. Do jedzenia nadają się młode, świeże i jasnozielone liście wiosenne, później stają się bardziej lykowane. Dawniej przyrządzano z nich potrawy takie jak z kapusty i szpinaku, lecz liście bukowe można spożywać także na surowo.

Podobne właściwości spożywcze, smakowe i zdrowotne jak czosnek mają wiosenne liście czosnku niedźwiedziego i mniej znanego czosnaczku pospolitego.

A jako deser, a także dla utrzymania higieny jamy ustnej, może posłużyć brylka żywicy do żucia. Żywicy nie z drzew iglastych, która choć pięknie pachnie, jest gorzka (zdarzają się amatorzy tego smaku), lecz z liściastych drzew owocowych, np. z dzikiej czereśni, zwanej też wiśnią ptasią lub trześnią. Jadalne są także niewielkie, gorzko-słodkie owoce trześni. Trześnia nie jest drzewem rzadkim, lecz występuje w rozproszaniu i pojedynczo. Najłatwiej wypatrzyć ją wiosną, kiedy rozkwita białymi kwiatami, tu i tam rozświecłając zieleń lasu.

Chociaż te leśne przysmaki traktowane są dziś jako ciekawostka i dowód na pomysłowość naszych przodków, coraz częściej docenia się walory smakowe oryginalnych produktów, a badania naukowe potwierdzają ich korzystny wpływ na zdrowie. 



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Męczennicy kultowej listy przebojów i guru przewodniej roli piosenki

Wylały się ostatnio rzeki łez nad kultową radiową Trójką i jej równie kultowymi dziennikarzami, którzy tam przepracowali – niektórzy – czasem po kilka dekad. Oplakiwano tych, co rozpoczynali często karierę w latach 80., w stanie wojennym. Cierpieli i „grali” z reżimem w rytm komunistycznej propagandy, w czasie godziny milicyjnej, gdy innych zamykano w obozach internowania, a ich kolegów dziennikarzy wyrzucano na bruk z wilczym biletem. Zasiadali w kultowym radiowym studiu w czasie militaryzacji rozgłośni, „ciemnieniu” wojskowym butem.

Rzecz jasna przypomnienie o tym mogłoby bardzo pogorszyć im nastrój i stan zdrowia. Przez lata bardzo się uwrażliwili, zmienili w mimozy o duszy romantycznych marzycieli. Postaram się więc nie przypominać detali, ale odświeżyć nieco wiedzę o głębie, na której Trójka wyrosła. To znamienne, że trójkowe gwiazdy pukały do rozgłośni, gdy inni dziennikarze albo podpisywali lojalki, albo byli wyrzucani przez reżim

z kraju. Wojskowe kadry ludowej ojczyzny od początku odgrywały w radiofonii PRL strategiczną rolę.

PACYFIKACJA POLAKÓW

Wraz z jednostkami bojowymi wkraczającej do Polski Armii Czerwonej Ludowe Wojsko Polskie pierwsze budowało przekazy propagandowe, mające osłabiać i neutralizować opór i niechęć polskiego społeczeństwa wobec sowietyzacji kraju i obecności sowieckiej armii na polskich ziemiach. Opór społeczny po zakończeniu wojny był wielki. W pamięci Polaków wciąż żyły wydarzenia związane z tragicznymi wypadkami z 17 września 1939 r. i sowiecką agresją na Polskę czy zbrodnią katyńską. Wojskowe jednostki propagandowe miały ten opór przełamać. Nadzieje pokładano w ich sprawnej organizacji i charakterze zadań informacyjnych, które wiązano z siłą radia.

Choć w czasie wojny zabronione było posiadanie prywatnego radioodbiornika, a na ulicach miast wisiały

tzew. szczekaczki – głoszące propagandę władz okupacyjnych, po wojnie radiofonizacja postępowała szybko. Podstawą prawną utworzenia Przedsiębiorstwa Państwowego Polskiego Radia (PPPR) był dekret Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z 22 listopada 1944 r., który stanowił pierwotny „wehikuł” całego prawa budowanego w Moskwie dla Polski.

Na czele PPPR, które pod względem technicznym podlegało bezpośrednio Resortowi Komunikacji, Poczty i Telegrafu, a programowo-ideowym i finansowym Resortowi Informacji i Propagandy, stał od listopada 1944 r. do 1951 r. Wilhelm Billig. Jako przedwojenny komunista w czasie wojny pracował w sowieckim radiu. Miał częste i bliskie kontakty z moskiewskimi władzami, sprowadzał z ZSRR sprzęt techniczny i personel do szkolenia kadr. Jak większość funkcjonariuszy Polskiego Ludowego osadzonych na kierowniczych stanowiskach był członkiem przedwojennej Komunistycznej Partii Polski, w latach 1941–1943 pracował w redakcji polskiej

radia w Moskwie i Kujbyszewie, by następnie kierować rozgłośnią Związku Patriotów Polskich. Jego zastępcą był Stanisław Nadzin. To przedwojenny urzędnik bankowy, w czasie wojny na stanowisku oficera politycznego w Wojsku Polskim w ZSRR. Innym oficerem politycznym, od 1943 r. członkiem PPR, przebywającym w ZSRR, był Leopold Szor, później pierwszy kierownik rozgłośni krakowskiej Polskiego Radia. Nadzina zastąpił w 1948 r. Jerzy Pański, od 1944 r. pracujący w sowieckim radiu w Saratowie nad Wołgą, gdzie w latach 1944–1960 mieściła się Saratowska Suworowska Szkoła Wojskowa. Bezpośrednio z ZSRR do Polskiego Radia przybył także Ryszard Radwiłowicz, zaraz po wojnie pracownik ambasady polskiej w Moskwie, później w komórce nasłuchu Polskiego Radia.

INDOKTRYNACJA I KOŁCHOŹNIKI

W czerwcu 1945 r. uchylono zakaz korzystania przez ludność cywilną z radioodbiorników, wprowadzony latem 1944 r. przez Sowietów, który do czasu instalacji własnej radiofonicznej propagandy chcieli odciąć Polaków od jakichkolwiek niepożądanych wpływów innych nadawców krajowych czy zagranicznych. Za posiadany wówczas nielegalnie radioodbiornik można było dostać najwyższy wymiar kary. Przykładów skazanych na śmierć za ukrywanie urządzeń radiowych, m.in. przez rozstrzelanie, niemal od ręki (sprawy sądowe trwały niespełna miesiąc), opisano w literaturze przynajmniej kilka. Wyroki zatwierdzano, oddalając próby o prawo łaski. Jedną z oskarżonych rozstrzelano 1 maja 1945 r. o godz. 5.30 – na cztery tygodnie przed zniesieniem zakazu posiadania radioodbiorników. Śledztwo wykazało, że oskarżona dopuściła się przestępstwa z art. 6 Dekretu PKWN z 30.10.1944 r. o ochronie państwa.

Bezpośrednio po wojnie głównym instrumentem indoktrynacji były kołchoźniki. Urządzenia, pierwotnie używane w sowieckich kołchozach, były pomyślane jako niemal idealnie trafiające w potrzeby wpajania odbiorcom propagandowych treści. Cała grupa radiowa kierowana przez Wilhelma

Billiga była w rzeczywistości pracownikami Wydziału Radiowego Resortu Informacji i Propagandy. O wszystkim decydowały kadry. Fluktuacja i ich nabór do tworzonych rozgłośni trwała w ośrodkach radiowych całego kraju. Otwierano nowe stacje nadawcze.

BLOKOWANIE I ZAGŁUSZANIE

Propaganda w miarę rozwoju była budowana w sposób coraz bardziej zakamuflowany i trudniej wyczuwalny. Już nie dominowały, tak jak na początku lat 50., audycje o sukcesach ZSRR i planu sześcioletniego, wrogich działaniach Kościoła, imperialistów i szpiegów z Zachodu. Zakazane i niewygodne treści obcych rozgłośni zagłuszano.

W 1955 r. radio relacjonowało przebieg Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie (wybudowano nawet wtedy na Krakowskim Przedmieściu tymczasową stację radiową). To Polskie Radio w czerwcu 1956 r. pierwsze przekazało swoim słuchaczom, że winnymi zająć na terenie Poznania byli „agenci wroga”, „podziemie reakcyjne” i „imperialistyczna agentura”. Ta sama rozgłośnia transmitowała przemówienie Józefa Cyrankiewicza o odrąbywaniu rąk tym, którzy na władzę ludową podniosą rękę. W październiku 1956 r. słuchacze Polskiego Radia usłyszeli słynne przemówienie Władysława Gomułki, które wygłosił na placu Defilad w Warszawie. Rok 1956 to także liczne komentarze i audycje propagandowe informujące o zdarzeniach na Węgrzech, stłumionych interwencji zbrojnej przez Armię Sowiecką.

Do połowy lat 60. radio było najskuteczniejszym i najsprawniejszym narzędziem komunistycznej propagandy. Audycje i oferta programowa były stale oceniane podczas posiedzeń poszczególnych egzekutyw KW PZPR. Materiał był dopuszczony do emisji po akceptacji przez rezydującego w rozgłośni cenzora. Kontrolowano wszystkie formy i gatunki radiowego dziennikarstwa: dzienniki informacyjne, komentarze, audycje poetyckie, słuchowiska czy teatr radiowy. Ten ostatni gatunek był pod szczególną pieczę – tutaj do emisji dopuszczał cały zespół cenzorów

analizujący poziom merytoryczny sztuki, głównie jednak rozpatrywano jej wymowę polityczną.

KAMUFLOWANIE PROPAGANDY

Po roku 1956 redaktorzy merytoryczni mieli za zadanie dbać o to, by medium służyło pochwalę codzienności – sprzyjały temu uruchomione od grudnia 1956 r. tak zwane powieści radiowe. Otwierano kolejne stacje i programy nadawcze, w 1957 r. ruszyła przy Polskim Radiu Rozgłośnia Harcerska, w 1958 r. na falach ultrakrótkich uruchomiono muzyczny Program III, który w 1962 r. uzyskał samodzielność, a od 1976 r. w zamysle edukacyjny Program IV.

Program III był próbą propagandowego trafienia do młodych słuchaczy, jako swoisty wentyl bezpieczeństwa, usypiający i pacyfikujący wrobie wobec władzy nastroje. W styczniu 1974 r. ruszyła audycja „Zapraszamy do Trójki”, która początkowo miała charakter jedynie muzyczny, z czasem przekształcona w program muzyczno-informacyjny. Jego zaplecze redakcyjne stanowili młodzi dziennikarze, m.in. Grzegorz Miecugow, Monika Olejnik, Tomasz Sianecki, Wojciech Zimiński. Gros z nich to w III RP gwiazdy komercyjnych stacji telewizyjnych.

Propaganda szerzona skutecznie drogą radiową skłaniała zastraszonych do popierania władzy, a ostatecznie do utożsamiania się z jej działaniami i jej wspierania. Rządzenie społeczeństwem przekonanych o słuszności działań komunistycznej władzy było łatwiejsze od panowania nad narodem zastraszonym, ale ciągle samodzielnie myślącym. Przekonanie Polaków o racjach ludowej władzy stanowiło cel rządowej propagandy przez całą PRL. Codzienne audycje radiowe nie miały informować, ale pogrążyć słuchacza w stanie mentalnego uśpienia, akceptacji panującego porządku i poczucia niemożności stawienia jakiegokolwiek oporu.

O tym wszystkim coraz mniej z nas już pamięta, a szkoda. Łatwiej byłoby zrozumieć to, co dzieje się dziś. I nie płakać tak bardzo za guru od przewodniej roli piosenki.

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

Zwykłe nasze myśli

Co znaczy patriotyzm, czy jest nam dziś potrzebny, czy trzeba być patriotą, kto jest patriotą, przecież Targowica też powoływała się na patriotyzm?

Trwa walka wyborcza, my zwykli ludzie jesteśmy często zagubieni i przerażeni, a przecież o ile prościej i łatwiej byłoby ocenić i rozemścić się, a potem wybrać, znając prawdę o ludziach, którzy ubiegają się o najwyższe stanowiska w państwie. Powinniśmy poznać prawdę o Rafale Trzaskowskim, o Romanie Giertychu, o ludziach z Konfederacji, Braunie, Korwinie. A już od dawna potrzebna jest nam prawda o Donaldzie Tusku, Bronisławie Komorowskim i reszcie. Prawda, a nie medialno-internetowe domysły.

Takiej prawdy oczekiwaliśmy od Instytutu Pamięci Narodowej, odkąd tylko powstał. Bywało z tym różnie, zależnie od prezesów. Janusz Kurtyka odkrywał dokumenty kolejnych osób kreujących rzeczywistość w III RP. Przygotowując film o jego działaniach i wielkiej pracy IPN za jego prezesury, gdy toczyła się walka z czasem, by jak najwięcej ocalić dokumentów przed zniszczeniem, dowiedziałam się, że był prawie gotowy katalog najważniejszych nazwisk w Polsce. Niestety, Janusz Kurtyka zginął pod Smoleńskiem.

Sędzia Bogusław Nizieński, rzecznik interesu publicznego w latach 2005–2010, zajmował się lustracją, ciężko pracował, by – jak mówi w moim filmie – ocalić od zniszczenia dokumentację o ludziach, którzy ubiegają się o najwyższe stanowiska w państwie, bo Polacy muszą znać prawdę po latach kłamstwa.

Nigdy nie zapomnę spotkania z hrabią Markiem Raczyńskim, który na początku lat 90. przyjechał do Warszawy zaproszony jako doradca w nowej Polsce. Był bardzo wzruszony, tęsknił za Polską od 1944 r., kiedy to razem z kolegami niedobitkami z powstania warszawskiego opuszczał swoją ukochaną stolicę. Jednak szybko się rozczarował, powtarzał – nic tu po mnie, mojej Polsce już nie ma, najbardziej uderza i przeraża stopień zakłamania i chamstwa, przepraszam. Z pamięci recytował cały wiersz Józefa Szczepańskiego „Ziutka”, 23-letniego powstańca Warszawy: „Czekamy ciebie czerwona zarazo, ty odwieczny wrogu, morderco krwawy tłumu naszych braci, czekamy ciebie, ty zwlekasz i zwlekasz, ty się nas boisz i my wiemy o tym, naszej zagłady pod Warszawą czekasz/ Żebyś ty wiedział dziadów naszych kacie, jak to strasznie boli nas, dzieci Wielkiej, Niepodległej, Świętej skuwać w kajdany łaski twojej przeklętej cuchnącej jarzmem wiekowej niewoli...”. Boże, jak on to mówił, wyraz oczu, twarzy, trudno opisać... Wkrótce wyjechał z powrotem do Stanów Zjednoczonych, na pożegnalnej kolacji wspominał swój dom rodzinny, potem tulące życie powojenne, spotkań wspólnych rodaków o podobnym losie i na koniec powiedział – potrzeba co najmniej trzech pokoleń, by Polska otrząsnęła się z tego prawie półwiecznego, sowieckiego myślenia i sposobu życia, by wróciła normalność, kultura, patriotyzm, czym



**Alina
Czerniakowska**

żyły nasze polskie rodziny od stuleci. Pamiętam, że wtedy po sztubacku, bardzo się obriszyłam – jak to, tyle pokoleń na zmarnowanie! Teraz widzę, jak bardzo myliłam się w swojej naiwności.

Dzisiaj każdy Polak dokonujący wyboru prezydenta kraju powinien odpowiedzieć sobie na podstawowe, bardzo ważne pytania: jaka jest przeszłość i korzenie rodzinne danego kandydata, co zrobił dla Polski, czy rozumie i czuje polskość i polską rację stanu, z kim trzyma, kto go wspiera, czy nie skarżył na Polskę do obcych, i wreszcie czy potrafi myśleć i pracować tak, by odpowiedzialnie stanąć na czele dużego państwa w środku Europy, położonego między Rosją i Niemcami i nie dopuścić do wasalizacji, poddaństwa, utraty suwerenności. Pamiętając o naszej ponadtyścioletniej tradycji chrześcijańskiej, siłę opartej na Bogu, która zdolna była wszystko pokonać – niewolę, rozbiory, ponadwiekową nieobecność na mapach Europy i świata.

Obecny rząd, premier Mateusz Morawiecki, prezydent Andrzej Duda, Jarosław Kaczyński, Beata Szydło (nigdy nie powinniśmy zapomnieć, jak potrafiła dzielnie i skutecznie bronić Polski w Unii Europejskiej), wszyscy dali się poznać jako ludzie służący Polsce i Polakom. Do tej czołówki na służbie nam wszystkim należy dołączyć ministra zdrowia prof. Łukasza Szumowskiego, który – cicho, ciężko pracując – przeprowadził nas przez to światowe zastraszanie medialno-wirtualne i realne, związane z koronawirusem. Mam dużo lekarzy w rodzinie i wśród znajomych, niektórzy znają dr. Szumowskiego z wcześniejszej współpracy, wszyscy zgodnie wyrażają się o nim z największym uznaniem, pod każdym względem. Myślę, że ta dzisiejsza nagonka totalnej opozycji jest kolejnym dowodem, że dla tych ludzi nie ma żadnych granic, których nie wolno przekroczyć.

Często jeżdżę na wieś, rozmawiam, słucham, ludzie doceniają wszystko, co robi dla nich obecny rząd, zarówno pod względem materialnym, jak i pod względem dostępu do wiedzy, której jeszcze niedawno byli pozbawieni. Nareszcie dowiedzieli się prawdy o mordowaniu polskich bohaterów po wojnie, o koligacjach komunistycznych, o Urzędzie Bezpieczeństwa, wzajemnych powiązaniach i skutkach tamtej władzy opartej na kłamstwie, kradzieży i działaniu na szkodę swojej ojczyzny – to wszystko zaczęło docierać do świadomości społecznej dzięki TVP i mediom, które rozumieją rolę polityki historycznej. Poza tym zwykłym ludziom żyje się lepiej pod względem materialnym, poczuli się u siebie, zauważeni przez rząd i prezydenta Andrzeja Dudę, z radością opowiadają o osobistych spotkaniach, podkreślają naturalność i bezpośredniość, wypunktowując takie cechy i wartości jak: wiara w Boga, kultura bycia, patriotyzm i duma z faktu bycia Polakiem.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

W cieniu pandemii

Ograniczenia związane z COVID-19, dotyczące zarówno zwykłych spotkań towarzyskich, jak i masowych imprez sportowo-kulturalnych czy też politycznych mitingów, zdemolowały dotychczasowe relacje między ludźmi.



**Lech
Makowiecki**

Jako człowiek sceny, grający koncerty od ponad czterech dekad, wiem dobrze, czym różni się bezpośredni kontakt z żywą publicznością od internetowego „show” pozbawionego reakcji zwrotnej słuchaczy. Nie zastąpią tego ani miliony wejść na YouTube, ani tysiące lajków. Ten dyskomfort odczuł z całą pewnością prezydent Andrzej Duda, który 1 maja – podczas telewizyjnej konwencji wyborczej, przeprowadzonej przy pustej sali – mówił do kamery przez prawie dwie i pół godziny! Bez chwili oddechu na brawa, bez odpoczynku w trakcie burzliwych owacji (które przecież uskrzydlały każdego mówcę) – była to prawdziwa droga przez mękę.

A ileż to najważniejszych w życiu uroczystości, które na zawsze zapadają w naszą pamięć (urodziny, wesela, chrzciny, komunie itp.), odebrał nam zakaz zgromadzeń? Ile z nich zostało przełożonych na trudny do określenia, „bezpieczny” termin? Co z celebrowanymi w naszej kulturze pochówkami? Pogrzebu nie da się przecież zbyt odłożyć. Gdy zmarłym odbiera się prawo do godnego publicznego pożegnania – śmierć w czasach zarazy staje się anonimowa. Nawet nazwiska wybitnych osobowości odchodzących z tego świata migną co najwyżej na paskach programów informacyjnych. I umkną zaabsorbowanym pandemią telewidzom.

Wirusowa panika usuwa też w cień najważniejsze obchody państwowe. Co z kolejną rocznicą pierwszego transportu Polaków do obozu śmierci Auschwitz, przypadającą 14 czerwca? Kto będzie pamiętał, że 80 lat temu wyruszył z Tarnowa pociąg z pierwszym transportem 728 polskich więźniów? Piszac ten felieton, nie wiem nawet, czy ostatni żywi świadkowie tego, co działo się w KL Auschwitz, będą mieli szansę upamiętnić pomordowanych przez Niemców współtowarzyszy niedoli. Koronawirus przykryje wszystko?



Z życia

Kościół

relacjonuje

**Agnieszka
Ponikiewska**

1. Początek czerwca to czas, gdy nowo wyświęceni kapłani trafią na swoje pierwsze parafie. Cieszymy się z każdego powołania, ale nie może umknąć nam problem pustoszejących seminariów. Młodzi kapłani powinni mieć silne poczucie wspólnoty, a ciężko o to, gdy na roku jest czterech kleryków. W październiku 2019 r. Episkopat Polski przyjął nowe zasady formacji w seminariach duchownych. Oby to przyniosło efekty.

✂ ✂ ✂

2. Abp Stanisław Gądecki, przewodniczący Episkopatu Polski, ma sprawdzić, czy biskup kaliski Edward Janiak rzeczywiście tuszował pedofilię. To decyzja Stolicy Apostolskiej. Pojawiły się natychmiast sceptyczne głosy, że prace abp. Gądeckiego nie przyniosą żadnego efektu. Warto wstrzymać się z pochopnymi opiniami i ocenami. Przewodniczący Episkopatu Polski doskonale zdaje sobie sprawę z wagi tej misji.

✂ ✂ ✂

3. Mamy nowego biskupa. 1 czerwca odbyły się święcenia biskupie ks. Grzegorza Suchodolskiego. Został on biskupem pomocniczym diecezji siedleckiej. Bp Suchodolski podkreśla jak bliskie jest mu nauczanie św. Jana Pawła II. Powiedział: „Rusząc w nową drogę biskupiego posługiwania, nie chcę głosić niczego innego, jak tylko Jezusa Chrystusa umarłego i zmartwychwstałego, i wołać: »Otwórzcie drzwi Chrystusowi«”. Tak – bardzo potrzeba nam pasterzy, którzy jak św. Jan Paweł II życiem świadczą o Jezusie.

✂ ✂ ✂

4. Ks. Paweł Rytel-Andrianik 3 czerwca zakończył pięcioletnią pracę na stanowisku rzecznika Konferencji Episkopatu Polski. Na razie nie wiadomo, kto zastąpi go na stanowisku – Episkopat ma na wyznaczenie nowego rzecznika miesiąc.

✂ ✂ ✂

5. Przed nami Boże Ciało. To jedno z najważniejszych świąt w roku. Pytanie, jak będzie obchodzone w czasie pandemii, której Polska wciąż nie pokonała? Środki ostrożności są konieczne, a procesje powinny iść jak zawsze drogami naszych parafii. Właśnie teraz, może jeszcze bardziej niż zawsze, trzeba byćmy szli za Jezusem. A w ogóle – wracajmy do naszych kościołów!



JAN POSPIESZAŃSKI

Przestawiciele Unii Europejskiej, w tym komisarz do spraw równości Helena Dalli, zapowiedzieli wdrożenie we wszystkich krajach wspólnoty konwencji Rady Europy, zwanej konwencją stambulską.

Władze UE, tej samej Unii, która nie potrafiła zareagować na rozprzestrzenianie się epidemii, potem (gdy lawinowo przybywało śmiertelnych ofiar) nie była w stanie właściwie koordynować działań państw członkowskich; władze tej samej Unii, która swoją uzurpacyjną polityką, zawłaszczając nieprzynależne jej obszary, doprowadziła do brexitu, narzucają dziś krajom członkowskim skrajnie zideologizowany dokument.

Gorączkowe starania eurokratów wyglądają tak, jakby nie było ważniejszych kwestii. W sytuacji gdy mamy realne problemy spowodowane pandemią i zastojem gospodarczym, włożenie z butami przez urzędników UE, pod pozorem walki z przemocą, w kwestie światopoglądowe i ideologiczne pokazuje, czym naprawdę dla nich jest Unia. Wściekła napaść na Węgry, które postanowiły uwzględnić w państwowych dokumentach tylko płeć biologiczną (bo nie ma przecież innej), jest próbą tego, co czeka „oporne” kraje członkowskie.

Cała sprawa jest bardzo groźna. Po pierwsze, podobnie jak w konflikcie o polską reformę sądownictwa narzu-

Zatrzymajmy tę konwencję

Włożenie z butami przez urzędników UE, pod pozorem walki z przemocą, w kwestie światopoglądowe i ideologiczne pokazuje, czym naprawdę dla nich jest Unia

cenie konwencji jest wykroczeniem poza unijne kompetencje. Dokument reguluje bowiem w przeważającej części prawo karne materialne, a kwestie te, co pewnie wiedzą nawet studenci prawa, nie leżą w obszarze działalności UE. Paradoks polega jednak na tym, że w chwili przyjęcia konwencji jej zapisy zyskują pierwszeństwo przed prawem państw członkowskich. Nie będzie zatem możliwe, tak jak teraz w Polsce, wybiórcze stosowanie jej postanowień.

Obok kwestii formalnoprawnych przerażające jest to, że dokument (używając określenia Jana Pawła II) jest fałszem antropologicznym. W sferze języka, w definiowaniu źródeł przemocy, a w także obszarze oczekiwanych skutków. Autorzy dokumentu do języka prawnego wprowadzają pojęcia m.in. „płci kulturowej” czy „tożsamości płciowej”. Ponadto przyczyny przemocy wobec kobiet (a także tych mężczyzn, którzy za kobiety chcą się uważać) konwencja widzi w tradycji, religii i stereotypach kulturowych. Ignoruje natomiast prawdziwe źródła przemocy, jak alkoholizm, seksualizacja wizerunku kobiety w kulturze, z jej skrajnym wynaturzeniem, jakim jest pornografia. Nie dostrzega też przemocy, której doświadczają kobiety wskutek antykoncepcji i aborcji. Związek alkoholizmu i przemocy nie wymaga tłumaczenia, zwróć więc uwagę na pornografię, antykoncepcję i aborcję. Seksualizacja wizerunku kobiety, a w szczególności przemysł porno, są nie tylko współczesną formą niewolnictwa. Pornografia deformuje obraz miłości kobiety i mężczyzny. Psychologowie potwierdzają, jak bar-

dzo konsumenci pornografii cierpią wskutek niezdolności budowania zdrowych relacji seksualnych. Młodzież, która pod wpływem coraz bardziej brutalnych, pełnych przemocy i perwersji obrazów kształtuje wyobraźnię i normy zachowań, ma trwale przetrącony obraz cielesnej miłości. Takim pacjentom niezwykle trudno się pozbyć potem z „twardego dysku” pamięci fałszywego „programu”. Z kolei antykoncepcja w założeniu sprowadza kobietę z jej przynależną godnością do roli dostarczycielki przyjemności na zawołanie. Przez czasowe ubezpiełnienie, czyli okaleczenie organizmu, przy użyciu inwazyjnej farmakologii (rodzącej skutki uboczne) ciało kobiety ma być dostępne bez zobowiązań.

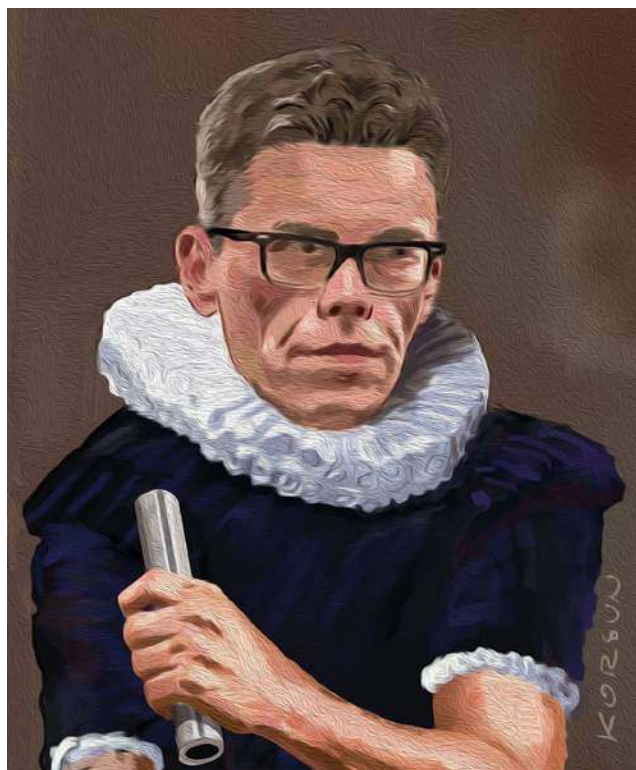
Papież Paweł VI w encyklice „Humanae vitae” taki akt seksualny, realizowany wbrew naturze, bez respektowania biologicznej wynikającej z cyklu dyspozycji organizmu kobiety, porównuje do gwałtu.

Aborcja natomiast jest skrajnym i radykalnym przykładem przemocy – bez względu na to, czy są to szczypce, kompresor ciśnieniowy czy pastylka RU. Przypominam też, że statystycznie połowa ofiar aborcji to dziewczynki.

Żadnej z powyższych kwestii w konwencji nie znajdziemy, jest natomiast przemożna chęć realizacji inżynierii społecznej widoczna choćby w nakazie kierowania się ideologią gender na wszystkich szczeblach edukacji.

Tylko zdecydowany protest państw może zablokować te uzurpacje. Możemy się włączyć, podpisując petycję na stronie stopgenderconvention.org. Gorąco zachęcam.

Michał Korsun prezentuje: *Portret z tuleją*



Wycinki z przeszłości

Na polskich drogach coraz trudniej spotkać samochód z okresu PRL w normalnym użytkowaniu – najmocniej bronią się jeszcze żuki w użytkowaniu rolniczym. Coraz częściej za to widzimy takie auta na żółtych, oznaczających pojazd zabytkowy, tablicach – w tej roli głównie fiaty 125p. Najlepiej trzymają się ciężarówki Star. W tym typ Star 742, zaprezentowany oficjalnie w czerwcu 1986 r., z okazji XX Zjazdu PZPR. Takie były czasy, co nie zmniejsza szacunku dla dorobku polskich inżynierów. Star 742 to bowiem konstrukcja czysto polska, której „myślą przewodnią było wypełnienie luki pomiędzy samochodami dostawczymi a najmniejszą polską ciężarówką. Przedział ten zawiera się obecnie w granicach ładowności pomiędzy 1–6 ton i częściowo wypełniany jest importem roborów oraz awii, a także prywatnym importem małych ciężarówek z krajów zachodnich”.

Wobec tego wyzwania „w Starachowicach podjęto próbę budowy samochodu o ładowności 3,2–3,5 tony, przeznaczanego głównie dla potrzeb zaopatrzenia sieci handlowej w miastach. Nowy Star przydatny też będzie rolnikom”.

Ostatecznie Stara 742 produkowano w Starachowicach do 2000 r. Żal, że polskie zespoły inżynierskie – motoryzacyjne, stoczniowe i lotnicze – tak głupio i okrutnie po 1990 r. rozpędzono, zmarnowano.

(mk)



Nieprzyjemne wiersze

Rozpaczliwie silne, które były ostatnią szansą ocalenia... Nie powinny być zapomniane. Są zbyt strasliwym świadectwem i stanowiły okrutną cenę, by płowiały odłożone w historycznych tylko antologiach.



Leszek Długosz

Beata Obertyńska 1898–1980

Suplikacje

*Od głodu,
od pochodów,
od deszczu,
od wsi,
od powietrza na wicherze
w skos prutego twarzą,
od ognia – kiedy nocą odejść
ci go każą,
od tajgi, co do kolan mocza-
rem namaka,
od urwanej podeszwy,
od skradzionego chlebaka
– wybaw nas, Panie!*

*od tundry twarzą w niebo
leżącej na wznak,
od zmory białych nocy,
od komarzych młak,
od nagłych a niespodzianych
wymarszów ponocnych,
od świtów ołowianych
i zmroków popielnych
– Święty Boże,
– Święty Mocny,
– Święty a Nieśmiertelny,
wybaw nas, Panie!*

*My grzeszni,
my zmęczeni,*

*my obszarom wydani,
my zamarłej przestrzeni na
żer żywem rzuceni,
my wyjęci spod prawa,
z człowieczeństwa wyrzuci,
my deptani jak trawa,
zaganiani i szczuci –
my nędzarze zawszeni,
my, co głód nas ogłupia,
my rzesza bezimienna
do dna krzywdą otruta,
my brudni,
my obdarci,
my aż śmieszni chwilami,
my pocieszni,
my grzeszni,
Ciebie Boga błagamy,
coś jest Wierny i Żywy,
Jeden i Niepodzielny
– Święty Boże,
– Święty Mocny,
– Święty a Nieśmiertelny,
zmiłuj się nad nami!*

*Przez ostatnią,
pośmiertną
Syna Twego ranę,
przez Jego Krew i Mękę
Amen – amen – amen.*

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
w SIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i w SIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania w SIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań w SIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZA

Na balkonie w słońcu

We wtorek 2 czerwca br. przez dłuższą chwilę siedziałem na balkonie w słońcu. Chwila się skończyła, gdy słońce schowało się za krawędź dachu.

Słońce wprost na twarzy przypominało mi myśl, doznanie sprzed lat – może byłem wtedy nastolatkiem. Na pomarańczy przyniesionej ze sklepu przez matkę dostrzegłem naklejkę z napisem „Jaffa”. Skojarzyłem, że pomarańcza dojrzewała w tymże samym słońcu, które prawie 2 tys. lat wcześniej świeciło wprost na Chrystusa. I że jeśli zjem pomarańczę stamtąd, to może będzie to coś znaczyło. Nic więcej wtedy nie pomyślałem ani nie odczułem. To akurat dobrze pamiętam.

A na balkonie dalej pomyślałem, że Jezus..., Jezus, jeśli istnieje, to jest tajemnicą. I że inaczej *nie może* istnieć.

Jasne, że nie jest wyłącznie tajemnicą. Przecież w Ewangeliach jest przedstawiony w pewnych konkretnych ludzkich zdarzeniach i cechach. Ale poza tym, co jest tam jasne i proste – to jeśli w ogóle Jezus może istnieć – to *przede* wszystkim jest tajemnicą.

Nie można Jezusa uprzytomnić sobie, pojąć – nie wiem, czy słowo „zrozumieć” w ogóle jest tu na miejscu – bez oparcia się na wierze.

Rozum, z jego sprawdzalnymi, naukowymi lub naukopodobnymi procedurami nie jest w stanie *uporządkować* opowieści o Jezusie. Tajemnica jest nieodłączną cechą Jezusa. Znaczy to, że wiara musi być podstawą stosunku do Jezusa. Że – w pewien, trudny do bliższego naszkicowania sposób – to, co „wiemy” o Jezusie, wymaga wiary. Że wynika to z samej natury Jezusa. Zarazem jako socjolog agnostyk zastanawiam się, czy choćby okruszek wiary, wpływający z zakorzenienia we wspólnej tradycji, nie jest niezbędny do tego, żeby pojąć fenomen polegający na tym, że inni wierzą w Jezusa?

Znaczy to, że dla niewierzących, zwłaszcza dla nieustępliwych krytyków religii, tajemnicą jest nie tylko Jezus, ale jest też nią wiara tych, dla których Jezus jest nieusuwalną częścią ich życia.

A gdy już po skryciu się słońca za krawędź dachu dalej myślałem, dokąd prowadzi wspomnienie pomarańczy z naklejką „Jaffa”, przypomniały

*Modlitwa, nawet w świecie
bez transcendentnego Boga,*

zawsze jest rozmową.

*Rozmową, która może
przynosić błogosławioną
cierpliwość, spokój, dystans*

mi się słowa żony Katarzyny, że nasza dobrozmianna władza już dawno upadłaby, gdyby nie te tysiące, a może i miliony Polaków, którzy modlą się za Andrzeja Dudę i za ekipę rządzącą dziś Polską.

Że w obliczu potężnej krytyki rządzących Polską, krytyki zasłużonej i niezasłużonej, że w obliczu wielu rzeczywistych błędów, zaniedbań, afer (tych wydumanych i jak najbardziej faktycznych), nieporozumień, ataków dezinformacyjnych, głupich decyzji kadrowych, niemądrych odzywek, niepotrzebnej agresji także naszej strony, to wszystko, co dobra zmiana stara się budować, już dawno by się zawaliło. A wraz z dobrą zmianą ważna część polskości.

W obliczu tak wielu rozczarowań, całego zgiełku, rzeczywistych i czysto medialnych dramatów ludzka cierpliwość by się wyczerpała. Że ludziom by już obdło.

To, że w sumie jednak tak niewielu odbija, zawdzięczamy wiejskim kapliczkom przydrożnym, ale i tym miejskim, np. na podwórkach warszawskich kamienic. Zawdzięczamy posłudze także tych księży, którzy uginają się pod ciężarem zwątpienia i w siebie, i również w swoich biskupów.

Jeśli Jezus istnieje, to nie wiadomo, czy odpowiada na modlitwy o roztropność rządzących, o ich uczciwość, dalekowzroczność. Może nie reagować, uznając, że ludzkie sprawy mamy załatwiać sami między sobą.

Ale nawet jeśli Boga by nie było (lub – z sobie tylko wiadomych powodów – odwróciłby się od nas), to i tak *szczerze* modlitwy *zawsze* są wysłuchiwane. Nawet te, które wypowiedane są w samotnym skupieniu, bez obecności i wiedzy czyjejkolwiek poza modlącym się.

Każda modlitwa ma zawsze słuchacza, którym jest sama modląca się osoba. Modlitwa, nawet w świecie bez transcendentnego Boga, zawsze jest rozmową. Rozmową, która może przynosić błogosławioną cierpliwość, spokój, dystans, odróżnienie tego, co pośpieszne i marne od tego, co trwale i ważne.

Modlącym się za rządzących Polską – dziękuję.

Andrzej Zybertowicz

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

SIECI

**wSIECI
HISTORII**



**100
książek
w prezencie**

Piękna książka
o polskiej potrzebie
wolności

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 15 70 | prenumerata@fratria.pl | www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:

tygodnika **SIECI** i magazynu **HISTORII** za **280 zł**,
a książkę **Słynne ucieczki Polaków** otrzymasz **GRATIS!**



Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

CZYTAJ NA PAPIERZE LUB TABLECIE

Najnowszy numer Gazety Bankowej
dostępny w wybranych punktach sprzedaży
sieci Relay, Inmedio, salonach Empik
oraz na stacjach Orlen



Pobierz naszą aplikację
mobilną na swój smartfon
lub tablet



WIĘCEJ INFORMACJI

www.gb.pl/e-wydanie-gb